

W DRODZE

DWUTYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI

Nr. 1 (19)

Jerozolima, 1 stycznia 1944 r.

Rok II

KAZIMIERZ GRZYBOWSKI

NAKAZY RZECZYWISTOŚCI

Bardzo łatwo, studiując komunikaty wojenne i sprawozdania z batalii dyplomatycznych, zagubić sens wypadków. Chwilowe niebezpieczeństwa, przyjemne czy przykre zdarzenia mają perspektywę, zapominają się o pewnych podstawowych zasadach, które kiedyś będą dominowały nad obrazem teraźniejszości tak, że przesłonią wszystko to, co w tym momencie zdaje się mieć pierwszorzędne znaczenie. Nie mogąc poradzić sobie i przeprowadzić właściwej selekcji, uciekamy w abstrakcyjne, nierealne spekulacje, w bezdroża, nie mające nic wspólnego z rzeczywistością.

A tymczasem rzeczywistość stawia nam wymagania, zmusza nas do działania i myślenia.

Polska rzeczywistość i rzeczywistość światowa, to elementy, które wziąć pod uwagę należy. Obie one są współzależne i rozpatrywanie spraw polskich bez spojrzenia na to, jak sprawy Europy przynajmniej, jeżeli nie kuli ziemskiej się przedstawiają, jest nie tylko niepotrzebne, ale i szkodliwe. Dlatego też ocena rzeczywistości polskiej, to ocena dwu zasadniczych fenomenów. Wojny i jej charakteru i położenia naszego narodu w tej chwili.

W czasie konferencji pokojowej po pierwszej wojnie światowej, gdy obradowano nad Faktem Ligi Narodów, powstało zagadnienie, jakie państwa będą mogły do niej należeć. Odpowiedź brzmiała, że państwa demokratyczne. Problem demokratyczności wyrósł w stosunku do Japonii, problem demokratyczności zadecydował o tym, że Niemcy mogą znaleźć się w Lidze dopiero po okresie próby.

Wszystko to pozostawało w związku z przekształceniem się pierwszej wojny światowej w konflikt ideologiczny. Przybrała ten charakter wojna po wstąpieniu do niej Stanów Zjednoczonych, które bezpośrednio nie zagrożone agresją niemiecką, zostały obrażone sposobem jej prowadzenia przez Niemcy w swych zasadniczych przekonaniach i uczuciach. Przekonani o tym, że rząd demokratyczny, jaki u siebie stosują, stanowi jedyną podstawę i możliwość wprowadzenia przyzwoitych stosunków między ludźmi, dążyły Stany następnie do zrealizowania tych zasad i w stosunkach międzynarodowych. Problem ten ideologiczny, w których imieniu wojnę się prowadzi, odżył podczas obecnej wojny światowej, która od pierwszej chwili przybrała charakter wojny o zasady. Przedstawiciele hasel, wynikających z kultury zachodniej i jej chrześcijańskich podwalin, zostali zaatakowani przez zwolenników filozofii nihilizmu, najczerniejszego imperializmu. Hasło uniwersalistycznej etyki przeciwstawiono zasady narodowego egoizmu.

Sprawa stosunków wewnętrznych, łączących się z programem w polityce międzynarodowej, została związana jak najściślej z celami wojny. To, co w czasie pierwszego konfliktu 1914—1918 było wyznawane tylko przez Stany Zjednoczone, dzisiaj jest własnością całego obozu demokratycznego.

Wielką pozycją Polski w tym konflikcie jest to, że pierwsza opowiedziała się po stronie obozu demokratycznego. Z tego faktu wynikają jednak dla nas zobowiązania także, jeżeli idzie o urządzenie stosunków wewnętrznych.

Wrogowie obozu, do którego należymy, usiłują bardzo często go atakować, twierdząc, że przedstawia jedynie imperialistyczne dążenia, program rządzenia siłą światem, który się z odmętów tej wielkiej katastrofy międzynarodowej powoli wyłania. Słowem, zarzucają, że Sprzymierzeni nie są więcej warci od Hitlera.

Takie stanowisko zajmował pewien minister spraw zagranicznych po upadku Państwa Polskiego w r. 1939. „Dzisiaj — jak mówił ów mąż stanu — Niemcy walczą o jak najszybsze zakończenie wojny i o pokój... Wysiłki rządów alianckich, usiłujących usprawiedliwić

kontynuację wojny zobowiązaniami w stosunku do Polski, nie mają oczywiście sensu. Każdy zdaje sobie sprawę z tego, że nie ma możliwości odbudowania Polski... Rzeczywiście wojny religijne były kiedyś w modzie... Były to wojny Wieków Średnich... Ideologii nie można zniszczyć wojną i dlatego jest zbrodnią prowadzić ją dla zniszczenia hitlerizmu pod maską walki o demokrację”.

Takie same twierdzenie wysuwa i oficjalna propaganda niemiecka.

Oba te stanowiska są zrozumiałe, albowiem nie pochodzą od naszych przyjaciół i celem ich jest między innymi osłabienie naszej pozycji. Nie można jednak zrozumieć, dlaczego niektórzy spośród nas próbują udowodniać, że wojna dzisiejsza jest tylko konfliktem interesów. Brzmi to czasami, jakby kontynuacja wynurzeń, które przytoczono poprzednio. „Wojna obecna jest wojną polityczną, wojną, wywołaną ścieraniem się różnych politycznych racji stanu. Bywały dawniej wojny religijne czy dynastyczne, z interesami politycznymi państw bezpośrednio nie związane. Obecna wojna, tak samo jak poprzednia, jest wojną polityczną, toczy się o nowy układ polityczny świata. Nie jest wojną ideologiczną, jakkolwiek obie strony walczące chcą jej taki charakter nadać”.

Wywodzi się stąd zupełnie specyficzny stosunek do programu odbudowy świata na zasadzie międzynarodowych prawideł sprawiedliwości, demokracji w stosunkach między państwami, programu, który między innymi odrzuca siłę, jako jedyne kryterium rządów w świecie. Można go określić, jako przynajmniej znak zapytania, postawiony nad wszystkimi tymi planami i nad ich stosunkiem do sprawy odbudowy niepodległego Państwa Polskiego.

Należy sobie wyjaśnić, że odbudowa państwa musi nastąpić i może nastąpić jedynie jako rezultat współdziałania sił nam przyjaznych. Nie ma zresztą w tym żadnej ujemy dla nas, że potrzebujemy pomocy, albowiem znacznie silniejsze państwa, zaangażowane w tym konflikcie, także tej pomocy potrzebują. Jasne jest, że współdziałanie naszych sprzymierzeńców uzyskamy wtedy, gdy interesy nasze będą zgodne z zasadami i interesami tych, którzy wojnę po tej samej stronie co i my prowadzą. Wyznawca zacytowanych zdań zdaje się zapominać o oczywistej prawdzie, jasnej dla każdego dowódcy choćby najmniejszego oddziału wojskowego. O morale wojska i przebojowości armii decyduje nie tylko zaufanie do dowódców i sprzętu, którym się żołnierze posługują. Niesłuchanie ważnym elementem jest przekonanie o słuszności sprawy, za którą się walczy. W wojnach tego rodzaju co dzisiejsza obok momentu obrony własnego kraju, własnego narodu, rodziny i ziemi, muszą występować momenty ogólnoludzkie. Armie kilku narodów, prowadzące walkę przeciw wspólnemu wrogowi, musi łączyć i wspólne stanowisko w stosunku do zasadniczych problemów chwili dzisiejszej. Gdy to się osiągnie, wówczas zniszczenie siły wojskowej jednego sprzymierzenia nie wytrąca go z szeregu walczących. Historia Belgii, Serbii, Grecji, a wreszcie i na-

sza w tej i tamtej wojnie, oto najlepsze dowody prawdziwości tego, jak duże znaczenie ma wspólny front ideowy.

Dzięki tej jedności siły wojskowe naszego obozu walczą i w naszej sprawie. Walczą zaś dlatego, że program Polski jest identyczny z programem naszych wielkich sprzymierzeńców, że przywiązujemy wielkie znaczenie do Karty Atlantycznej, do Czterech Wolności Roosevelta, do podstawowych zasad, uchwalonych przez zjazd biskupów anglikańskich, do pięciu punktów pokojowych Papieża i t. d. Filozofia siły, cynizmu w polityce jest nam tak samo obca, jak i naszym sprzymierzeńcom.

Bardzo charakterystyczny jest stosunek narodu polskiego do tych spraw. Losy podzieliły nas na dwie części. Większość Polaków, prowadząca ciężką i ofiarną walkę w Kraju, przeżywa przewrót, wykuwający nowe oblicze społeczne tej Polski, która idzie. Od czasu do czasu dochodzą do nas okrucieństwa wiadomości, które w przybliżeniu jedynie pozwalają nam odtworzyć obraz polskiej rzeczywistości pod najeźdźcą. Jakkolwiek naród polski odczuwa jest od świata, jakkolwiek okupant usiłuje stworzyć sprzymierzenie milczenia co do wszystkich tych spraw, które w Polsce się dzieją, o wszelkimi siłami Polacy w Kraju utrzymują kontakt ze światem walki o ich prawa. Czerpią stąd nie tylko siły i nadzieję. Biorą udział w postępie prac nad zasadami przyszłego porządku. Może się to wydać paradoksem, ale kontakt Polaków w Kraju ze światem Zachodu jest dzisiaj silny i żywy.

W sytuacji o wiele gorszej niż nasza ludzie ci myślą kategoriami nowego świata, nie tylko o chwili dzisiejszej, ale i o przyszłości. Wiedzą dobrze, kto będzie nadawał ton ludzkości, czyja myśl będzie przewodziła społeczności międzynarodowej, wiedzą dobrze, że trzeba myśleć nowoczesnie, że nie można powtórzyć września w walce idei.

Ten sam obowiązek nawiązania kontaktu ze światem kultury zachodniej ciąży i na nas, którzy czy to biegiem wypadków rzuceni, czy to z własnej woli, znaleźliśmy się na obojętnie. Nie można zapomnieć o tym, że obok pracy, której rezultatem będzie zwycięstwo w najbliższej, zdaje się, już przyszłości, planuje się organizację przyszłego świata. To drugie jest dla nas bodaj że ważniejsze, niż to pierwsze. Swój wysiłek w zwycięstwo wkładamy każdego dnia, walcząc i w Kraju i poza jego granicami, na lądzie, morzu i w powietrzu. Wkład nasz w ten drugi wysiłek oby nie był mniejszy od czynu zbrojnego. Cięży na nas obowiązek myślenia, przewidywania, a ramy tej pracy — to Polska w nowym świecie. W świecie takim, by mogła ona istnieć bez tragicznych wstrząsów września 1939 r. Na polu bitew żołnierz nasz nawiązuje braterstwo z żołnierzem alianckim. Zyskuje szacunek i uznanie. Jednym z najważniejszych atutów w naszej polityce jest jednomyślne poparcie, udzielane przez Kraj Rządowi Rzeczypospolitej. Tak samo i my musimy przyczynić się do zbudowania naszej przyszłości i nawiązać kontakt duchowy z naszymi przyjaciółmi.

W numerze:

W. Bratkowski: Odbudowa gospodarcza Polski, I. — Z. Broncel: Wiersz. — Z. Kotowicz: Chiny w szeregach demokracji. — K. Wierzyński: Sonet wojenny. — K. Prus: Książka przebrzmiałych strachów. — J. Larren Lencowski: Nerw Iranu — kolej transirańska. — M. Górecki: Tarle—Napoleon. — J. Minder: Znieczulenie, zubożenie. — P. Apenszlak: Noce i dnie w ukryciu. — I. Kejlin: Dwa albumy. — Porucznik Herbert: Myśliwy. — T. Sowiński: Zmięty szapoklak. — J. Bazarowski: Koniec drogi. — A. Krakowiecki: Boczne światła Krakowa. — J. Skolimowski: Kolacja noworoczna. — T. Sowiński: Emigrantka. Dom. — J. Janusz: Sześć Boże w Chandoline. — D. Szerbie: Opinie angielskie. — Z prasy obcej. — Z. Broncel: VII Symfonia Szostakowicza. — ww: Przegląd polityczny.

Czytelnikom i przyjaciołom naszego pisma składamy najserdeczniejsze życzenia noworoczne

Redakcja dwutygodnika

„W DRODZE”



Qz. 4468/1944

WŁODZIMIERZ BRATKOWSKI

ODBUDOWA GOSPODARCZA POLSKI

I

Odbudowa życia gospodarczego Polski jest zagadnieniem, które można dziś omawiać jedynie w bardzo ogólnych terminach. Stan gospodarczy naszego kraju jest nam dziś bardzo słabo znany, a zmiany, które jeszcze wprowadzi wojna, są trudne do skalkulowania. Niemniej jednak, przyjmując, że ziemie polskie nie będą już w tej wojnie terenem operacji wojennych, możemy już dziś nakreślić w ogólnych zarysach historię ekonomiczną wojny na naszym terytorium i naszkicować te linie polityki własnej, które po ustaniu okupacji będą najbardziej celowe.

Ziemie polskie dotknięte były zniszczeniami wojennymi w początkowym okresie obecnej wojny. Gros zniszczeń w systemie komunikacyjnym zostało już usunięte ze względu na własne interesy okupantów — eksploatacja kraju w pierwszym okresie, potrzeby armii na froncie wschodnim po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej. Zniszczenia budynków mieszkalnych nie zostały usunięte i spowodowały obniżenie się poziomu mieszkaniowego ludności polskiej. Usunięcie tych zniszczeń będzie jednym z poważniejszych zagadnień powojennych. Większość zniszczeń w obiektach przemysłowych nie została naprawiona i nastąpiło raczej demontowanie dotkniętych zniszczeniami zakładów na złom. Było to zresztą zgodne z zasadniczą linią polityki gospodarczej okupanta.

Ogólnie można powiedzieć, że stan gospodarczy terytorium Polski stoi bardziej pod znakiem polityki wojennej okupacji, niż kampanii i zniszczeń wojennych. Najważniejsze będzie więc krótkie omówienie celów i środków tej polityki. System gospodarki wojennej w Niemczech opierał się na tych samych założeniach, które zadecydowały o rozwoju gospodarczym Rzeszy w latach, poprzedzających wojnę. Można by określić krótko jako gospodarkę ekspansywną. Niemcy dążyli do pełnego zatrudnienia ludzi i maszyn i, stawiając swemu przemysłowi duże zadania w zakresie zbrojeń, zadania te osiągał. Wzrastającym wydatkom zbrojeniowym towarzyszył wzrost dochodu społecznego i zatrudnienia.

Gospodarka wojenna Rzeszy była kontynuacją tego kierunku. Produkcja wojenna zorganizowana była na podobnych zasadach, jak poprzednie programy dobrobytu, i zasady jej finansowania były niemal że identyczne. Okres wojenny możemy również scharakteryzować jako ekspansywny. Były jednak i różnice. Ekspansja dochodu społecznego osiągnęła swój punkt szczytowy już przed wojną i dalszy wysiłek produkcyjny trzeba było opierać na zmniejszonym spożyciu cywilnym, zwłaszcza wobec wytrącenia z produkcji i powołania do wojska ogromnej ilości mężczyzn. Braki te zresztą próbowali Niemcy uzupełniać cudzoziemskimi siłami roboczymi już od początku wojny. O rozwoju przemysłu w samej Rzeszy świadczyć mogą cyfry zatrudnionych robotników przemysłowych. I tak według szwajcarskiej „Arbeiter Zeitung“ z maja 1943 ogólna ilość robotników przemysłowych, zatrudnionych w Rzeszy, wynosiła 25—26 milionów, źródła niemieckie „Deutsche Bergwerkszeitung“ szacują ją na 28,1 miliona robotników. Niemcy zestawiają tę cyfrę z danymi z czasów poprzedniej wojny, kiedy to w r. 1918 liczba robotników przemysłowych spadła do 13,6 milionów. Przy ocenie tych danych należy oczywiście uwzględnić zmianę techniki wojennej i wzrost wyposażenia materiałowego armii obecnej. Powodem jest to konieczność zatrudnienia kilkakrotnie większej ilości ludzi w przemyśle wojennym niż w czasie poprzedniej wojny. Według danych niemieckich przeszło 1/3 część zatrudnionych w przemyśle, bo 10 milionów ludzi, to robotnicy cudzoziemscy, dodatkowe 2 miliony pracowników cudzoziemskich zatrudnia rolnictwo niemieckie. Ogromne te ilości robotników niemieckich i cudzoziemskich utrzymują ciągle wysoki poziom produkcji wojennej kosztem produkcji na potrzeby ludności cywilnej. Ograniczenia produkcji na zaspokojenie potrzeb stało się szczególnie drastyczne od zimy 1942-43, t. j. od czasów t. zw. totalnej mobilizacji. Produkcję skoncentrowano wtedy w zakładach najlepiej wyposażonych i najwydajniej pracujących.

System gospodarczy okupowanej Polski, z wyjątkiem terytoriów wcielonych do Rzeszy, nie przeszedł w tym czasie okresu ekspansji. Polityka niemiecka nie liczyła zupełnie na nasz przemysł dla uzupełnienia swojej zdolności produkcyjnej, a większe dla niej znaczenie miał robotnik polski, przesunięty na zachód do znacznie nowocześniejszych zakładów przemysłowych Rzeszy. Koncentracja przemysłu w ramach mobilizacji totalnej działała na niekorzyść fabryk polskich, mniej wydajnych niż niemieckie. Ogólny dochód społeczny w Generalnym Gubernatorstwie spadł w porównaniu z rokiem 1938. Zestawienia ogólne dochodu społecznego w Generalnym Gubernatorstwie, dokonane na podstawie danych naszego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Londynie (patrz „Ekonomista Polski“ nr. 6, kwiecień—czerwiec 1943), stwierdzają, że spadek ten wynosi 35,3% w porównaniu z r. 1938. Najsilniej, jak można było tego się spodziewać, spadł dochód, produkowany przez przemysł — spadek wynosił tu 62% w stosunku do produkcji w r. 1938. Równie silnie ucierpiało rzemiosło, a dochód odrzucony przezeń w r. 1941 stanowił tylko 37% dochodu z r. 1938. Stosunkowo w najpomyślniejszej sytuacji znajdowało się rolnictwo. Wartość dochodu w okresie 1940-41

wynosi 1790 milionów złotych, a więc prawie tyle, co w r. 1938 (1810 milionów). Utrzymanie się wartości produkcji rolnej postawiło rolnictwo we względnie najkorzystniejszej sytuacji. Możemy dziś przyjąć, że rolnictwo polskie spłaciło całkowicie swoje zadłużenie, a pewne nadwyżki kasowe zakumulowane pozwoliły mu na zakup mienia z miasta. Ludność miejska wysprzedała się z przedmiotów użytkowych, używanych ubrań, mebli i t. d. na rzecz wsi. Cytowane zestawienie dochodu społecznego oblicza te zakupy na kwotę 250 milionów złotych w okresie 1941-42. Obok tego obserwujemy jednak zjawiska, wskazujące na dezynwestycję wsi. Maszyny i narzędzia rolnicze zużywają się, a nowych przemysł produkcyjnych coraz mniej. Zmniejsza się pogłowie inwentarza żywego. W cyfrze 1790 milionów złotych dochodu z rolnictwa mieści się dochód, otrzymany ze zużycia substancji majątkowej, wynoszącej sumę 325 milionów złotych. Można by nawet zaryzykować twierdzenie, że wieś tylko dlatego wykupywała mienie z miasta, że nie miała na co produktywnie zużyć tej części swego dochodu, którą normalnie inwestowano.

Cyfry dochodu społecznego, przytoczone powyżej, nie są jeszcze prawdziwym obrazem położenia gospodarczego ludności. Część dochodu społecznego, produkowanego na ziemiach polskich, pobierała dla siebie administracja niemiecka, część wywieziono z kraju. Po uwzględnieniu tego momentu dochodzimy do wniosku, że ludność miała na swoje potrzeby tylko 44% dochodu z r. 1938.

Powyższe zestawienie dochodu społecznego może mieć oczywiście znaczenie tylko orientacyjne. Wszystkie cyfry opierają się nie na zliczeniach statystycznych, a są tylko szacunkami. Wskazują one jednak wyraźnie kierunek przemian dochodu społecznego, a w pewnym stopniu i ilościowe natężenie tych przemian. Można z nich również wywnioskować, jakie grupy ludności zostały najsilniej dotknięte wojną. O intensywności spadku produkcji przemysłowej w Generalnym Gubernatorstwie świadczyć może spadek zatrudnienia w przemyśle, które w r. 1941 wynosiło 53 (1938 = 100). Zestawienie nasze nie stara się uchwycić zużycia substancji majątkowej w przemyśle, rzemiosle, komunikacji oraz przy domach czynszowych, i ogranicza się do obliczenia dezynwestycji w rolnictwie. Prawdopodobne obliczenie dekapitalizacji przemysłu i rzemiosła było trudniejsze z braku danych, trudno jednak przyjąć, aby dekapitalizacji tej w ogóle nie było.

Proces niszczenia substancji majątkowej będzie coraz bardziej niszczący, przy czym wydaje się, że dezynwestycje będą w rolnictwie znacznie mniejsze niż w przemyśle. Polityka okupacyjna w Polsce jest przeciwstawieniem do polityki w samych Niemczech — deflacyjna. Przy pomocy deflacji dochodu osiąga się silnie dodatni bilans handlowy w obrotach Generalnego Gubernatorstwa z Niemcami, wykorzystuje się urządzenia przemysłu, nie odnawiając ich, bezrobocie, powstałe skutkiem tej dezynwestycji, wyzyskuje się, wywołując ludność do Rzeszy.

Zupełnie odmienne przedstawia się obraz stosunków na terenach, włączonych wprost do Niemiec. Reinwestycje i tu zostały ograniczone ze względu na trudności wojenne, produkcja przemysłowa i górnicza pozostała jednak przynajmniej na poziomie przedwojennym, a prawdopodobnie ten poziom dość znacznie przekroczyła. Śląsk, do którego włączono Zagłębie Dąbrowskie i Krakowskie po Krzeszo-

wice, jest jednym z największych ośrodków ciężkiego przemysłu wojennego, a dążenie do ograniczania zbędnych przewozów kolejowych skłoniło władze Rzeszy do przeniesienia tam — lub zbudowania nowych — zakładów przemysłu przetwórczego, metalowego i chemicznego. Cały ten okręg przeżywa dziś okres wojennej wysokiej koniunktury i wątpliwe jest, aby procesy dekapitalizacji poszły tam daleko. Prawdopodobnie najczęściej dotknięty będzie przemysł włókienniczy tak okręgu śląskiego (Bielsko-Biała), jak i Warthegau (Łódź i reszta okręgu łódzkiego). Przemysł włókienniczy i inne gałęzie przemysłu, obliczone na spożycie cywilne, utracą prawdopodobnie dość dużą część swojej zdolności produkcyjnej, natomiast przemysł ciężki, górnictwo i przemysł metalowy przetwórczy wyjdą z tej wojny ze znacznie powiększoną zdolnością wytwórczą.

Terytorium Polski zostało rozcięte granicą, która jest linią podziału dwóch metod rządzenia i dwóch systemów gospodarczych. Ziemie, włączone do Rzeszy, przeżywają z nią razem okres ekspansji przemysłowej, regulowanej potrzebami wojny, reszta zaś kraju, podobnie jak wszystkie inne okupowane kraje rolnicze, eksploatowane są w sposób, zbliżony do gospodarki kolonialnej. Rolnictwo, a przynajmniej dział produkcji roślinnej, prowadzony jest na poziomie dość intensywnym. Hodowla, opierająca się przed wojną w znacznym stopniu na imporcie pasz treściwych, cofnęła się w stosunku do okresu przedwojennego w całej Europie i odbudowanie jej po wojnie będzie musiało potrwać lata. Terenem, który był chyba najbardziej ekstensywnie zagospodarowany, były nasze ziemie wschodnie. W pierwszym okresie wojny traktowane one były przez rządy sowieckie jako przedpole ich właściwych baz przemysłowych i wojskowych, dla okupacji niemieckiej były one przez cały czas bezpośrednim zapleczem frontu. Spadek produkcji zarówno przemysłowej jak i rolnej będzie więc na Kresach największy, może rekordowy w całej okupowanej Europie. Dla oceny dzisiejszej sytuacji gospodarczej na tych ziemiach mamy najmniej podstaw, a skąpe dane nie wystarczają nawet do przeprowadzenia najogólniejszego szacunku.

Granica, którą Niemcy podzieliли terytorium Polski na trzy odrębne obszary, jest w pełnym tego słowa znaczeniu granicą gospodarczą. Generalne Gubernatorstwo, ziemie włączone do Rzeszy i terytoria wschodnie (Ost-raum) mają odrębne systemy walutowe i politykę kredytową i oddzielone są od siebie granicami celnymi i dewizowymi. Wprawdzie zarówno złoty, wydawany przez Bank Emisyjny w Polsce, jak i karbowaniec, opierają się na marce niemieckiej i ich relacje wymienne są ustabilizowane, to jednak transakcje pomiędzy różnymi terytoriami polskimi są utrudniane i linią przewodnią polityki niemieckiej jest związane każdego z tych terytoriów bezpośrednio z Rzeszą i osłabianie ich stosunków handlowych między sobą. Granice celne i dewizowe mają na celu odcięcie terytoriów o wyższym poziomie dochodu, jakimi są ziemie włączone do Rzeszy, od obszarów uboższych. Zespolecie się tych obszarów musiałoby doprowadzić do podniesienia się dochodu i spożycia ludności Generalnego Gubernatorstwa i ziem wschodnich do poziomu Rzeszy, a tym samym musiałoby zmniejszyć też nadwyżkę, którą dziś Rzesza z tych ziem otrzymuje. Utrzymanie i rozwój przemysłu w Polsce centralnej musiałoby zmniejszyć dopływ sił roboczych do przemysłu Rzeszy. Tego Niemcy chcieli uniknąć i taki jest sens i znaczenie granic.

W procesie powojennej odbudowy gospodarczej Polski możemy wyróżnić trzy najważniejsze problemy. Pierwszym będzie problem demobilizacji mas ludzkich, wciągniętych w tryby gospodarki niemieckiej, drugim będzie demobilizacja i przestawienie przemysłu, trzecim wreszcie usunięcie dekapitalizacji i odbudowa tych gałęzi produkcji, które wojna pozbawiła ich zasobów gospodarczych. Osobną zupełnie kartę stanowi akcja pomocy i dożywianie ludności. Należy ją uważać za konieczny wstęp do wszelkiej akcji odbudowy. Akcja pomocy nie jest jednak sama w sobie problemem gospodarczym i wszelkie próby rozwiązywania tego zagadnienia na zasadach gospodarczych nie mogłyby dać żadnych rezultatów. Pomoc należy dać potrzebującym, bez względu na kalkulację rentowności i najbardziej korzystając z niej terytoria najuboższe i warstwy, społecznie pozbawione przez wojnę źródeł dochodu, choćby te terytoria lub grupy ludnościowe nie miały „zdolności kredytowej“ w gospodarczym znaczeniu tego słowa. Właściwym zadaniem programu odbudowy będzie takie ukształtowanie życia gospodarczego, aby mogło ono dawać wystarczający dochód społeczny po ustaniu akcji pomocy.

Zagadnienie polegać będzie na utrzymaniu dotychczasowego tempa pracy tych zakładów przemysłowych, które nam zostaną, na znalezieniu pracy i źródeł dochodu dla powracających rzesz robotników, oraz na odbudowie intensywnego życia gospodarczego w tych częściach kraju, które przez cały czas okupacji traktowane były jako kolonie rolnicze Rzeszy.

Znalezienie pracy dla zwolnionych robotników łączy się ściśle z resztą programu gospodarczego. Bezrobocie, które nas czeka po tej wojnie, będzie chyba największe w naszej całej historii gospodarczej. Rzesza Niemiecka zaabsorbowała całą naszą nadwyżkę „zbędnych“ sił roboczych na wsi oraz wszystkich niezatrudnionych robotników przemysłowych i rzemieślników, którym program totalnej mobilizacji i koncentracji produkcji odebrał warsztaty pracy. Większość z nich przeszła w Rzeszę do pracy w przemyśle.

Wciągnięcie tych ogromnych rzesz robotników cudzoziemskich nie było wyłącznie poddyktowane koniecznością wojenną. Wypowiedzi prasy i publicystyki niemieckiej stwierdzały już w pierwszych fazach wojny wyraźnie, że jednym z celów polityki Rzeszy jest skoncentrowanie przemysłu w Niemczech, odpromysławienie krajów sąsiadujących i stworzenie z nich rezerwuaru wędrownego siły roboczej dla przemysłu niemieckiego. Polska z jej milionami „zbędnych“ na wsi i z korzystną, bo młodą strukturą ludnościową, była idealnym rezerwuarem niemieckiego rynku pracy. W wyniku tej wojny kadry ludzi, przygotowanych do pracy w przemyśle, wzrosną u nas bardzo silnie. Odsetek ludzi, opierających swój byt na rolnictwie, obniży się u nas, a ciężar przesunie się w kierunku przemysłu. Przemiany te odbywają się w warunkach szczególnie niekorzystnych, wytworzenie dużej ilości pracowników przemysłu odbywa się równolegle z proletaryzacją tych mas tak silną, jakiej nie znały wcześnie okresy kapitalizmu. O ile ludność naszych ziem zachodnich nie zerwała związku z swoim środowiskiem społecznym i rodzinną przez wciągnięcie do rozwijającego się przemysłu, to reszta, przymusowo włączona w system przemysłowy niemiecki, straciła te więzy prawie zupełnie, żyje w warunkach obozowych w przypadkowych różnorodnych zbiorowiskach ludzkich i procesowi przeszkolenia przemysłowego nie towarzyszy tworzenie się nowej więzi społecznej, która mogła zastąpić środowisko wiejskie, z jakiej większość pochodzi. W normalnym toku rozwoju życie nowego robotnika przemysłowego organizowałyby ugrupowania zawodowe, polityczne i kulturalne. Tego wszystkiego robotnik polski w Niemczech jest pozbawiony i wyrwanie go z dawnego środowiska jest w wielu wypadkach równoznaczne z wykołajaniem.

Także i pod względem przydatności zawodowych proces wyszkolenia przemysłowego tych mas jest nierzetelny. Nieliczni z nich tylko wyjdą ponad poziom niewykwalifikowanego robotnika, ilość kwalifikowanych majstrów będzie nieproporcjonalnie mała, a braki w kierowniczych siłach technicznych będą jeszcze większe. Przetwarzanie się chłopów w robotników przemysłowego odbywa się w ramach obcego systemu, w którym element polski włącza się wyłącznie na stanowiska wykonawcze. Nie ma więc normalnej selekcji jednostek, kwalifikujących się na kierowników. Program rozwiązywania problemu bezrobocia mieści w sobie właściwie cały program odbudowy i przebudowy Polski na długie lata po wojnie. Nie byłoby żadnym rozwiązaniem skierowanie wszystkich tych ludzi z powrotem na wieś i obciążanie rolnictwa powracającą falą „zbędnych“. Nie jest także rozwiązaniem nawet bardzo radykalna parcelacja.

Jedynie szeroki program uprzemysłowienia mógłby wykorzystać ten kapitał kwalifikacji, który przymusowa praca w przemyśle niemieckim da ogromnym ilościom ludzi. Doświadczanie pracy w przemyśle jest zwłaszcza u młodych ludzi ich jedyną kwalifikacją zawodową, bo ogromna ich ilość nigdy przed tym w Polsce nie pracowała. Dawne środowiska wchłoną dość łatwo ludzi starszych, młodszych zaś, która mogła najwięcej w Niemczech się nauczyć, należy wykorzystać przy przyszłej rozbudowie przemysłu.

ZDZISŁAW BRONCEL

W I E R S Z

Napinam strunę, spójrz! —
Jak błyskiem struna lśni,
Jak wyostrzony nóż,
Narzędzie świeżej krwi!

Uderzam w strunę, patrz! —
Jak łękiem struna drży,
Zanim uroni płacz
Kroplistych nut, jak łzy.

Skrzypcowy, zimny grad
Z grających zbieraj nieb,
Aż ci się zmieni w kwiat,
Jak świętej w różę chleb.

Wyciągnij ręce, weź! —
Wydarte perły z chmur,
Naszyjnik na twą cześć,
Nizany w wiersza snur.

Przytul do piersi, grzej! —
Tający, kragły lód,
Aż się zatopi w niej
Rozkwitłym cierniem głóg.

Ogarnij, obejm, tul!
I słuchaj: serca stuk!
To znak, że już go Bóg
Zamienił na Twój ból.

Jak pacierz wtedy zmów
Tę burzę, strumień, run! —
Dojrzały owoc słów,
Strącany z bitych strun.

Jak jabłko rozgryź rym,
Rozetnij wzdłuż i w szerz,
Jak ziarno — znajdziesz w nim,
Ze to nasz syn

— ten wiersz.

ZYGMUNT KOTOWICZ

CHINY W SZEREGACH DEMOKRACJI

POCZĄTEK KONFLIKTU

Wypadki wojenne na frontach europejskich, a przedtem afrykańskich, oraz rozgrywająca się bitwa o Atlantyk i działania wojenne na wyspach Pacyfiku odwróciły uwagę publiczną od frontu chińskiego. Tym nie mniej jednak znaczenie tego frontu nie zmalało, lecz na odwrót na skutek wejścia Anglii i Ameryki do wojny z Japonią jeszcze wzrosło. Oprócz znaczenia militarnego wypadki w Chinach posiadają również duże znaczenie polityczne, a w przyszłości będą posiadały poważny wpływ na układ sił politycznych w Azji z dużymi konsekwencjami dla reszty świata. Dlatego warto uprzytomnić sobie rozwój wypadków na terenie tego ogromnego kraju, liczącego ponad 420 milionów ludności.

Dn. 7 lipca 1937 r. w czasie nocnych ćwiczeń doszło do strzelaniny pomiędzy żołnierzami chińskimi i japońskimi. Po obu stronach były ofiary w ludziach. Kto spowodował awanturę, nikt dokładnie nie wie, gdyż komunikaty obu stron były, oczywiście, całkowicie sprzeczne. Nikt też nie przywiązywał do tego incydentu specjalnej wagi, gdyż od czasu okupacji przez Japonię Mandżurii i północnych prowincji chińskich, — często dochodziło do podobnych awantur. Tym razem jednak drobny incydent pociągnął za sobą nieobliczalne konsekwencje.

W cztery dni później japońskie władze konsularne otrzymały polecenie ostrzec obywateli japońskich, zamieszkujących Chiny, aby byli gotowi do ewakuacji „na wypadek poważnych wydarzeń”, jednocześnie zaś ministerstwo spraw zagranicznych w Tokio wydało komunikat, iż rząd japoński zdecydował się „przedsiewziąć wszystkie potrzebne kroki dla wysłania sił zbrojnych do Chin Północnych”. Tegoż dnia wojska japońskie przybyły z Mandżurii do Tientsinu, jednego z największych portów chińskich. Rokowania między władzami japońskimi a chińskimi ciągnęły się do dnia 28 lipca. Jak się jednak okazało, czas ten był potrzebny Japonii do skoncentrowania odpowiednich sił do uderzenia na Chińczyków i w dniu tym rozpoczął się generalny atak, który zapoczątkował dziś już siódmy rok trwającą wojnę.

NIEUDANY BLITZKRIEG

W początkowym okresie Japonicy przypuszczali, iż uda im się przeprowadzić rodzaj „Blitzkriegu” — że paroma silnymi uderzeniami złamią opór Chińczyków i będą mogli dyktować każde warunki. Wojskom japońskim udało się osiągnąć szybki sukces w Chinach Północnych, gdzie kompromisowo usposobiony przewodniczący Rady Autonomicznej Mopei i Czaharu, generał Sung Cze-Juan, nie zdobył się na zorganizowanie twardego oporu. Jednocześnie japońska flota wojenna, chcąc podzielić z armią lądową „wawrzyn zwycięstwa”, zaatakowała w sierpniu Szanghaj.

Lecz tu już sprawa poszła gorzej. Marynarka japońska napotkała na nieoczekiwany dla niej silny opór Chińczyków; walki o Szanghaj toczyły się aż do listopada 1937 r. i kosztowały Japonczyków bardzo drogo. Szanghaj padł, lecz rezultat tego był taki, że Japonicy zamiast spodziewanej kapitulacji Chin znaleźli się w obliczu gotowości do dalszej walki już nie poszczególnych generałów, ale całego patriotycznie usposobionego narodu chińskiego, który skupił się przy rządzie nankińskim Czang-Kai-Szeka. Zastosowane przez Japonczyków naloży terrorystyczne miały natomiast jedynie pedagogiczne znaczenie dla szerokich mas chińskich, które zrozumiały, że tym razem nie jest to tylko rozgrywka o sfery wpływów, ale walka, podjęta przeciwko całemu narodowi.

Japonicy wobec tego przedsięwzięli nową próbę osiągnięcia ostatecznego zwycięstwa, które miało dać uderzenie na siedzibę rządu chińskiego, Nanking. Liczyli oni, iż z upadkiem Nankingu upadnie i rząd chiński. Ręczywiście Nanking padł, lecz rząd ewakuował się do Hankou, gdzie nadal prowadził dzieło organizowania oporu przeciwko napastnikom.

WIELKA WOJNA

Teraz wytworzyła się dla Japonczyków bardzo nieprzyjemna sytuacja. Obie armie: jedna w Chinach Północnych, druga w Środkowych, zawisły jakby w powietrzu, nie osiągając rozstrzygnięcia i narażone na kontrataki oddziałów chińskich. Wobec tego sztab japoński musiał z kolei opracować plan strategiczny działań wojennych, zakrojonych na wielką skalę. Plan ten miał być przeprowadzony według ulubionego wzoru niemieckiego zastosowania manewru, zwanego Kannami, gdyż został on zastosowany pod Kannami przez Hannibala w drugiej wojnie punickiej. Celem tej strategii miało być otoczenie i zniszczenie wojsk chińskich, przy czym obie armie japońskie, wzmocnione nowymi posiłkami, miały spotkać się w okolicach nowej stolicy Chin — Hankou i zająć siedzibę rządu Czang-Kai-Szeka.

I znowu Japonicy osiągnęli tylko powożny sukces. Północna armia, odniosła początkowo zwycięstwo pod Suczou, poniosła poważne straty, gdyż jedna z dywizji została przez Chińczyków odcięta i całkowicie zniszczona pod Taierchwang, wysadzenie zaś tam na rzecze Jang-Tse-Kian, spowodowało powódź, obejmującą tysiące kilometrów kwadratowych terenu, co ostatecznie zahamowało posuwanie

się tej armii. W rezultacie cały ciężar walki spadł na armię centralną, która musiała uderzać atakiem frontalnym wzdłuż doliny rzeki Żółtej, operując przede wszystkim przy pomocy floty, posuwającej się w kierunku na Hankou. Z wielkich Kann nic nie wyszło.

Wobec tego Japonicy musieli wysłać dalsze wojska i zorganizować nowy front. Dn. 12 października flota japońska wysadziła pod Hongkongiem nowy korpus ekspedycyjny, który zaatakował Kanton, a po jego zdobyciu podjął marsz na Hankou, zagrożony siedzibę rządu chińskiego z kolei od południa. W tej sytuacji Czang-Kai-Szek zarządził ewakuację rządu do Czunking, armia zaś chińska wycofała się na zachód, zachowując pełną wartość bojową. Natomiast bezsprzecznie bolesnym ciosem dla Chin było odcięcie dostaw wojennych, które nadchodziły przez południowe porty chińskie.

NIEZŁAMANA SIŁA OPORU CHIŃCZYKÓW

Na początku r. 1939 wytworzyła się następująca sytuacja. Japonicy opanowali wszystkie porty i ważniejsze miasta chińskie, zajmując znaczną część kraju. Jednak okupacyjna władza japońska ograniczała się do miast i do terytoriów wzdłuż linii kolejowych. Natomiast już o kilka, a najdalej o kilkanaście kilometrów od linii kolejowej władza japońska nie istniała. Dlatego też w całym kraju mógł się bez żadnych przeszkód organizować chiński ruch wyzwoleńczy. Oddziały partyzanckie stale atakowały i przecinały linie kolejowe, wykołując pociągi i wysadzając w powietrze mosty. Organizowane były również napady na mniejsze garnizony japońskie, a nawet i na większe miasta. Wszystko to razem tak absorbowoło Japonczyków, a nawet zagrażało ich tyłom, iż uniemożliwiło dalsze posuwanie się w głąb kraju. Toczyły się jedynie walki frontowe o znaczeniu lokalnym i ze zmiennym szczęściem.

Chińczycy zostali wyparci do zachodnich prowincji, gorzej zagospodarowanych i prawie że odciętych od świata zewnętrznego, na terenie, pozbawione linii kolejowych i szos oraz większych ośrodków przemysłowych, jednak nie przerwali swej pracy nad organizowaniem oporu przeciwko najeźdźcy. Przede wszystkim dotychczasowe doświadczenia wojenne posłużyły im do wypracowania nowej taktyki walki. Zatrzymanie się Japonczyków dało czas na reorganizację i przeszkolenie armii, jednocześnie zaś dojrzała świadomość narodowa mas chińskich i zrozumienie przez nich obowiązków obywatelskich, co dało rządowi Czang-Kai-Szeka autorytet i siłę, jakimi nie dysponował rząd chiński od wielu wieków.

Jednym z najbardziej ciekawych epizodów tego okresu jest ewakuacja przemysłu chińskiego. Ponieważ ewakuacja odbywała się w kierunku terenów, pozbawionych sieci kolejowej, zaś taborom zmotoryzowanym władze chińskie nie dysponowały — więc ewakuacja fabryk odbyła się na... plecach robotników. Maszyny zakładów przemysłowych zostały zdemontowane, poszczególne, nawet stosunkowo dość ciężkie części rozdano robotnikom, których z garścią ryżu wyprowadzono w świat, wyznaczając punkt zborny, gdzie fabryka miała być znowu zmontowana. Jak opowiadają członkowie różnych misji, którzy bawili w tym czasie w Chinach, przy instalowaniu fabryk w nowych miejscach nie zbrakło nawet najmniejszych śrubek, zaś na długie kilometry karawany robotników, dźwigających pieczołowicie dobro narodowe, jakim stały się te chińskie fabryki w prowincjach, odciętych od świata, robiły niesamowite wrażenie.

NIEBEZPIECZNY OKRES

Wybuch wojny w Europie narazie nie wpłynął na sytuację wojenną w Chinach, ciężkim natomiast okresem stały się lata 1940-41. Na skutek klęski Francji rząd Vichy ulega naciskowi japońskiemu i zamyka drogę dla amerykańskich dostaw wojennych przez Indochiny, zaś Anglia, osamotniona w walce z Niemcami, godzi się na zamknięcie drogi birmańskiej, aby nie utrudniać swej sytuacji komplikacjami na Dalekim Wschodzie. W ten spo-

sób Chiny zostają ostatecznie odcięte od dostaw wojennych. Nie mogą również liczyć na pomoc od północy, gdyż Rosja dn. 13 kwietnia 1941 r. zawiera traktat o nieagresji z Japonią.

Jednocześnie Japonicy, aby opanować sytuację w zajętych prowincjach, utworzyli w marcu 1940 r. marionetkowy rząd, t. zw. „Narodowy Rząd Republiki Chińskiej”, na którego czele postawili chińskiego Quislinga, Wang-Ching-Wei. W listopadzie 1940 r. rząd ten zawarł z Japonią traktat, oddający Japonii pełną kontrolę militarną i gospodarczą nad Chinami, oraz uznał de jure państwo Mandżuko. W 1941 r. rząd ten został uznany przez Niemcy, Japonię i państwa prosiowe. W konsekwencji rząd Czang-Kai-Szeka zerwał z tymi krajami stosunki dyplomatyczne. Jednak i ta akcja polityczna wewnątrz Chin nie dała oczekiwanych przez Japonczyków rezultatów. Naród chiński pozostał nadal zjednoczony w swej woli walki z najeźdźcą, a tak zwany „Narodowy Rząd Republiki Chińskiej” wobec takiej postawy całego narodu szybko skompromitował się swą bezradnością nawet w oczach Japonczyków, którzy tych wschodnich „Quislingów” traktują jak zwykłych sługusów.

Siła oporu chińskiego nie słabnie. Kilka kolejnych ofensyw japońskich nie daje Japonczykom upragnionego rozstrzygnięcia, a częściowy sukces tych ofensyw jest z reguły redukowany przez kolejne kontrataki Chińczyków. Rząd Czang-Kai-Szeka, aczkolwiek w tym okresie kompletnie osamotniony, nie tylko że nie upada na duchu, ale potrafi w dalszym ciągu utrzymać wolę walki całego narodu, który trwa w wojnie już cztery lata.

NA NOWYCH TORACH

Nowym rozdziałem wojny na Dalekim Wschodzie staje się atak japoński na Stany Zjednoczone, Wielką Brytanię i Królestwo Holenderskie. Pomimo początkowych, szybkich powodzeń Japonczyków, którzy zajmują Hongkong, Singapur i Rangun, a tym samym ponownie zamykają drogę birmańską, — nadzieja na zwycięstwo zamienia się u Chińczyków na pewność.

Japonicy, zaangażowani w walkach na Nowej Gwinei i na wyspach Salomona oraz na froncie birmańskim, nie mogą skoncentrować wystarczających sił dla podjęcia nowej wielkiej ofensywy na froncie chińskim. Czas ten mogą Chińczycy wykorzystać dla reorganizacji i przeszkolenia swej armii oraz dla rozbudowy lotnictwa przy współpracy rzeczoznawców amerykańskich i angielskich, w celu podjęcia przyszłej generalnej kontrofensywy przeciw Japonczykom łącznie z działaniami na wielką skalę Anglii i Ameryki.

Obecnie pod okupacją japońską znajduje się 10 prowincji chińskich całkowicie oraz trzy częściowo. Pod całkowitą władzą Czang-Kai-Szeka pozostaje jednak duża część Chin, obejmująca powierzchnię ponad jednego miliona mil kwadratowych. Na tej olbrzymiej przestrzeni odbywa się wielka praca, będąca renesansem Chin nie tylko pod względem politycznym, ale także i gospodarczym, socjalnym oraz kulturalnym. W Chinach rodzą się dziś nowe idee, które mogą w przyszłości zaważyć również na kształtowaniu się myśli ludzkiej zarówno w Europie, jak i w Ameryce.

Ewolucja, jaka zaszła w Chinach od 1912 r., kiedy została obalona dynastia mandżurska i „Państwo Środka” stało się republiką, spowodowała w tym kraju olbrzymie przemiany we wszystkich dziedzinach życia państwowego i narodowego. Przede wszystkim nastąpił wzrost oświaty, przy czym uniwersytety chińskie skruszyły mur, oddzielający je od nauki i oświaty europejskiej i amerykańskiej, i zaczęły w szybkim tempie przyswajać sobie zdobycze cywilizacji Zachodu. Liczne zastępy studentów uzupełniały swe wykształcenie studiami na uniwersytetach europejskich, aby zdobytą wiedzę służyć rekonstrukcji kraju. Na skutek tego przyszedł nie tylko postęp gospodarczy i techniczny, ale Chiny zaczęły przyswajać sobie także nowe idee.

DEMOKRATYCZNA BUDOWA

Mało jest znany fakt, iż ustrój współczesnych Chin nie tylko że krystalizuje się według wzorów demokratycznych, lecz jeszcze rozbudowuje ustrojowe formy demokratyczne. Chinami rządził t. zw. „Narodowa Rada Rządząca”, nazywana także „Radą Stanu”, której prezes *) wykonuje funkcję głowy państwa. Rada Stanu dzieli się na pięć rad, zwanych Juan: radę wykonawczą, która odpowiada naszemu rządowi i składa się z takich samych resortów ministerialnych; radę ustawodawczą, która jest odpowiednikiem parlamentu; radę sądową, której podlega sądownictwo oraz wszelkiego rodzaju orzeczenia na podstawie obowiązującego prawa; radę kontrolną, której funkcje podobne są do funkcji polskiej Najwyższej Rady Kontroli; oraz radę egzaminacyjną, do której należy egzaminowanie i orzekanie, czy kandydat na stanowisko państwowe posiada odpowiednie do tego kwalifikacje i bez której orzeczenia nikt nie może być przyjęty na żadną posadę państwową.

W ten sposób monteskiuszowska zasada trójpodziału władz (władza ustawodawcza, wykonawcza i sądowa), uzupełniana w latach późniejszych w coraz większym zakresie przez uznawany, niezależny czynnik kontrolny, została zastąpiona w Chinach przez pięciopodział władz. Czynnik kontrolny nie jest tylko urzędem, lecz odpowiedzialnym ciałem zbiorowym, zaś badanie kwalifikacji do służby publicznej, podporządkowane specjalnie powołanej ku temu władzy, ma wykluczyć takie zjawisko, jak powierzanie komuś pewnego stanowiska z tego tylko powodu, że ten ktoś ma „plecy” i „protekcję”.

Poszczególne rady mogą decydować tylko w zakresie spraw, podlegających wyłącznie kompetencji danej rady. W wypadku, gdy sprawa wchodzi w zakres kompetencji dwu lub więcej rad, sprawa taka musi być rozstrzygnięta przez „Narodową Radę Rządzącą”, gdzie zasiadają na równych prawach członkowie wszystkich „Juanów”. W ten sposób ustrój polityczny Chin wyklucza szkodliwe dla państwa spory kompetencyjne pomiędzy najwyższymi władzami.

Jak widzimy więc, w narodzie chińskim nastąpiło nie tylko obudzenie się pragnienia niezależnego, wolnego bytu narodowo-państwowego, ale również i obudzenie postępowej myśli politycznej, które stwarza nowe wzory i z których, kto wie, czy nie będzie korzystał w przyszłości nawet i Zachód.

W tych okolicznościach jest rzeczą zrozumiałą, iż Czang-Kai-Szek, który jest przywódcą narodu chińskiego nie typu dyktatora, lecz raczej podobnego typu, co Churchill lub Roosevelt, i który reprezentuje najliczniejszy naród na kuli ziemskiej, o wielkich wartościach patriotycznych i konstrukcyjno-politycznych, — spotkał się w Kairze z prezydentem Rooseveltem i premierem Churchillem jako wielkiej klasy partner zarówno w prowadzeniu wojny, jak i układaniu planów przyszłego trwałego pokoju.

PRZYJAŹŃ POLSKO-CHIŃSKA

Rząd Polski w pełni doceniając znaczenie roli Chin w rodzinie Zjednoczonych Narodów, podniósł swe przedstawicielstwo dyplomatyczne w Czungkingu do rangi ambasady i w swej polityce znalazł po stronie chińskiej dużo przyjaźni. Wyrazem tej przyjaźni jest odezwa do Polaków, uchwalona dnia 14 czerwca b. r. na zebraniu mieszkańców Czungkingu z okazji dnia Zjednoczonych narodów. Brzmi ona:

„Do Narodu Polskiego i Walczących Wojsk.

Dziś, z okazji dnia Zjednoczonych Narodów, ludność wojennej stolicy Czungkingu, roznosząc flagi waszego kraju, bierze udział w olbrzymim pochodzie i w masowych zebraniach. Fala entuzjazmu, zbierająca w nas i około nas, o niespotykanym dotychczas natężeniu, jest dowodem naszej szczerości w najściślejszej współpracy z wami oraz węzłów przyjaźni. Obchodząc ten dzień, który symbolizuje światło i ostateczne zwycięstwo Zjednoczonych Narodów, pozdrawiamy was.

W ciągu ubiegłego roku front Zjednoczonych Narodów wzmocnił się politycznie i militarnie; przeżyliśmy inicjatywę od naszych wrogów. Te dwa fakty przybliżyły nam jeszcze bardziej dzień pokonania naszych wspólnych nieprzyjaciół i ostatecznego zwycięstwa. Napastnicy są jednak jeszcze zdolni do prowadzenia walki jak osaczony zwierzę i dlatego musimy zdwoić nasze wysiłki dla przyspieszenia ich zagłady.

Aczkolwiek zaangażowaliśmy Japonczyków w walkę na śmierć i życie już od sześciu lat, będziemy i nadal walczyli u boku naszych Aliantów i uczynimy wszystko, co w naszej mocy, by sprostać ciężkiej na nas odpowiedzialności i wypełnić obowiązki członka Zjednoczonych Narodów.

Wy i my, walcząc o tę samą sprawę, znajdujemy się w tej samej łodzi. Dlatego też powinniśmy blisko współpracować nie tylko w czasie wojny, lecz także i po osiągnięciu zwycięstwa, aby realizować najwyższe ideały, zawarte w deklaracji Zjednoczonych Narodów, dla trwałego pokoju”.

*) Prezydent, dr. Lin Sen, zmarł w sierpniu 1943 r. Na jego miejsce został wybrany Czang-Kai-Szek.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

SONET WOJENNY

Oto giną katedry, wieże i pomniki,
Nasz gotyk i renesans, na których się złocą
Smugi wieków jak linie piaskowca i miki,
I gdzie zbiegła się wiara, by żyć było poco.

Zapalone bombami, gdy kruszą się noca,
Gdy w gruz je wali człowiek, homo sapiens dziki,
Skąd przyzywać ratunku, jak spieszyć z pomocą,
Muzy wolać umilkłe czy przeklinać Niki?

Umiera nasza sława, W tym zgubionym świecie,
Gdzie nawet kamień kona śród ognia i dymów,
Ocal nas, wieczne słowo, zaufaj pocie.

Nad ruinami szeptem zaklęcie swe wymów,
A świat przetrwa noc straszna, świat w jednym sonecie,
Sława czternastu wierszy i czterech twych rymów.

Przedrukowano z nr. 40 nowojorskiego „Tygodnika Polskiego” z dn. 10 października b. r.

KONRAD PRUS

Książka przebrzmiałych strachów

The Armies March. A Personal Report by John Cudahy. New-York 1941.

Książka interesująca ze względu na osobę autora i ze względu na moment, w którym powstała — tuż przed wypowiedzeniem przez Stany Zjednoczone wojny Niemcom. Nazwisko swoje zaopatrzył Cudahy tytułami ambasadora w Polsce, ministra w Irlandii i znowu ambasadora w Belgii. Książka jest opowieścią jego przeżyć na terenie Europy. W Polsce był on na parę lat przed wojną. Przed wybuchem wojny znalazł się w Irlandii. W czasie wojny, przed wkroczeniem Niemców do Belgii, został ambasadorem przy królu Belgii i przeżył wojnę belgijską i zwycięstwa niemieckie. W ten sposób skończył swoją misję w charakterze urzędnika dyplomatycznego na terenie Europy. Nie wytrzymuje jednak w Stanach długo. Z końcem 1940 a z początkiem 1941 roku jedzie z powrotem do Berlina i odwiedza Belgię w charakterze korespondenta pism amerykańskich. Obserwuje Niemcy, niemiecką maszynę wojenną, bada plany organizacji świata przez Niemcy, ich system gospodarczy, obserwuje działanie tego systemu gospodarczego w Belgii i snuje prorocтва.

Epizody polski i irlandzki są dodatkami, nie mającym znaczenia dla całości książki. Bez nich obeszłaby się ona znakomicie.

Dla nas rozdział polski, będący w wstępie opowieści, jest bardzo interesujący. John Cudahy nie umie historii. Porównywanie rządów Józefa Piłsudskiego z „absolutnymi” rządami króla Sileskiego „300” lat temu jest naturalnie grubym błędem historycznym. Ale ciekawe jest, jak widział Polskę ambasador Wielkiej Demokracji Północno Amerykańskiej.

Johna Cudahy’ego poznałem w roku 1933, gdy jesienią przyjechał na odsłonięcie we Lwowie pomnika Lotników Amerykańskich, poległych w Polsce. Pokazało się, że byliśmy „graduates” tego samego uniwersytetu, co spowodowało, że pozostawiliśmy przez czas pobytu Cudahy’ego w Polsce, a nawet i potem, w korespondencji i widywaliśmy się od czasu do czasu. Rozmowy nasze nie ograniczały się do pogody i muszę stwierdzić, że poza pewną naiwnością kryła się zasadnicza uczciwość i chęć poznania prawdy.

Obraz Polski, tak jak ją widział i w książce opisał, jest jednak zupełnie wykrzywiony. Widzi bowiem Cudahy Polskę jako państwo feudalne. Znajduje dla tego stylu życia Polski, a pośrednio także i Europy, wytłumaczenie w tym, że świadomość zbliżającej się katastrofy była tak silna, iż dla umożliwienia normalnego życia trzeba było stworzyć iluzję, że jest inaczej. Polska iluzja polegała na kontynuacji życia dawnego państwa sprzed rozbiorów. Józef Piłsudski, zdaniem jego, to rycerz spod Grunwaldu.

John Cudahy rozmawiał z Piłsudskim po zawarciu porozumienia z Niemcami i zapytał go, co sądzi o przyszłości stosunków polsko-niemieckich po upływie ważności traktatu. Odpowiedź Piłsudskiego była bardzo charakterystyczna: „Młody człowieku, politycy budowali przyszłość swoich państw przynajmniej na jedno pokolenie. Teraz ten, kto planuje z perspektywą jednego roku, prowadzi bardzo długofalową politykę, a kto planuje na dziesięć lat naprzód, jest zwyczajnym idiotą”.

Wedle autora rządy polskie, to rządy absolutne, gdzie mówienie prawdy było rzeczą niepożądaną. Gdzie nawet ambasador Stanów Zjednoczonych nie uważał za stosowne używać zbyt szczerzego języka. Józef Beck, jedyny człowiek, którego poza Józefem Piłsudskim Cudahy opisuje bliżej, jest jego zdaniem dyplomata ze szkoły Talleyranda, którą rzekomo cechował „kruchy realizm”. W dalszym ciągu autor wyjaśnia: „Beck był sprytny, ale tym sprytem afektowanym, który ostatecznie nie jest mądrością. Stosunki między rządami są takie same jak wszelkie inne. Tylko szczerść i uczciwość mogą zrodzić zaufanie, a bez zaufania nie można przekonać drugiej strony”.

Życie Polski, jakie Cudahy opisuje — to polowanie na Kresach Wschodnich, lub też bankiety, na których zgromadzeni urzędujący wysłgi obżarstwa. Wedle słów autora: „wszyscy żyją z ziemi. Rola jest jedynym bogactwem i, jakkolwiek nie było jej dosyć dla wszystkich, to jednak wielcy właściciele nie rozumieli anachronizmu tej groteski, jaką był nierówny podział własności ziemskiej”.

Nie objaśniono autora nawet o prawdziwym stanie rolnictwa polskiego. Bo przecież stosunki na Kresach północno-wschodnich nie były typowe dla całej Polski. Aspekt reformy rolnej, która nie wykonana od razu zachowała posmak fałszywego gestu politycznego, — mści się.

Cudahy nie wiedział nic o Polsce przemysłowej, o polskim szkolnictwie, o urządzeniach socjalnych. A nie wiedział dlatego, bo mu tych rzeczy nie pokazano. Bo podkreślenie takich szczegółów nie leżało w linii tych, którzy się tymi rzeczami w Polsce zajmowali.

I oto rezultat. Polska dla nowoczesnego Amerykanina, to prawie że przedpotopowy zabytek. Dla Cudahy’ego Polska to kraj żyjący tak, jak „trzysta lat temu”. „Trzysta lat” to brzmi w ustach Amerykanina, jak w ustach Rzymianina „przed założeniem Rzymu”, to znaczy gdzieś w czasach przedhistorycznych. Bo właśnie „300 lat temu” to dla Amerykanina takie czasy, jak dla nas Mieszko, I lub chrzest Polski.

W Irlandii zastaje Cudahy’ego wojna. Bardzo prędko zostaje przeniesiony do Belgii, gdzie jest świadkiem wojny nerwów aż do wkroczenia Niemców do Brukseli.

Już w Irlandii zetknął się autor z pierwszą zbrodnią niemiecką: zatopieniem statku „Athenia” z wielką ilością obywateli amerykańskich na pokładzie. Nikt nie stwierdził, kto ostatecznie odpowiada za tę zbrodnię. Niemniej jednak z poza niedomówień autora przegląda przekonanie, że byli to Niemcy. Ten fakt stanowi punkt wyjściowy dla narastania uczucia, że potęga militarna niemiecka jest czymś, czemu się oprzeć nie można. Niemcy w Belgii wedle tego, co autor opisuje, zwłaszcza w pierwszym okresie swego pobytu w Belgii w charakterze oficjalnym, zachowują się przyzwoicie. Nie ma okrucieństw, nie ma indywidualnych znęcań się nad ludnością i niewinnymi. Tylko maszyna wojenna niemiecka jest tak znakomita, jest tak straszna w swoim działaniu, tak potworne siły wyładowuje w walce, że tam, gdzie wejdzie do akcji, ludzkie istnienie nie może się ostać. Następnym zjawiskiem katastrofalnym, które autor opisuje, jest głód w Belgii. Tragiczny kontrast ze stanem przed wybuchem wojny tego kraju, opływającego we wszystko. Głód nie spowodowały rabunkami, konfiskatami, tylko tym, że żołnierz niemiecki został wyposażony w markę okupacyjną, którą płać, kupując wszystko, co wpadło pod oczy. Autor nie uważa tego za rabunek chyba tylko dlatego, że nie było to dokonane w formie indywidualnych napadów żołnierzy niemieckich. Jak jednak ocenili to ci Belgowie, którym opróżniano półki w sklepach i szpitalnie po wsiach, pozostawiając papierki, mające mniejszą wartość, niż kwity rekwizycyjne? Dzisiaj oglądamy inną inwazję, w której tuż za kolumnami amunicyjnymi i żywnościowymi dla wojska ciągną kolumny z żywnością dla ludności cywilnej. Dzisiaj Włochy są prawie że aliantem, ale nawet wówczas, gdy wojnę się prowadziło z cesarzem Etiopii, na Sycylii ludność była odżywiana przez wojsko. Niemcy nie zawahaliby się przed rozpoczęciem wojny czy operacji z tego względu, że to spowodowałoby śmierć całej ludności cywilnej kraju, jakkolwiek Hitler głosił, że nie walczy z ludnością cywilną.

W sprawie króla Belgów, Leopolda III, autor zajmuje stanowisko obrońcy. Król belgijski był dowódcą naczelnym armii i dlatego pozostał wraz ze swym żołnierzem. Sytuacja jego była, zdaniem autora, odmienna od stanowiska jego rządu, który, opuszczając swój kraj, przenosił walkę poza jego granice.

Historia belgijska kończy pobyt oficjalny autora na terenie Europy. W kilka miesięcy potem przez Hiszpanię lądował autor w Berlinie, stolicy królującego militarysty. W dniu podpisania lend and lease billu rozpoczyna obserwacje niemieckie.

Ta część książki zaczyna się od potrzebnych dla publiczności amerykańskiej faktów ilustrujących stosunki, panujące w Niemczech. W tych faktach, podanych z uczciwą dokładnością, łatwo zagubi właściwy sens wyjazdu autora do Niemiec. Cel ten jednak stanie się jasny, gdy uzmyslowimy sobie, w jakim momencie wizyta nastąpiła. Wyjeżdżając ze Stanów Zjednoczonych, zdawał sobie autor sprawę z tego, że kraj jego znalazł się na równi pochyłej, której pierwszym krokiem było przygotowywanie pomocy materialnej dla Wielkiej Brytanii i jej Sprzymierzeńców, a w szczególności zaś dostarczanie broni. Zarówno obywatele Stanów Zjednoczonych, jak też i Wielka Brytania, zaczynały zdawać sobie sprawę z tego, że się na tym nie skończy. Czy zatem celem tej wizyty było popełnienie kosa historii, by potoczyło się szybciej, czy też autor zmierzał do zahamowania biegu wypadków? Wydaje się, że można udowodnić to drugie. A oto dowody: sam Hitler, którego autor spotyka w Berchtesgaden, jakkolwiek robi wrażenie nieprzyjemne, to jednak mówi rozsądnie i posługuje się argumentami, które autor rozumie. Rozmowa dotyczy sprawy stosunków niemiecko-amerykańskich. Też Hitlera jest, że jeśli Ameryka nie będzie się mieszać do konfliktu europejskiego, to nie będzie kryzysu w tych stosunkach. Natomiast wszelka pomoc, jak np. konwojowanie transportów przez Atlantyk, oznacza wojnę, na którą Niemcy odpowiadają akcją zbrojną. Autor powtarza argumenty Hitlera, że nie ma co się obawiać niebezpieczeństwa inwazji niemieckiej na drugiej półkuli. Hitler uważał, że tego rodzaju operacja jest w praktyce niemożliwa. Sam autor przyznaje, że w sprawie tej nie ma opinii specjalistów alianckich czy amerykańskich. Drugim problemem, o większym znaczeniu praktycznym dla życia Stanów Zjednoczonych, który autor porusza w swej rozmowie z Hitlerem, jest kwestia współzawodnictwa gospodarczego Niemiec ze Stanami. Niższy poziom życia niemieckiego świata robotniczego w porównaniu z amerykańskim ułatwiłby konkurencję przemysłowi niemieckiemu. Hitler uspokaja rozmówcę. Niemcy chcą tylko wyłączać się w Europie. Zresztą podwyższenie stopy życiowej robotnika niemieckiego jest celem narodowego socjalizmu. W tej sytuacji gospodarczej, w jakiej znalazła się pozbawiona złota Europa, jedynie przewodnictwo Niemiec, których liczna ludność i duży przemysł potrzebowały ryn-

ków zbytu i produktów rolniczych Europy, może uratować życie gospodarcze Europy. Jedynie Niemcy mogą zawrzeć np. traktat gospodarczy z porudniową Europą i, potrzebując jej produktów rolniczych, dać jej w zamian za to wyroby przemysłowe. Niemcy nie są zainteresowane w systemie niewolniczym Europy. Sąsiedzi Niemiec w systemie niemieckim będą mieli możliwość rozwijania swojej kultury w myśl swoich potrzeb i woli.

Rozmowa z Hitlerem jest punktem wyjściowym dla dalszych argumentów, wskazujących, że wojna europejska, tak ona bowiem przedstawiała się w umyśle autora, jest sprawą, w której Ameryka nie ma do powiedzenia. Nie kwestionuje autor słuszności wojny. Jakkolwiek powtarza argument, że to przecież Anglia i Francja wypowiedziały wojnę Niemcom, to jednak widocznie w umysłach publiczności amerykańskiej sprawa ta została przesadzona na niekorzyść strony, przy której autor staje. Jedynym zatem podejściem, które mu pozostaje, to odpowiedź na pytanie, czy wojnę tę mogą wygrać Alianti. Autor dochodzi do przekonania na podstawie własnych doświadczeń i obserwacji nalotów na Berlin, oraz na podstawie tego, co pisano o działaniach lotniczych w Hiszpanii, że lotnictwem wojny wygrać nie można. Ponadto w owym czasie Stany Zjednoczone miały w Berlinie kilku specjalistów wojskowych, którzy przedyskutowali z nim tę sprawę. Wszyscy oni byli przekonani, że wojnę można wygrać, tylko atakując Niemców na lądzie. Piechotą wspartą przez lotnictwo: oto odpowiedź. A to zdaniem autora i tych specjalistów, o których wspomina, jest niemożliwe. Tak samo niemożliwością jest oczekiwanie na rozwiązanie problemu przez rewolucję wewnętrzną. Przede wszystkim dlatego, że przy dzisiejszych środkach technicznych, ten, kto ma siłę wojskową do swojej dyspozycji, może trzymać tak silnie nad sobą dyspozycję, że nikt nie będzie w stanie przeciwstawić się czynnikowi rządzącym. Autor przyznaje, że ludność jest zmęczona wojną, że na wiadomość o zwycięstwach nie cieszy się, że brak entuzjazmu, że raczej myśli o zakończeniu tego wszystkiego, ale stwierdza, że nie ma szansy, by naród niemiecki porzucił swego Wodza. Albowiem: „wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że brak jednoci oznacza klęskę, a klęska oznacza hańbę poniżenia i cierpienia większe od tych, jakie nastąpiły po rozejmie 23 lat temu”.

Rozpatrzymy, czy można wygrać wojnę, i doszedłszy do odpowiedzi negatywnej, przedstawia autor dalsze argumenty za zakończeniem wojny, a mianowicie:

1. cierpienia Europy, a w szczególności Belgii, która odciała od reszty świata przechodzi kryzys głodowy, a która nie może otrzymać z zewnątrz pomocy nawet w formie reliflu amerykańskiego, gdyż Alianti na to nie pozwalają;
2. niemiecki plan gospodarczy, który zamierza stworzyć z Europy wielki obszar gospodarczy samowystarczalny i umożliwiający stworzenie względnego dobrobytu na tym terenie;
3. niemiecki projekt obejścia się w organizacji handlu międzynarodowego bez złota;
4. zagadnienie, czy Niemcy mogą wytrzymać blokadę.

Ocena tych wszystkich czterech czynników wypadła dla Niemiec korzystnie. Nawet krytyka planów gospodarczych niemieckich pióra profesora Sprague z uniwersytetu Harvard popiera opinię autora.

Dzisiaj na książkę Johna Cudahy’ego patrzymy z perspektywy faktów, które zaszły między rokiem 1941 a dniem dzisiejszym. Dzisiaj wiemy, że ofensywa lotnictwa, prowadzona przy pomocy ogromnych czteromotorowych bombowców na Niemcy, może doprowadzić do zniszczenia fabryk przemysłu wojennego i do załamania moralnego narodu, przez całkowite dewastacje miast niemieckich. Dzisiaj wiadomo, że żadne miasto niemieckie nie przeżyje nalotu, w którym zrzucono 10 tysięcy ton bomb. Lotnictwo alianckie może w pewnym okresie czasu zniszczyć Niemców, jeżeli będzie miało odpowiednią ilość samolotów i bomb, a coraz bardziej wygląda na to, że będzie miało. Wiemy dzisiaj także bardzo dobrze, że można przy pomocy floty pozostającej w dyspozycji Aliantów wysadzić na kontynencie europejskim duże armie, które są w stanie ustanowić przyczółek mostowy i odskocznik dla dalszego ataku. Wiemy, że Sprzymierzeni mają wielokrotną przewagę w powietrzu i że żołnierze z naszego obozu biją się nie gorzej od żołnierza niemieckiego. Dlatego też tę książkę można dzisiaj czytać spokojnie.

Rzeczywistość odpowiedziała jednak nie tylko na problemy militarne w rozwiązywaniu sprawy Niemiec hitlerowskich. Z cierpiącej Europy zna autor tylko Belgię. I Belgia jest pod pewnym względem odpowiedzią na to, jak zachowywały się Niemcy w stosunku do różnych krajów europejskich, na wypadek gdyby wygrały wojnę. W roku 1940 i 1941 Europa była zniszczona rękami niemieckimi, wygłodzona i obdarta przy pomocy okupacyjnej waluty niemieckiej. Wyobraźmy sobie, jak wyglądałoby odbudowywanie Europy przez Niemców, gdyby utrzymali się przy jej posiadaniu. Poza planem solidarności gospodarczej musi stać poczucie solidarności duchowej i

moralnej, która nie pozwoli na to, by obok sytych Niemców głodował naród, który wojny nie zawiązał, nawet w myśl nazistowskich zapatrywań. Autor znał wojnę 1914—1918. Opierając się na doświadczeniach z tamtej wojny, mówił mi, że Niemcy nie mogli być pobite. Nie mogły nie tylko z przyczyn ściśle materialistycznych, które spowodowały, że niemiecka maszyna wojenna jest doskonalsza od armii reszty świata, że za żołnierzem niemieckim stał przygotowany i spreparowany naród. Naród ten od wieków jest przyzwyczajony do prowadzenia wojen, do przelewu krwi, nie potrzebuje wolności, oddycha dyscypliną, i stan dzisiejszy jest ideałem, w którym czuje się dobrze. Dzisiaj naród niemiecki wierzy w Hitlera: „...on uformował ich myśl, przerobił ich charaktery i zniszczył wszelką opozycję... doprowadzając do tego, że Hitler to Niemcy, Niemcy to Hitler”.

I autor kończy swą książkę wyznaniem pesymizmu. Nacjonalizm taki, jak hitlerowski, musi skończyć się wojną. Jakkolwiek nie widzi możliwości zwycięstwa, to jednak wypowiada swój pogląd na to, jak urządzić świat, by więcej nie wydawano rozkazów armiom do maszerowania.

Rozwiązanie widzi w ekonomicznym podziale świata, w którym jednak narody mniejsze nie byłyby poddane władzy czy uciskowi jednego narodu czy grupy narodów rasowo spokrewnionych. W jaki jednak sposób autor chce uzyskać zrealizowanie swego planu, tego nie wiadomo. Można by wnioskować jedno, że dla ocalenia Ameryki musi ona sobie ubezpieczać swoje pozycje, machnąwszy ręką na Europę, której nie pomoć nie można.

Obraz niemieckiej siły zamyka książkę. A autor, jakkolwiek dotyka wszystkich niemal problemów, związanych z pojawieniem się państwa nazistowskiego w świecie, nie poruszył zasadniczego, który zdaje się jednak stanowić sedno całej tej sprawy. Nie omawia ideologii. Nie widzi teorii rasowej wyższości, poświęcenia w myśl tej ideologii jednostki na pastwę molochowi, jakim jest nowoczesne państwo. Autor zdawał sobie, zdaje się, sprawę z tego, że tego już publiczność amerykańska nie strawi. A przecież tutaj tkwi istota problemu.

Jeżeli bowiem dzisiaj znajdujemy się już poza punktem kulminacyjnym wojny, jest to zasługa nie tylko tego, że sprzęt angielski czy amerykański jest lepszy od niemieckiego, że osłabił potencjał gospodarczy Niemiec, ale i tego, że ideologii, z jaką idzie w bój żołnierz niemiecki, przeciwstawiono inną. Wyrażono niedawno zapatrywanie, że wojna dzisiejsza nie jest wojną ideologiczną. Wydaje się jednak, że zapatrywanie to jest całkowicie błędne. Wiemy dobrze, że żołnierz niemiecki wykonuje stary program podboju w oparciu o teorię wyższości rasowej, a temu programowi przeciwstawiono inny, który został wyrażony choćby w przemówieniu ministra spraw zagranicznych Stanów Zjednoczonych Cordella Hulla, który wynika z podstawowych założeń chrześcijaństwa, z tez moralnych, dziwnie lekomyślnie przez naszych domorożnych Machiavellów odrzuconych. Nie rozumiemy ci ludzie, że moralna strona problemu europejskiego, to nasz najpotężniejszy atut w walce o państwo. Być może, że dla nich prawdy proste nie są ideologią, że konieczne są skomplikowane zdania.

Zwątpienie Cudahy’ego wynikało — zdaje się — z tego faktu, że zdawał on sobie sprawę, iż strona ideologiczna odgrywa w dzisiejszej wojnie zasadnicze znaczenie. Nie widział on w życiu i ideałach amerykańskich motywów dla ideologii i haseł, któreby należało przeciwstawić niemieckim. I tu mylił się zasadniczo. Z codziennego życia i jego wartości można wyciągnąć ideologię, przy której pomocy można zwalczyć ideologię wyjątkowości narodu, wyjątkowości praw jednych nad drugimi. Można z ideałów życia demokratycznego i jego codziennych wartości ukuć siłę, która pobije totalizm. Tego, niestety, nie widzi także wielu spośród nas. A przecież do nas przemawiały zawsze prawdy proste, które wyrażały szacunek dla człowieka jako osobnika, podkreślające związek naszego życia i naszych ideałów z Zachodem. Jeżeli były jakieś rozbieżności w porównaniu z rzeczywistością Zachodu, staraliśmy się to zawsze wytłumaczyć naszym trudnym położeniem geograficznym.

Trzeba wierzyć w siły proste, codzienne, wpływające z rzeczywistości, którą znać i rozumieć należy. Frazeologia mętna, oparta na fałszowanej historii, dać może tylko słabość i błąd.

W poniedziałek dn. 3 stycznia o g. 20-jej odbędzie się w sali Instytutu Angielsko-Polskiego przy ul. Sheinkin 45/47 w Tel-Awivie

WIECZÓR AUTORSKI
Władysława Broniewskiego
i RECITAL FORTIEPIANOWY
Marii BAR

Władysław Broniewski wygłosi szereg wierszy, zarówno nowo powstałych, jak i dawniejszych. Maria Bar odegra kompozycje: Glucka-Brahmsa, Beethovena, Chopina, de Falla, Rachmaninowa, Albéniza, Verdiego-Liszt.

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

NERW IRANU—KOLEJ TRANSIRAŃSKA

W sierpniu upłynęło pięć lat od daty otwarcia kolei transirańskiej. Od tego czasu Azja zyskała nową linię komunikacyjną, która może zaważyć na biegu historii tego olbrzymiego kontynentu. Gdy dn. 26 sierpnia 1938 r. depesze Reutera doniosły światu o ceremonii przecięcia białej wstęgi nad torem kolejowym przez Szacha Rezę Pahlevi, mało ludzi zdawało sobie wówczas sprawę z międzynarodowej wagi tego wydarzenia. Byli jednak tacy, którzy wiedzieli dobrze, jak bardzo poważny rozdział otwiera się w historii jednego z najstarszych krajów świata. Byli to przede wszystkim dyplomaci i oficerowie sztabowi angielscy, rosyjscy i niemieccy. Albowiem spełniało się coś, o co ludzie ci walczyli od dawna, a spełniało się niekoniecznie według ich życzeń. By zrozumieć ich mieszane uczucia, należy się cofnąć o parę dziesiątków lat.

PIERWSZE PLANY I INTRYGI

By pojąć genezę kolei transirańskiej, trzeba sięgnąć do tradycyjnych, a bardzo głębokich przeciwieństw między Niemcami a Anglią. Anglia gruntowała swą potęgę na morzu i przez morze. Niemcy wzrastali przede wszystkim jako mocarstwo kontynentalne. Stąd też wszelkie niemieckie plany dominacji świata łączyły się ściśle z wielkimi szlakami komunikacyjnymi Europy i Azji. Powstały w końcu ubiegłego stulecia niemiecki plan budowy

nocnych prowincjach Persji, Rosja już na parę lat przed r. 1914 rozpoczęła budowę szerokotorowej kolei z Dżulfy na granicy Kaukazu do Tabrizu, łącząc tym samym Tyflis ze stolicą Aserbejdżanu. Anglia patrzyła na to równie niechętnie, jak na plany niemieckie, jednakże wpływy rosyjskie na północy Persji były tak silne, iż trzeba było się pogodzić z faktem dokonaniem.

Jeżeli chodzi o samą Anglię, to fakt „morskości” jej potęgi nie sprzeciwiał się w zasadzie rozwojowi lądowych szlaków komunikacyjnych, pod tym warunkiem jednakże, że będą one niejako przedłużeniem dróg morskich. Dlatego też już w r. 1912 rząd indyjski (którego kompetencji politycznej podlegała południowa Persja) postanowił zbadać możliwości budowy kolei, która łączyła Buszır przez Ahwaz, Dizful i Burudżird z Teheranem. W tym celu wydelegowano słynnego porucznika Arnolda Wilsona dla przeprowadzenia prac kartograficznych i wywiadowczych na projektowanej trasie. Buszır był wówczas główną bazą morską Wielkiej Brytanii w Zatoce Perskiej. Raport Wilsona z przeprowadzonych badań wypadł pozytywnie, tak że w następnym roku przybyła już do Luristanu brytyjska misja kolejowa celem dokonania szczegółowych pomiarów.

Wybuch wojny światowej położył tu kres planom wszystkich trzech mocarstw.

SYTUACJA POWOJENNA

Ostatecznie, po zakończeniu wojny światowej, Persja przedstawiała pod względem komunikacyjnym obraz prawdopodobnie daleko prymitywniejszy niż za dynastii pre-islamskiej Sassanidów. Drogi kołowe były raczej szlakami wielbłądzimi, cały zaś dobytek kolejowy stanowiła jedynie wspomniana linia z Dżulfy do Tabrizu (z 25-milowym odgałęzieniem do jeziora Rezaie), normalnotorowa kolej od granicy indyjskiej do Zahidaju w Beludżystanie (będąca strategicznym przedłużeniem kolei Karaczi—Quetta wzdłuż t.zw. „North-Western Frontier”) i trzy krótkie linie lokalne: Teheran — meczet Szacha Abdol Azima (5 i pół mili), Reszt—Pir-i-Bazar (7 mil) i wąskotorowa kolej Anglo-Persian Oil Company z Maszdid-i-Sulejman do Dar-i-Chazine (43 mile).

Mocarstwa, zainteresowane w rozwoju kolejnictwa w Persji przed wojną, powróciły do swych planów po wojnie, jednak już z pewnymi modyfikacjami, podyktowanymi zmienioną sytuacją polityczną. Przede wszystkim odpadł pokonany przeciwnik — Niemcy. Rosja zaś, wstrząśnięta rewolucją, musiała dbać w pierwszych latach po wojnie głównie o własne sprawy wewnętrzne, w wyniku czego zastosowała w stosunku do Persji politykę ugodową, wycofując się ze swych pozycji prawnych i faktycznych, a zapewniając sobie wzajemian za to jedynie obietnice Teheranu, iż prowincje północne nie staną się odskocznią dla innych mocarstw w ich ewentualnej akcji anty-sowieckiej. W tych warunkach Anglia została jedynym państwem, które było zainteresowane i miało realne możliwości konstrukcji kolejowych w Iranie. Tym jednak razem, ze względu na fakt, iż Mezopotamia dostała się pod kontrolę angielską, plany brytyjskie radykalnie się zmieniły. Dawna obawa penetracji niemieckiej na linii Bagdad—Teheran—Zahidan—Karaczi ustąpiła miejsca pragnieniu podtrzymania tejże właśnie koncepcji, gdyż linia taka łączyłaby doskonale system kolejowy iracki z systemem indyjskim, tworząc tym samym wielką lewantyjsko-indyjską drogę imperialną. Dawny plan drogi towarowej Buszır—Teheran był także podtrzymywany. Wobec możliwości realizacji tych zamierzeń przez Anglików, Niemcy, aczkolwiek niezdolni do aktywnej kontrofensywy, podejmowali jednak daleko idące intrygi w Teheranie, by plany te utraścić.

DECYZJA SZACHA REZY

Obce mocarstwa, przywykłe do traktowania Persji jako terenu swych wpływów, nie uwzględniły wszakże jednego ważnego czynnika: odradzającego się nacjonalizmu perskiego. „Self-made man” Reza Chan Pahlevi okazał się nie tylko brawurowym dowódcą brygady kozackiej, lecz także mężem stanu, który potrafił przywrócić swemu krajowi dawno zapomniany blask świetności. Zrećnie operując manewrem dyplomatycznym i siłą, nowy szach przystąpił do radykalnych reform, wzorując się częściowo na Kemal, a częściowo na Amanullahu, starannie jednak unikając błędów tego ostatniego. Jednym z głównych punktów szacha Rezy było techniczne zmodernizowanie kraju, któremu przywrócić starożytność miano Iranu, celem ułatwienia rozwoju ekonomicznego. Program ten miał być przy tym zrealizowany w miarę możliwości bez popadnięcia w zależność od kapitałów zagranicznych. Rozpocząć należało od rzeczy najważniejszej — od dróg komunikacyjnych. I tu właśnie spotkało wszystkich cudzoziemców największe rozczarowanie: szach nie poszedł ani na koncepcję rosyjską, ani na angielską, ani na niemiecką. Kierując się jedynie dobrem własnego kraju, szach zdecydował się połączyć koleją dwie części Iranu, odległe od siebie nie tylko przeszkodami naturalnymi, ale i tradycyjnym rozdziałem politycznym, jako sfery wpływów obcych mocarstw: część południową i część północną. Decyzja ta była ogro-

mnej wagi, gdyż trzeba pamiętać, że brak porządku dróg między morzem Kaspijskim a Zatoką Perską stwarzał jeszcze w czasie wojny sytuację, w której łatwiej było przejechać z Teheranu do Zatoki Perskiej przez Hamadan, Chanakin i Bagdad, niż prosto na południe przez Ahwaz. Wprawdzie, jak to wspomniano wyżej, Anglicy już przed wojną badali możliwości analogicznej drogi z Zatoki na północ, jednakże plany szacha i angielskie nie były identyczne. Przede wszystkim punktem wylotowym na Zatokę miał być nie Buszır, ale nowy, czysto irański port Bender Szachpur. Nad morzem zaś Kaspijskim kolej miała się kończyć na porcie Bender Szach. Wybór tych punktów właśnie, a nie tradycyjnych punktów ekonomicznej i militarnej penetracji rosyjskiej lub angielskiej, jak porty Enzeli (Pahlewi), Mohammara (Choramszar) lub Buszır, miał swą doniosłą wymowę. Druga różnica polegała na wybraniu innej trasy poprzez Luristan (zamiast prowadzić kolej na Burudżird i Hamadan, poprowadzono ją prosto na Erak do Teheranu).

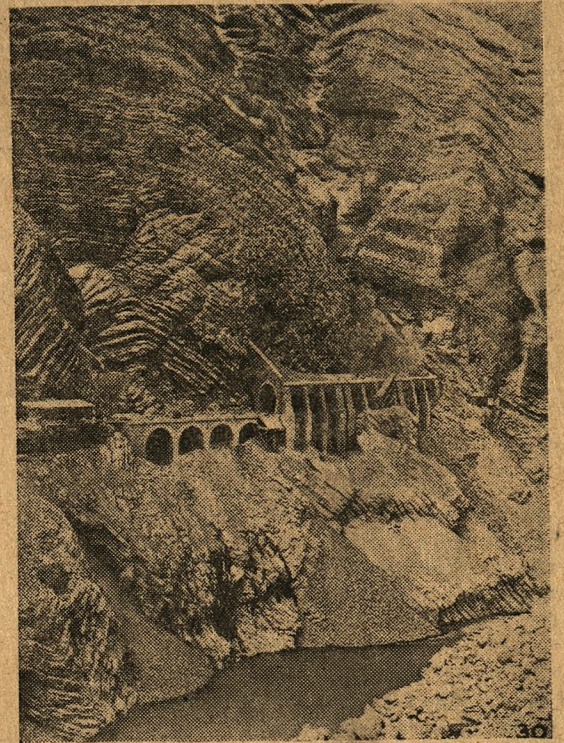
Jasnym jest, że ta decyzja szacha spotkała się z wieloma krytykami: oskarżano szacha o brak wycucia ekonomicznych potrzeb kraju, o brak zdrowej koncepcji strategicznej. Wydaje się jednak, że i w jednym i w drugim wypadku pomysł jego był dla Iranu najszybszy.

MIĘDZYNARODOWY WYSILEK ZA PERSKIE PIENIĄDZE

Dla ekonomistów i historyków ciekawy będzie fakt, iż dla przeprowadzenia tego gigantycznego planu państwo irańskie nie uciekło się do pomocy obcego kapitału. Fundusze na budowę rząd zebrał z szeregu bardzo ciężkich dla ludności podatków pośrednich (od konsumpcji cukru, herbaty i t. d.) i powierzając konstrukcję obcym firmom technicznym, dbał o to, by nie popaść w zależność od jednego tylko koncernu. Prace rozpoczęto w r. 1927, powierzając je inżynierom amerykańskim i ekspertowi niemieckiemu w służbie rządu irańskiego. W pół roku później system jednak zmieniono, kontraktując amerykańską firmę Ulen & Co. oraz trzy niemieckie firmy: Filip Holtzman, Julius Berger i Siemens Bau. Niemcy budowali odcinek północny, Amerykanie zaś południowy. Ten stan rzeczy uległ po paru latach także zmianie i ostatecznie w r. 1933 budowa całości została oddana syndykatom skandynawskiemu „Kampsax”, który ze swej

wymagał budowy czterech zwojów serpentyny, co w pewnym wypadku dało 41 mil linii kolejowej na przestrzeni, liczącej 22 mile w linii prostej.

Ostatecznie dn. 26 sierpnia 1938 r. budowa kolei została ukończona kosztem 28,000,000 funtów szterlingów. Zaraz po jej ukończeniu podniósł się ponownie głos krytyki, iż kolej ta nie jest włączona w międzynarodowy system kolejowy, z drugiej zaś strony, iż jest ona finansowo nieopłacalna. Oczywiście zarzut pierwszy jest słuszny, ale niekoniecznie z perskiego, narodowego punktu widzenia. Co do



Na stoku górskim

fot. Kampsax

strony finansowej przedsięwzięcia, to istotnie trudno określić, kiedy wydatki na budowę ulegną zwrotowi. Kierując się jednak zasadą czystego zysku przy tego rodzaju ogólnopaiństwowych inwestycjach, należałoby postawić pod znakiem zapytania wiele przedsięwzięć kolejowych w krajach zachodnich (wśród nich koleje szwajcarskie i angielskie), które często-kroć pracowały deficytowo, nawet należąc do prywatnych towarzystw. A zresztą ostatnie wydarzenia wojenne wykazały tak dobitnie, iż pieniądź nie jest wszystkim, jeżeli chodzi o ekonomiczny czy techniczny rozwój danego kraju. Dziś, gdy patrzymy na piramidy egipskie, czy na kanał suezki, nikt z nas nie pyta, czy finansowo były to rzeczy opłacalne. Kolej transirańska jest fenomenem bardzo analogicznym.

SPOJRZENIE W PRZYSZŁOŚĆ

Dumne plany szacha Rezy Pahlevi obróciły się w niwecz. Polityczny błąd monarchy zbytniego związania się z hitlerowskimi Niemcami kosztował jego samego tron, zaś naród irański — wiele rozczarowań. Kolej transirańska, która była pomyślana jako główny nerw Iranu, jako środek do podźwignięcia Iranu z nędzy i upadku, do spojenia go od wewnątrz i zapewnienia mu bezpieczeństwa, służy dziś dwóm obcym potęgom jako najważniejsza droga komunikacyjna. Od marca 1934 r. nawet administracja kolei przeszła w obce ręce — w ręce Amerykanów. Wydawałoby się napozór, że nie może być większej ironii losu, większego zawodu, sprawionego narodowi, który zbudował jeden z większych monumentów, jaki na przestrzeni wieków zna kontynent azjatycki. W czasie wojny nie należy jednak wyciągać przedwczesnych wniosków. Albowiem może właśnie ta kolej, będąca symbolem odrodzenia narodowego, przyniesie Iranowi pośrednią drogą to, dla czego była budowana: bezpieczeństwo i dobrobyt. Gdyż pomaga ona w tej chwili bardzo wydawnie do pokonania Niemiec. Oddala ona zatem od Iranu „dobrodziejstwa” rządów teutońskich. Kto wie, czy ogień tych walk, zużywających tak potężne zasoby skumulowanej energii niszczyielskiej, nie zaświeci kiedyś Iranowi jutrenką wolności, tak jak innym narodom, znajdującym się w analogicznym do niego położeniu.

Tak jak ongiś Mur Chiński miał zbawić cywilizację Państwa Środka przed zalewem barbarii, tak i dziś żelazna droga, arcydzieło geniuszu inżynierów XX w., może odegrać tę samą rolę wobec zagrożonej cywilizacji Zachodu.

WAŻNE DLA P. P. WOJSKOWYCH NA SEZON LETNI

poleca w wielkim wyborze mundury drelchowe i wełniane, szorty, koszule gotowe i na zamówienie, bieleżne trykotowa, oraz wszelkie artykuły i galanterię wojskową a także ręcznie haftowane dystynkcje.

GUR-ARIEH

(Właśc. A. Gurman)

TEL - A V I V, ul. ALLENBY 83

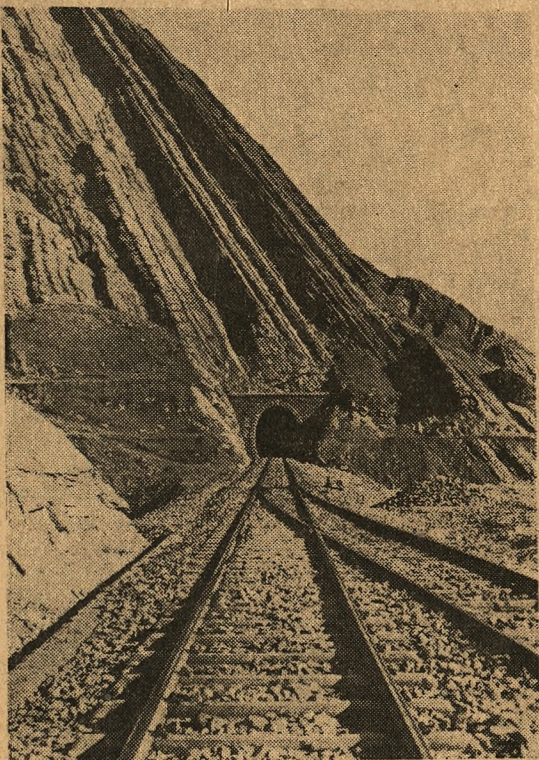


Serpentyny między Abassabad a Dugal

fot. Kampsax

strony powierzał budowę poszczególnych odcinków lub obiektów, jak tunele, mosty i t. p. innym firmom. Tak np. jeden z najtrudniejszych odcinków kolei, t. zw. kanion luristański, przypadł w udziale angielskiej firmie Richard Costain. Ponadto działało w charakterze subkontraktorów wiele innych firm, w tym włoskie, czeskie, szwedzkie i belgijskie. Materiały budowlane przybywały ze wszystkich stron świata: szyny z Rosji, podkłady z Australii, lokomotywy, pędzone ropą, ze Szwecji, cement z Japonii i Jugosławii, inne materiały z Niemiec, Ameryki i Belgii.

Praca, jakiej dokonano, była olbrzymia: należało bowiem budować kolej na niezwykle trudnym terenie, przeciętym wysokimi pasmami gór Zagros i Elborz (miejscami kolei przechodzi na wysokość około 2,500 metrów n. p. m.) i w niezmiernie trudnych warunkach klimatycznych, co powodowało na niektórych odcinkach wzmogoną śmiertelność wśród miejscowych robotników na skutek gorąca i wysokości. Ogółem musiano zbudować 88 tuneli i 108 mostów. Na niektórych odcinkach teren



Wylot tunelu

fot. Kampsax

kolei Berlin—Bizancjum—Bagdad był wyrazem teorii, która głosiła, iż panowanie wojskowe winno być poprzedzone penetracją ekonomiczną i techniczną, teorii, która przyswierała tak samo Niemcom w ich akcji na Bałkanach przed 39 rokiem. Dziś jest już rzeczą powszechnie znaną, jak bardzo Anglicy opierali się temu projektowi, który w razie urzeczywistnienia stawiałby ich wobec niebezpiecznego konkurenta w Zatoce Perskiej, jak dotąd wyłącznej ich domenie. Kontynuacja tej kolei poprzez Persję była logicznym rozwinięciem niemieckiego planu. Kierunek, któryby Niemcom najbardziej odpowiadał, był oczywiście z zachodu na wschód, czyli na osi Bagdad—Indie. Kierunek ten był już przez Niemców sugerowany przed 1914 rokiem, jednak nawet najambitniejsi Niemcy zdawali sobie podówczas sprawę z tego, iż plan ten jest przede wszystkim uzależniony od zbudowania kolei berlińsko-bagdadzkiej. Pomimo jednak oddalenia tych planów od możliwości szybkiej realizacji Anglia już w owym czasie zwałała ów projekt, jako niebezpieczny dla jej panowania w Indiach. Dziś, gdy nawet defensywa musi posiadać wiele momentów ofensywnych i gdy dobre drogi mogą często bardziej pomóc broniącemu się, niż brak dróg zaszkodzić atakującemu, ten upór i obawa Anglii wydają się nam paradoksalne. Nie zapominajmy jednak, jak bardzo różne były wtedy środki techniczne wojowania i jak zupełnie inna szybkość działań wojennych. W tych warunkach pustynna przestrzeń stanowiła prawdziwą zapórę, o której przebycie nawet najodważniejsi nie zawsze mogli się pokusić. Stąd też zrozumiała się staję wszelka przeciw-akcja angielska w tej dziedzinie.

Niebezpieczeństwo dla interesów angielskich płynęło wszakże nie tylko ze strony niemieckiej. Rosja, stary rywal Anglii na kontynencie azjatyckim, także żywiła plany przecięcia Persji linią kolejową, naturalnie w kierunku, któryby jej ułatwiał ekspansję handlową i militarną, a nade wszystko pozwolił dotrzeć do granicy Indii. Stąd też według projektów rosyjskich kolej miała biec po dwu trasach: 1) Baku—Teheran—Karaczi, 2) Tyflis — Tabriz — Teheran — Mesched — granica Afganistanu. Projekty te zaczęła Rosja realizować wcześniej, niż ktokolwiek mógł przypuszczać, sądząc po zacofaniu technicznym samego imperium carów. Korzystając ze stanu faktycznej przewagi, stworzonej po traktacie turkmancajskim z r. 1828 w pół-

MARIAN GÓRECKI

TARLE-NAPOLEON

W nauce rosyjskiej Tarle zajmuje obecnie pozycję czołowego, miarodajnego historyografa.

W 1937 r. wydaje on pretensjonalną monografię o Napoleonie, której z górą połowa poświęcona jest opisowi bitew i wojen. Czy prof. Tarle ma za sobą jakiegokolwiek studia wojskowe, nie nikomu o tym nie wiadomo. W każdym razie wyraźnie można stwierdzić, że ta część jego dzieła jest zwykłą kompilacją, której bezkrytyczność usiłuje on ratować przez dodawanie mało znanych szczegółów w stylu Victora Hugo.

Reputacja p. Tarle jako uczonego mogłaby więc tylko zyskać, jeśliby skreślił on ze swej książki naiwne opisy batalistyczne, ale to jeszcze nie wystarczyłoby dla odzyskania charakteru naukowego przez jego dzieło, dalszą bowiem pokazną część objętościową stanowią w nim anegdoty mniej lub więcej trywialne. Wielu już przed tym historyków spod ciemnej gwiazdy przyzdabiało swe utwory cytowaniem słów Bonapartego po przerzuceniu mu przydługiego sam na sam w Tyłach z królową Luizą przez jej małżonka Fryderyka Wilhelma — że, jeśli by król pruski wszedł do pokoju nieco później, to mapa Europy zmieniałaby się na korzyść Prus. Fakt, że prof. Tarle uważa za stosowne powtórzyć tę anegdotę, a także inne podobne, nie przynosi takiej ujemy, ani pięknej królowej, ani jej małżonkowi, szukającemu szans, ani Napoleonowi — jak pogrąża poziom naukowy pracy sowieckiego uczonego.

Po skreśleniu powierzchownych ustępów pseudo wojennych i po wyeliminowaniu wątpliwych ozdóbek, cóż pozostaje? Próba wyjaśnienia postaci Napoleona jako zjawiska społecznego na tle swojej epoki. Czy chociaż to mu się udało?

Tarle jako marxista

Możnaby oczekiwać, że Tarle, dyskredytując się jako historyk przez wkraczanie w dziedzinę, w których jest ignorantem, okaże się chociaż na wysokości w zakresie marxowskiego wyjaśnienia bonapartyzmu. W bibliografii skrupulatnie wyciła on najdrobniejsze ustępy z pism Marxa, Engelsa, Lenina i Stalina, odnoszące się do tematu. W pracy jednak nie umie zrobić z nich użytku. Kto przeczytał dzieło Tarlego, ten musi przyznać, że ono jest w pełnej rozbieżności z takim naprzykład zasadniczym poglądem Engelsa: „Konieczność przebijająca się przez wszelką przypadkowość jest znowu ostatecznie koniecznością ekonomiczną. Tutaj dochodzimy do rozpatrzenia zagadnienia t. zw. wielkich ludzi. To, że akurat taki i ten właśnie wielki człowiek zjawia się w danym czasie i w danym kraju, jest oczywiście czystym przypadkiem. Ale jeśli go wykreślić, to powstanie zapotrzebowanie na jego zastępcę i z biegiem czasu znajdzie się ktoś, kto tant bien que mal spełni te funkcje. Było rzeczą przypadku, że Napoleon, ów właśnie Korsykańin, był tym dyktatorem wojskowym, którego potrzebowała wyczerpana wojną Francja. Ze jednak w braku Napoleona zajęłby jego miejsce ktoś inny, tego dowodzi fakt, że ilekroć była tego potrzeba, znajdował się zawsze właściwy człowiek: Cezar, August, Cromwell”. (Z listu Engelsa do Starkenburga).

Ja, jako człowiek wolny i niezależny, mam prawo nie zgadzać się z Engelsem i nawet drwić z tych konieczności, względnie potrzeb, które tyle razy w dziejach nie zostały zaspokojone przez właściwych „funkcjonariuszy”, ale co mnie wolno, tego nie wolno Tarlemu, który to sam zresztą rozumie, lecz naprosto stara się niezrecznie dobranymi faktami i niezdarną ich interpretacją wytłumaczyć socjalno-ekonomiczne podłoże epoki napoleońskiej.

Znowu wróćmy do Engelsa, który dojdzie do władzy Napoleona objaśnia w ten sposób: „Burżuazja rozwinęła się szybko, mianowicie już podczas rewolucji, dzięki spekulowaniu skonfiskowanymi, a następnie sprzedawanymi posiadłościami ziemskimi szlachty i kościoła, a także dzięki oszukiwaniu narodu przez dostawców wojskowych. Właśnie panowanie tych oszustów doprowadziło Francję i rewolucję pod rządami dyktatoriatu na skraj przepaści i dało w ten sposób Napoleonowi pretekst do zamachu stanu” („Rozwój socjalizmu od utopii do nauki”).

Pogląd Engelsa może obrażać uczucia ludzi, przepędzonych dotąd kultem dla Wielkiego Napoleona, ale posiada wszelkie znamię konsekwentnego zastosowania doktryny dialektycznego materializmu i, co ważniejsze, może być skutecznie broniący przed zarzutami jednostronności przez dokładną analizę faktów historycznych.

Rozgłos, jakim dzięki protekcjom, reklamie i propagandzie umiał się otoczyć od początku Bonaparte, sprawił wespół z olbrzymimi talentami tego człowieka, że on właśnie, a nie ktoś inny, mógł zadość uczynić potrzebom swej żądnej władzy natury, ale ostatecznie trzeba pamiętać, że miał on po drodze konkurentów i że przewagę nad nimi uzyskał przede wszystkim dzięki swemu cynizmowi i bezideowości. Tego wszystkiego Tarle nie dostrzega i „jego Napoleon” idzie do cesarskiej korony drogą, wybrukowaną i wymoszczoną samymi anegdotami w rodzaju szczegółowego opisu akcesoriów 18 Brumaira, bez wnikięcia w istotne przyczyny i sprężyny tego zdarzenia.

Wracając do cytowanej tezy Engelsa o wielkich ludziach, trzeba stwierdzić, że Tarle jest zupełnie pochłonięty postacią Napoleona Bonaparte i nie go nie obchodzi, że gdyby nie Napoleon zajął wakujące według Engelsów

skiej konieczności stanowisko, lecz gdyby jego „zastępcą” stał się naprzykład Moreau, to bieg wypadków różniłby się tylko przez osobiste zabarwienie, ale ich sens dialektyczny nie mógłby się rzekomo zmienić. Tego wszystkiego Tarle albo nie rozumie, albo nie stara się wyświetlić, być może przez lęk, ażeby naruszając blask gwiazdy napoleońskiej nie popełnić crimen laesae majestatis wobec świętego mu słońca. Zobaczmy dalej, że Tarle uwypukla jednak ciemne strony osobistości Napoleona.

Napoleon jako wojskowy.

Nie można wnikać w tajemnice powodzeń militarnych Napoleona bez przestudiowania prac Colina'a o samowykształceniu wojskowym Bonapartego i bez zapoznania się ze studiami napoleonistycznymi Clausewitza, Scharnhorsta, Moltkego (starszego), a z Francuzów Gilbert'a, Bonnala i Focha. Tymczasem Tarle w bibliografii wymienia tylko podrzędne prace Clausewitza i Bonnala, o reszcie tych autorów nie wie. W dodatku w tekście swej pracy wyraźnie przysądza, jako znawcy napoleońskiej sztuki wojennej, wyższość Jomini'emu nad Clausewitzem, opierając się przy tym na opinii Engelsa. Opinia ta datuje się z czasu, kiedy pośmiertne wydanie prac Clausewitza nie mogło jeszcze być znane, a w każdym razie nie zyskało tego uznania, jakie posiada od czasu Schlieffena, jako najbardziej głębokie, filozoficzne dzieło o wojnie.

O manowcach, po jakich wędrowały dyletanckie zainteresowania wojskowe Tarlego, najlepiej świadczy fakt, że nie uwzględniając wymienionych naprawdę wybitnych fachowych pisarzy, cytuje w zamian aż trzy prace gen. Camona, który widocznie dlatego przypadł mu do smaku, że także widzi tylko zewnętrzne przejawy zdarzeń i z opisu wojen napoleońskich robi papierowe karykatury rzeczywistości.

Dla zrozumienia sztuki Cesarza Bitew można bezkarnie nie pamiętać wiele razy, kiedy i gdzie narażał się on na niebezpieczeństwo osobiste i jak się zachowywał na pobojujskich i wobec śmierci swych marszałków i generałów, ale za to trzeba koniecznie zapoznać się z jego sposobami przygotowania kampanii, organizacją sztabu, metodami pracy rozpoznawczej i wreszcie ze środkami łączności, jakimi rozporządzał, a które zezwalały mu prześląć rozkazy i odbierać meldunki np. na przesłaniu między Boulogne i Bawarią w 1805 r.

w tempie kilkunastu liter na minutę (przy pomocy semaforów).

Jeśli Tarle, tak jak Jomini i Camon, nie poświęca ani słowa napoleońskiej technice dowodzenia, to wartość opisów bitew spada do poziomu beztreściwych komunikatów wojennych, jakie współcześnie czytamy w dziennikach. Innymi słowy, Tarle, choć pisze o czasach odległych, nie jest historykiem, lecz kronikarzem.

Jeszcze gorzej wypaść musi ocena, gdy Tarle od zagadnień operacyjno-taktycznych przechodzi do strategicznych. Tu już zupełnie jakby ślepy mówił o storczykach lub o ogniach bengalskich.

Nikt nie odmawia Napoleonowi, że jego żądza władzy i przebogata wyobraźnia, działająca jako siła twórcza, stwarzała ułudę systematycznego organizowania imperium pan-europejskiego i zdawała się zapewniać przez to strategiczne bezpieczeństwo Francji. Ale każdy zgodzić się musi także, że Napoleon miał ciągle w głowie, leżące już poza sferą realizacji, zagadkowe indyjskie zapędy. Trzeba więc w pełni uznać za słuszny sąd Karola Haushofera, że „bezustanny napór wyobraźni u człowieka, nie rozporządzającego niezawodną korekturą, prowadzi go do niedorzeczności, że jest w stanie tylko to widzieć, co widzieć chce — jak to było w końcu z Napoleonem”.

Dobrym, a tym bardziej wielkim strategiem, trzeba nazywać nie tego wodza, który wygrał wiele bitew, lub choćby wojen, ale tego, kto nieomylnie i na długie lata zapewnił swemu państwu bezpieczeństwo. Napoleon więc tylko wtedy mógłby pretendować do tego tytułu, gdyby udowodnione zostało, że jemu właśnie Francja zawdzięcza okres względnego pokoju od r. 1815 do 1870. Wiemy jednak, że inne się na to złożyły przyczyny. Wojny Napoleona były gorzej lub lepiej pomyślanymi kampaniami i zwycięstwami zawdzięcza on słabości swych przeciwników, a często nawet tylko o sobości i umiejętności zrehabilitowanego biuletynu — ale strategicznie brakło mu wielkiej myśli przewodniej.

Wracając do sądu Haushofera, trzeba dodać, że został on wydrukowany w r. 1941 i zawiera wyraźną aluzję do Adolfa Hitlera, współczesnego Napoleona.

Napoleon jako człowiek.

Przeprowadzając dalej porównanie między obydwojma zdobywcami kontynentu europejskiego, trzeba stwierdzić, że życie Napoleona

przedstawia więcej zagadek, niż działalność Hitlera, który przed dojściem do władzy napisał bądź co bądź najpierw „Mein Kampf” i z góry uławił przez to swe plany i swe oblicze. Obfite korespondencje Napoleona dotyczące zasadniczo wyłącznie praktycznych zagadnień bieżących, zaś pisma ze Św. Heleny są upiększonymi wspomnieniami, a nie programem. Na nic się współczesnym nie przydało, że Napoleon przed śmiercią uznał za największy błąd swego życia nieodbudowanie Polski.

Hitler wyraźnie zawdzięcza swoją karierę ciężkiemu przemysłowi i Thyssen pisze prawdę w swej książce „Oplącałem Hitlera”. Bonaparte po Tulonie, skąd angielska flota bezpечно się wycofała, wyrasta na sławnego dowódcę i awansuje na generała dzięki protekcji Augustin'a Robespierre'a, młodszego brata wielkiego Maksymiliana, o którym z kolei wystarczy przeczytać znakomitą monografię Duff Coopera (obecnego przedstawiciela Wielkiej Brytanii przy gen. de Gaulle'u), aby się przekonać, jaka to też była zagadkowa postać. Po straceniu obu Robespierre'ów dostaje się do więzienia także Bonaparte, ale na króciutko (jakie to szczęście dla historyków). Jedzie do Paryża. Komitet Ocalenia chce go wysłać do Wandei. Buntuje się. Dostaje pracę w biurze topograficznym u Carnot'a. Obmyśla tutaj wyprawę do Włoch. Dlaczego taki ekscentryczny teatr działań? Po tym jeszcze dalej do Egiptu. Historyczny vox populi widzi w tym początek rywalizacji z Anglią. Czy słusznie? Jakie rezultaty miała dla Anglii ta wyprawa? Oto pozwoliła jej przybrać rolę przyziela Turcji i opiekuna Arabów.

Do dalekiego Egiptu Napoleon potrafił przewieźć 30 tysięcy żołnierzy i zgromadzić w tym celu w Marsylii 350 jednostek morskich. Był tylko generałem. Później jako cesarz nie umie sobie dać rady z przygotowaniami w Boulogne. Dodajmy jeszcze odrzucenie przez tego genialnego człowieka projektu parowców, a wreszcie nieprawdliwe albo niepotrzebne instrukcje dla admirała Villeneuve przed Trafalgarem.

Wróćmy na ląd stały. Wyprawa do Indii mogła przybrać realne kształty tylko po doprowadzeniu do porozumienia rosyjsko-tureckiego, gdyż oba te mocarstwa można i trzeba było wciągnąć w orbitę planów. Tymczasem polityka wielkiego cesarza wcale nie idzie w tej dziedzinie po linii jego chimery strategicznej i nie potrafi stać się rozjemcą między Petersburgiem i Stambułem.

Przez te przykłady wcale nie jest wyczerpana długa lista zagadek życia i działalności Bonapartego, którego talenty wystarczały tylko na krótką metę dla osiągnięcia doraźnych sukcesów, nie wiążących się w logiczną całość. Był gwiazdą, meteor, ale nie płomiennym słońcem, które świeciło mu pod Austerlitz, lub choćby wiernym księżycem wielkiej idei. A może jednak był on w istocie księżycowym odbłaskiem jakiejś ukrytej planety?

Wszystkich tych pytań Tarle nie porusza, a nawet udaje, że nie domyśla ich istnienia, natomiast lubuje się on w opisie zewnętrznych form działalności Napoleona i przy tym świadomie lub nieświadomie upodabnia go do współczesnym dyktatorów.

Niektóre ustępy książki o Napoleonie są zastanawiające ciekawe. Tarle opisuje sposoby przeprowadzania plebiscytów, okrucieństwo i bezwzględność wobec przeciwników politycznych, pogwałcenie swobody słowa, deptanie charakterów ludzkich, narastanie nowej biurokracji i arystokracji w erze Napoleona, tak, jakby je sam obserwował. Istotnie za wielkiego cesarza Francuzów i protektora licznych ludów nikt nie wiedział, czy jutro będzie wojna, czy pokój, kontynentalna blokada, czy branka rekruta, nowa kontrybucja, czy nowa konstytucja i trzeba było oczekiwać na niespodziewany rozkaz z cesarskiej kwatery, jak na wstępny artykuł „Prawdy”.

Mimo tych podobieństw były to jednak romantyczniejsze czasy, bo nie darmo Bonaparte podpatrywał sztukę aktorską u Talmy i dobrze umiał pozować, a przy tym pozostawał nie „tragediantem” lecz raczej zawsze „comedianem” i to obdarzonym bezspornym geniuszem.

Czytelnika może razić zestawienie w tytule dwóch ludzi tak odmiennie skali i znaczenia, ale mnie nie razi, gdyż dzieła Tarlego są tłumaczone na wszystkie języki, mogą wywoływać w swoim zakresie i w pewnym środowisku taki zamęt w pojęciach, jaki Napoleon wywołał w całej Europie. Wprawdzie nie postawiłem sobie za cel bronić racjonalizmu, ale chcę tępic błogosławioną ignorancję i kult dla rzeczy niezrozumiałych. Chcę strącać z pomników takie słońca historii, jak Napoleon i takie słońca historiografii, jak Tarle. Wystarczy na to rzetelna analiza faktów i zbyteczne jest przypominać pompatyczny frazes, wypowiedziany przez Diogenesa w rozmowie z Aleksandrem Macedońskim: „Odsuń się, bo mi zasłaniaś słońce”.

Profesor Tarle kończy swe studium taką syntezą postaci Napoleona: „w pamięci ludzkości pozostał obraz zadziwiająco skomplikowanej indywidualności”. Taki pogląd jest charakterystyczny dla ludzi, poszukujących wielkości w „wielkich ludziach” i oddających im część bałwochwalczy, wszystko jedno ze strachu, czy z dobrej woli. My widzimy wielkość gdzie indziej — w prostocie. Jeden z tłumów napoleońskich generałów, Cambronne, jeśli wierzyć anegdotce, wypowiedział żołnierskie credo w słowach mędrszych od patosu Diogenesa.

wb.

Dalsza dyskusja o planach monetarnych

Stanowisko brytyjskie i amerykańskie w sprawie przysługującego imienia światu zostało już wyraźnie zarysowane w pierwszych planach monetarnych lorda Keynes'a i Mr. White'a. Plany te, opublikowane równocześnie, stwierdziły zasadniczą rozbieżność poglądów brytyjskich i amerykańskich. Projekt lorda Keynes'a został bardzo przychylnie przyjęty przez obie izby parlamentu brytyjskiego i cała opinia publiczna brytyjska opowiada się wyraźnie przeciw deflacyjnemu kurowaniu niedomagań bilansów płatniczych. A takie właśnie deflacyjne kuracje byłyby, koniecznością przy zachowaniu złota jako miernika stałego wartości. Stanowisko opinii fachowej i publiczności brytyjskiej podyktowane jest niewątpliwie obawą przed demobilizacją w atmosferze deflacji, spadających cen i kryzysu. W pamięci tych, którzy dziś planują demobilizację powojenną, żywe są jeszcze doświadczenia rewaluacji funta do dawnego poziomu po wojnie 1941—1918. Ówczesny kryzys demobilizacyjny i deflacyjny wstrząsnął całym systemem gospodarczym i społecznym (strajk węglowy) i przewyciężyła go naprawdę dopiero dewaluacja funta.

Przemiany opinii amerykańskiej bieżą równocześnie torem zupełnie przeciwnym. Zrewidowany plan amerykański zezwala wprawdzie na zmianę obecnie obowiązującego paritetu funt — dolar w ciągu pierwszego okresu po wojnie „w porozumieniu z zarządem Walutowego Funduszu Wyównawczego”, a po tym okresie wszelkie zmiany paritetu muszą uzyskać zgodę 3/4 członków zarządu Funduszu. Nowy projekt amerykański zmienia poza tym postanowienia, dotyczące wpłat państw — członków Funduszu. Według dawnych projektów jedna ósma część wpłat miała być uiszczona w złocie, obecnie podwyższono to do połowy. W ten sposób wszystkie państwa musiałyby przed przystąpieniem do Funduszu zadłużyć się w Stanach Zjednoczonych dla uzyskania potrzebnych kwot w złocie. Zmiany te wskazują wyraźnie na to, że w Ameryce coraz silniej przychodzi do głosu ten odłam opinii, który chciałby, związuć coraz mocniej pieniądź ze złotem, wytrącić z rąk administracji to narzędzie kierowania życiem gospodarczym. Jest to tylko jeden z objawów walki z interwencjonizmem państwowym, którą dotąd poznaliśmy jako walkę z New Deal'em, a która obecnie toczy się pod hasłem powrotu do wolnej gospodarki natychmiast po wojnie.

Bardzo zbliżonym do zrewidowanego planu Mr. White'a jest projekt, wypracowany przez Mr. L. Fräsera, prezydenta First National Bank of New York. Chciałby on również widzieć stały stosunek wielkiego walut do złota, a trudny problem krótkoterminowych długów brytyjskich, wynikłych z wojny, chce rozwiązać przez udzielenie Wielkiej Brytanii kredytów w złocie. Uderza w tym projekcie dążenie do takich przemian w polityce handlowej. Stanów Zjednoczonych, któreby ją uzgodniły z rolą Stanów Zjednoczonych jako największego wierzyciela świata.

Brytyjska odpowiedź na zmieniony plan amerykański była zdecydowanie odmowna. Nie była to odmowa oficjalna, bo i plan amerykański nie jest

projektem rządowym. Dwa są zasadnicze motywy stanowiska brytyjskiego Pierwszym, choć nie najważniejszym jest brak złota, drugim — jest niechęć do sztywnego związania funta ze złotem i dolarem. Przyjęcie stałego paritetu funt — dolar oznaczałoby związanie gospodarstwa brytyjskiego z amerykańskim i skazanie go na przechodzenie tych samych fal boom'ów i katastrofalnych depresji, które czekają system amerykański, o ile będzie się on nadal rozwijał pod wpływem sił żywiołowych, bez centralnego kierownictwa. Celem polityki brytyjskiej jest utrzymanie takiego systemu, któryby pozwolił Wielkiej Brytanii na autonomiczną politykę gospodarczą w ramach Imperium. Pytanie, które sobie stawia obecnie opinia brytyjska, brzmi następująco: czy nieudanie się projektów monetarnych musi z konieczności prowadzić do chaosu monetarnego w świecie powojennym. Odpowiedzi nie są na ogół zbyt pesymistyczne. Najbardziej pożądaną byłaby oczywiście unifikacja monetarna, oparta na jednolitym systemie w całym świecie. Byłaby ona przede wszystkim korzystna dla handlu światowego. I brak takiego jednolitego systemu pieniężnego nie musi jednak prowadzić do konfliktów ekonomicznych. Zasady planu amerykańskiego mogłyby być stosowane w Stanach Zjednoczonych i wszystkich krajach należących do bloku dolara. Zasady rozrachunków międzynarodowych stosowane były już od lat na całym wielkim terytorium bloku szterlingowego. Współżycie takich bloków monetarnych obok siebie nie musiałoby z konieczności prowadzić do walki. Takie rozwiązanie zdaje się mieć na myśli opublikowany w lecie tego roku projekt francuski, który proponował utrzymanie podobnych stosunków pomiędzy wielkimi walutami świata, jakie uzgodniono na początku tej wojny między frankiem i dolarem.

Handel i wypłaty w ramach każdej z grup byłyby dość swobodne, wymiana pomiędzy grupami musiałaby być kontrolowana w zależności od zdolności płatniczej danej grupy.

Wszystkie projekty czysto pieniężne rozwiązują właściwie tylko problem wypłat krótkoterminowych. Pozostawiają one nierozwiązanym problem inwestycji długoterminowych i wypłat z tytułu długów wojennych, które i po tej wojnie będą istnieć, choć nie w tak dużych rozmiarach, jak po ubiegłej wojnie. Inwestycjami tymi ma się zająć Bank Światowy o kapitale 5 miliardów dolarów, wpłaconym przez kraje członkowskie. Inwestycje długoterminowe są problemem łatwiejszym technicznie niż system monetarny i, jak donoszą, do wspomnianego Banku Światowego przystąpić mają także i Sowiety, których system monetarny jest i chyba pozostanie odmienny od reszty świata.

Obu tymi problemami, waluty międzynarodowej i inwestycji zagranicznych, zająć się ma wkrótce konferencja przedstawicieli czterdziestu czterech państw. Ma ona wszelkie szanse pozytywnego załatwienia problemu inwestycji międzynarodowych, znacznie trudniejszym wydaje się rozwiązanie zagadnień monetarnych, choć i tu zasadniczy kompromis jest podobno osiągnięty.

JERZY MINDER

ZOBOJĘTNIENIE, ZNIECZULENIE

Leży przede mną — jak klepsydra spóźniona — wstrząsający artykuł Tymona Terleckiego p.t.: „Alle Juden raus!“ („Wiadomości Polskie“, nr. 45 (191) z 7-go listopada 1943 r.). Właściwie jest on tylko w połowie własnością twórcą autora. Dlatego trudno go nazywać „artykułem“ — suchym, zdawkowym określeniem. Ale w czasie panowania słowa, którego najgłębszą treść systematycznie się wypacza i przeinacza dla uświęcających środki celów, muszę i wolę nawet posługiwać się najbardziej suchym i najbardziej zdawkowym słowem. Zaznaczę tylko, że tytuł: „Modlitwa na gruzach ghetta“, jaki Terlecki dał ostatniej części, z pewną modyfikacją nadawałby się dla całego. Tą pewną zmianą byłaby zamiana wyrazu „ghetto“ na „świat“.

Więc forma jest własnością autora. A wartość — wypełniona gęsto bardzo licznymi cytatami z powstałego w Kraju i nadesłanego stamtąd sprawozdania p.t.: „Likwidacja ghetta warszawskiego — reportaż“ (jeszcze jedno do kolekcji suchych słów, których jak najwięcej pragnąłby posiadać) — powinna stać się symboliczną własnością sumienia każdego człowieka. Bo, jak pisze Terlecki, artykuł ten „...to tylko zadośćuczynienie własnemu sumieniu“ (podkreślenia moje, — J.M.).

Taki to też sens mego tu obrachunku — nie pierwszego, jaki w sobie robię, ale takiego, który bardzo chciałbym ogłosić po to, żeby mi ktoś nań odpowiedział i sprawdziwszy wykazał jego fałszywość. Sam — jakoś nie mogę wytknąć sobie błędów, mimo że obecność ich wytykać by mi przecież musiała wiara w Boga, moralność, etyka... — szereg obiektywnych, niezawistych, bezwzględnych wartości nadludzkich i ludzkich.

Chciałbym posunąć się dalej niż Terlecki, który zajmuje się najpotworniejszym morderstwem, jakie żąda sprawiedliwości i pomsty (— sprawiedliwości nie ma dla kogo wymierzać). Czuję się wplątany w łańcuch, który przesunął się o jedno ogniwo, pociągając nieznanego autora w Kraju do zestawienia wymienionego reportażu, a Terleckiego do powtórzenia jego treści z uwagami własnego sumienia. Nie poprzestałbym na tym straszliwym wycinaniu. Dlatego nie wiele myślę o formie, dlatego używam banalnej formy, bo każde słowo wydaje mi się dwuznaczne, przy każdym pragnę dać ostrzegającą uwagę: „w najprawdziwszym znaczeniu tego słowa“.

Dlaczego? Bo wszystko mi się wali. I nie umiem się pozbyć tego nieodpartego wrażenia. Miewam takie chwile, że nie już nie rozumiem. Zdażę mi się, że nie nigdy nie istniała i nie istnieje wyzbyte ze wszystkiego, że jeżeli jutro podejdę do kogoś na ulicy i zabiję go, to może pojutrze mnie pochwała za to?...

Potem przychodzi najgorsze: zobojętnienie, znieczulenie.

Zarażam się. Czuję bakcyli, który w świetnej pożywie ogólnego zobojętnienia i znieczulenia musi działać destrukcyjnie, coraz bardziej destrukcyjnie, musi się rozmnażać z szybkością, właściwą diabelskim drobnoustrojom.

Przypałem się na tym. Czytałem opis „obozu śmierci“ w Oświęcimiu, a po skończeniu go nasunęła mi się myśl (sama? — O nie! nie sama, — wywołana, przynęcona obecnością warunków sprzyjających) głupia, że mi to nie nowe, bo dużo z tego sam przechodziłem gdzie indziej, więc znam. I gorzej, bo po przeczytaniu artykułu Terleckiego, zapamiętałem zrazu tylko momenty, które mi były znane z własnego doświadczenia, krótkie momenty,

kiedy nie bacząc na nic i nikogo, chciało się żyć za wszelką cenę i gotowym się było do przerażających (—teraz) rzeczy, momenty, kiedy już dojrzało „porażenie instynktu życia“, jak to określa Terlecki. Ogarnęła mnie niechęć do takiego wypominania. Później: obojętne, nieczułe potwierdzenie, że: „no, tak“.

Widzę działanie bakcyli wkoło siebie. Masowe, tłumne, o charakterze psychozy. Zobojętnia się siebie, znieczula.

Nie! Nie chcę, żeby ktoś, pijąc ze mną czarną kawę powiedział w środku lekkiej rozmowy: „O Boże, my tu siedzimy i...“ i wylizawszy rozkosze życia, jakich doznajemy, dokończył: „...a tamci tam...“. Najlepszy sposób preparowania obojętności i znieczulenia, to odprawianie współczucia i sprowadzania do rzeczywistości, w której się nie żyje.

Chcę jakiegoś potężnego zapewnienia, że bym nie obojętniał i nie znieczulał się. Żeby nie stał przed innym zapewnieniem, że wszystkim jest dobre, co robię dziś, bo nie wiem, co będzie jutro, a jutro podniesie moje dzisiejsze zło do poziomu dobra. Chcę jeszcze nowszego zapewnienia, kiedy nie mogę wziąć oka za okno ani kochać bliźniego, bo mi zobojętniono, znieczulono serce, wyrwano serce, bo mnie nie ma. Jakżeż mogę oddawać boskie, kiedy mi wszystkim wyrwano dla cesarskiego?!

Jeżeli Terlecki modli się o „łaskę trudnej nienawiści“, „łaskę nienawiści zła w człowieku“, to ja inaczej rozumiem jego słowa „samotnego człowieka“, „samotnego chrześcijanina“. Dla mnie jest to echo mojej modlitwy o łaskę niezobojętnienia, nieznieczulenia. Może nie echo, tylko już dalszy postęp po wyrwaniu się z kompleksu zobojętnienia i znieczulenia, czego mi się nie udało zrobić, bo mnie wszystko otaczające mota w ten kompleks i pcha w tę zapaść.

Zapadam się w sobie mimo szamotania. Nie widzę wyjścia. Nie wierzę nawet nielicznym samotnym. Popychają mnie oni jeszcze głębiej. Może nie jest tak, jak oni samotnie dają zadośćuczynienie swym sumieniom?... Popadam w zobojętnienie, znieczulenie.

Nie powinno się obojętniać tą winą wybranych sumień. Suma tych win powinna obciążyć powszechnie sumienie świata. Nie będzie zadośćuczynieniem kara dla zbrodniarzy. Byłby to jedynie pierwszy krok. Ich zbrodnie osiągnęła niepoznane głębie, zarazą swą niszczącą wartości boskie w ludziach. Wydaje mi się, że dopiero oczyszczenie tych głębi byłoby zwycięstwem nad zbrodnią i jej płodnym posiewem.

Bo podkopany świat się wali. Mogą być dwa ratunki. Albo niezważanie na nic w zobojętnieniu i znieczuleniu i budowanie na tym przyszłości, albo wyrwanie się zobojętnieniu i znieczuleniu. Sens miałaby tu modlitwa o nadzieję. Pierwsze „albo“ bowiem jest nie do przyjęcia.

Zdażę mi się, że modlitwa o nienawiść zła wymaga równoczesnej, błagalnej prośby o wyrwanie jego zaraźliwego posiewu, z którego nie zawsze można zdać sobie sprawę. Wydaje mi się, że zobojętnienie i znieczulenie to przygotowawczy posiew zła, to pożywka dla bakcyli. Nieustanne stykanie się z chorobą pozwala na lekceważenie jej symptomów i nierozpoznanie później objawów, występujących nietypowo, zobojętnia, znieczula.

Widzę wkoło, czuję w sobie ten nietypowy objaw. Chcę, żądam antidotum — zapewnienia. Zapewnienia nie tylko od samotnych ludzi i samotnych chrześcijan. Chcę mocnej nadziei i pewności.

Chcę tego w chrześcijańskie, boskie i ludzkie święto Bożego Narodzenia.

PAULINA APENSZLAK

NOCE I DNI W UKRYCIU

Różowe oleandry, puszyste mimozy, lilowa bukonwilia, lśniąca fikusa, przestały już od dawna być dla nas atrakcją. Ale przed kilkunastu laty jeszcze — w dobrych, prawie nieraźnych doborach czasach, zieleń południowa, lazrowe niebo i lazrowe morze, wydawały się nieomal ucieleśnieniem szczęścia ziemskiego.

Było to w Kadyksie, nie daleko od Gibraltaru, na uliczce, wysadzonej kolorowymi bałatami, w pobliżu koszar, pomalowanych na różowo, podobnie jak wiele domów chłopskich na hacjendach hiszpańskich. Żołnierz na warcie z malutkim karabinem nosił mundur barwny, jak w operetce i jak na scenie maszerował wzdłuż białej balustrady, oddzielającej różowy dom od niebieskiego morza. Ta nieco pocztówkowa panorama hiszpańska przesiąkała tak naturalnością i łagodnością, że nie można było potem, wspominając po roku Kadyks, wyobrazić sobie krwawej kąpieli, w jakiej utonęło to miasto.

Po zwiedzeniu miejscowego kościoła, pyszniąc się kilkoma obrazami El Greco, wsiadliśmy do pociągu, jadącego w stronę Sewilli. Nikt nie rozumiał inaczej, niż po hiszpańsku, ale Maria Dąbrowska, która miała niezwykle dar porozumiewania się z ludem, — jakiś instynkt zbliżał ją do ludzi prostych, od razu wdała się w konwersację na migi z wieśniaczką hiszpańską, wiozącą chore dziecko do lekarza, do miasta. W rezultacie tej rozmowy, otrzymała w darze zasuszonego kameleona, posiadającego, podobno, własności amuletu. Wkrótce do rozmowy na migi, wtrącił się robotnik w granatowym overallu, jadący do pracy na jedną z sąsiednich stacji. Dąbrowska pokazała mu fotografię „Kościszki“, więc inteligentnie zrozumiał, z kim ma do czynienia, i z południową rozlewnością odrzucał wyłożony w melodyjnej hiszpańszczyźnie swe polityczne credo.

Zbliżało się południe, w wagonie było duszno i brudno. Dziecko zanosiło się od płaczu. Na małych stacyjkach wchodził i wychodził ludzie nędznie odziani, o wychudzonych twarzach. Robotnik głośno krzyczał przeciw królów i głodowi. Rozwiała się idylliczna atmosfera poranka kadyksowego. Robotnik podobny był do hemingway'owskiej postaci, do jednego z wysadzających mosty. Nad przyjazdem do Sewilli zaciążyło to spotkanie z robotnikiem.

Z fabryki cygar, tej chyba, w której pracowała Carmen, wychodziły właśnie dziewczęta. Dąbrowska miała ochotę porozmawiać z nimi, ale śpieszyły się i odwracały niechętnie od turystów. Więc usiłowała zapoznać się z ulicą hiszpańską poprzez gromadę żebrzących dzieci. Przed hotelem „Palais d'Anglais“, najwytworniejszym w Sewilli, siedmioletnia dziewczynka z tuberozą na patyczku, zatknęta za ucho, tańczyła bezwstydnie jakieś bolero, przeznaczone dla cudzoziemców. I wspaniała apartament, jaki dostaliśmy na tę noc, nie mógł już zaćmić pierwszego wrażenia Hiszpanii zbuntowanych robotników, wymęczonych robotnic i żebrzących dzieci.

Tę piękną noc sewilską spędziłyśmy bezsenne na rozmowie. Poprzedziła ją spacer dwukonnym pojazdem przez ogrody miasta i teryny byłej wystawy. Nad Guadalkiwirem, którego nazwa i zieloność uderza do głowy, powiedziała mi Dąbrowska:

— Nie jesteśmy same. Są tu z nami nasi najbliżsi, nieobecni...

Jej płomienny, głęboki romantyzm był dla mnie niespodzianką.

W rozmowie, zarówno jak w wielu swoich pracach, była zawsze raczej surowa, nieubaganię logiczna, prawie męska. Należała do pisarek, którym nigdy żaden krytyk nie zarzucił „kobiecości“. Przeciwnie, podnoszono zalety jej pióra, chwalać kamienną konstrukcję i planowość akcji oraz wspaniałą epickość stylu, zalety, tak rzadko spotykane u kobiet piszących.

Ani jedna w Polsce nie mogła jej dorównać. Kiedy Lorentowicz, zdaje się, że jeden z pierwszych, zakwalifikował „Noce i dni“, jako najlepszą polską powieść współczesną — niewiele znalazł oponentów.

Mimo to, albo może właśnie dzięki temu, że była pisarką niełatwą i głęboką, nie miała tego tak zwanego „powodzenia“, jakim cieszyły się mniej dobre pióra. Przede wszystkim unikała, jak mogła, popularności, a skromność jej prozaty czasami wydawała się chorobliwa.

Dąbrowska w życiu codziennym była może tak samo ciekawa, może tak samo cenna, jak Dąbrowska-autorka. Zjawisko to niezwykle rzadkie wśród pisarzy, a specjalnie wśród pisarek. Tak zwane „natury artystyczne“, to najczęściej natury nieopanowane, porywane, bez dyscypliny wewnętrznej i bez specjalnego poczucia obowiązku. Dąbrowska była przedtem działaczką społeczną, potem dopiero stała się pisarką. Zachowała wszystkie zalety starego typu działaczy niepodległościowych i oświatowych: bezkompromisowość w stosunku do siebie i innych, pracowitość, poczucie odpowiedzialności, pogardę dla pieniędzy i „karier“, oddanie sprawie i miłość ludu.

Bardzo niepozorna z wyglądu, mała, chuda, jak dziewczynka, z jasnymi włosami, przyświecającym po męsku, ubrana swoiście w samodziłały, patrzyła przenikliwym, mądrym i kry-

tycznym spojrzeniem na burzę i przemiany, dokonywujące się w „świecie artystycznym“ stolicy. Nie chodziła na oficjalne uroczystości, rauty i bale, unikała zbiorowisk, nie przychodziła do żadnej ze znanych kawiarni i nie dawała materiału do plotek. Zamknęła się w swoim małym mieszkanku na Polnej, na trzecim podwórzu, na czwartym piętrze, zakonspirowała numer telefonu, tak że doprawdy trudno ją było odszukać. Głębką goryczą napałała ją rzeczywistość polska lat ostatnich. Odeszała, nieprzyjęła zaproszenie do Akademii Literatury, nie chciała przyjąć żadnego odznaczenia. Odrzucała kuszące propozycje różnych wydawnictw, starających się ją zwabić wysokimi wynagrodzeniami i, wierna wydawnictwu Mortkowicza, pozostała przy nim do ostatniej chwili.

Kochała wieś. Jakże wspaniale umiała opowiadać o niej, nie jak ktoś obcy, ale jak ktoś z tą wsią krwią związany. Pewien mały majątek w Kaliskim, gdzie mieszkała jej siostra i gdzie, zdaje się, spędziła dzieciństwo, wywoływał szczególnie zapal. Było to, częściowo, miejsce akcji „Nocy i dni“.

— Męczyłam się długo, aby znaleźć nazwisko dla bohatera — powiedziała mi. Zupełnie zrozpaczona, zeszałam do sklepu po masło i ser. Wszystkie nazwiska wydawały mi się papierowe. Naraz spostrzegłam, jak tragarz wnoszący worek maki z napisem majątku, skąd mąka pochodzi: „Niechcice“. Odrzucał mi do głowy, że Niechcice to właśnie nazwisko mego bohatera...

Wszystkie problemy, dotyczące wsi, były jej szczególnie bliskie. Większą część swego życia poświęciła rozwojowi działalności społecznej na wsi. Ta działalność stała się komentarzem do jej gorącego umiarkowania doli chłopskiej. Oficjalnie nie należała, zdaje się, do żadnej partii, ale jej wieloletnia przyjaźń z Strugiem, praca oświatowa w okresie walk o niepodległość i ostatnio małżeństwo ze Stanisławem Stępkowskim wyraźnie jej przynależność polityczną określały. Nie mówiła się o niej „socjalistka“, bo w tym określeniu nie mogła się pomieścić. W poglądach bardzo radykalna, miała głębokie przywiązanie do wiary i jakieś poczucie wewnętrznej prawości i sprawiedliwości, które nie zawsze mogły się pogodzić z taktyką partii politycznej. W owym czasie, wracając z tournée odczytowego po Polsce, bywała nieraz obrzucana zgnykami jajami — jak mi opowiadała. Tak reagowano na jej skromną książeczkę o potrzebie reformy rolnej i korzyściach, wynikających z prowadzenia małych gospodarstw. Znała też gospodarke i jej zalety z Belgii, gdyż spędziła szereg lat w Brukseli na studiach.

— To najpiękniejsza uliczka na świecie — powiedziała, prowadząc mnie do małego zaułka w Brukseli i pokazując dom, gdzie mieszkała w okresie studiów. Nic dziwnego, że wieśniak belgijski, któremu się wówczas przyglądała urosł w jej oczach do prototypu ideału dla polskiego chłopca.

Wszystko, co pisała i mówiła Dąbrowska stanowiło konsekwencję jej charakteru i poglądów. Nic dziwnego, że z dużą odwagą, jak na owe czasy, dawała wyraz swemu oburzeniu na brutalność akcji pacyfikacyjnych i w sprawie żydowskiej miała określone, liberalne stanowisko. Opowiadałam jej o Palestynie. Niezmiennie zapalała się do sprawy kolonizacji rolnej dla Żydów i zamierzała w najbliższym czasie zwiedzić kibuce. Chętnie podpisała odezwę „Keren Hajessodu“, kiedy się do niej zwrócił Lejb Jaffe, podobnie jak do wielu polskich pisarzy.

Kiedy pewnego dnia, wstrząśnięta smutnymi wypadkami na uczelniach polskich, zapytałam Dąbrowską, dlaczego nie podejmuje akcji w sprawie obrony postulatów żydowskich, odpowiedziała:

— Wróciłam z Poznania — przerwano mi odczyt gwiazdami... W zeszłym tygodniu znów byłby zgineł jaja na estradzie...

Od czterech lat, naproczono wśród wydawnictw emigracyjnych polskich szperam cierpliwie i szukam wiadomości o Marii Dąbrowskiej. Pytałam o nią spotykanych w czasie ucieczki pisarzy. Nie wiele mogli mi powiedzieć. Potem doszła wiadomość, że Dąbrowska znajduje się we Lwowie pod okupacją rosyjską. Podobno władze sowieckie zwróciły się do niej z propozycjami, których nie przyjęła. Podobno przyrzekano jej świetne stanowisko, wille i auto. Miała być desygnowana na miejsce Wasilewskiej. Jej autorytet moralny jest olbrzymi, jej wartość, jako pisarki — powszechnie znana, jej charakter daje rekojmie nieprzedajności, a cała działalność kwalifikuje się, jako wzór prawej, dobrej obywatelki.

Mówiono, że wkrótce potem wyjechała ze Lwowa. Nie o niej więcej nie wiadomo. Nie było jej na liście zabitych, należy więc przypuszczać, że żyje.

Co jednak najbardziej niepokoi, to fakt, że o żywej czy umarłej — zdaje się zapominać emigracja polska, pilnie strzegąca, aby nie wygasł na wygnanym ognisku płomieni kultury i sztuki polskiej. Do tej pory nie nie przedrukowano z utworów Dąbrowskiej, nikt o niej nie wspominał przy żadnej okazji. Byłoby nie do darowania, aby pisarka, która może jeszcze wielką rolę odegrać — jeśli żyje — została pogrzebana w niepamięci.

Ostatnie premiery zespołów wojskowych

W Jerozolimie gościł ostatnio wojskowy Teatr Dramatyczny, grając „Damy i Huzary“, w obozach — wystawiono premierę „Domu otwartego“ Bałuckiego, w Tel-Avivie publiczność cywilna oglądała w sali Beth-Haam występ czołwików Ref-Rena, demonstrujących rewję p. t. „Cocail“, czołwika Krukowskiego jeździ z jednego „m.p.“ na drugie z nowym programem p. t. „Serce w furazercie“, a poza grupą stałych teatrów wojskowych wystąpił jeszcze, w połączeniu z orkiestrą, chór.

Obydwa występy jerozolimskie i Teatru Dramatycznego i „Chóru“, zapamiętałem szczególnie „Edisonu“, Komedii Fredrowskiego, starannie przygotowana, zebrała oklaski wdzięcznej publiczności, spełniając w dużym stopniu nadzieje, jakie wiązały się ze wznowieniem wśród wojska sceny dramatycznej. O premierze „Damy i Huzary“ pisał dwutygodnik „W Drodze“ w nr. 14, dając sprawozdanie jeszcze z cyklu przedstawień, odbywających się w obozach, tym więc swobodnie można nieco miejsca poświęcić żołnierskiemu chórowi, jaki niedawno mieliśmy sposobność słyszeć.

Twórca, dyrygent i opiekun chóru, Dylong, wykonał bardzo pożyteczną pracę kulturalną. Nie tylko utrwalił zamilowanie do muzyki wśród członków chóru, ale i przy pomocy środków o ileż skromniejszych niż wyposażenie orkiestr i teatrów rewolucyjnych, przypominał jednym — innym pokazał może po raz pierwszy polską pieśń.

Pracowano w nęlatwych warunkach. Członkowie chóru, nie należąc do grupy teatrów polowych, nie byli zwalniani od codziennych zajęć żołnierskich, nie miało też nut, nie miało nierz — w okresie pobytu na pustyni — choćby i papieru nutowego. Mimo to zapal kierownika i muzykalność członków, potrafili sprawić, iż każdy występ tego zespołu śpiewaczego na obcym terenie stanowiłby najlepszą formę propagandy. Gdyby równocześnie można było stworzyć z rozproszonych po kilku rewiach taneczny zespół baletowy, dwa takie zespoły, chóralny i taneczny, oddarza-

jąc polską muzykę i polski taniec ludowy, wywołałyby furorę na każdej sali teatralnej Środkowego Wschodu, dając o wiele mocniejszy akcent polski widowisku, niż rewia „Polish Parade“.

Ta zaś, po wyczerpaniu swych dotychczasowych programów objazdowych, przedstawiała w Tel-Avivie nowe widowisko, którego sama nazwa „Cocail“ — określa jako luźny zbiór solówek, niezwiązanych wspólną myślą programową. To też zastrzeżenia, jakie wywoływały poprzednie pokazy tego zespołu, towarzyszą nowemu programowi.

Natomiast zmianę na lepsze widać w zespole Krukowskiego. Choć literacko program jest raczej słaby, choć konferansjerka nie grzeszy dowcipem, a dobry pomysł wprowadzenia na scenę postaci z „Trylogii“ został przeprowadzony dość niedbale, to jednak program „Serce w furazercie“ zawiera zwrot ku życiu żołnierza i zamiast niefortunnych naśladownictw „Morskiego Oka“ — daje kilka żywych scenek obozowych Dialog „Na skrzyżowaniu“, skecz „Drajwerki“, „Co było a nie jest“ zyskałyby wprawdzie na skrótach, ale i w obecnej formie wesoła aktualnością zdobywają widownię wojskową, gorąco oklaskującą występ Teatru Polowego. Najgorętsze przyjęcia mają zresztą kulety polityczne Krukowskiego. Widocznym szych satyry trafił celnie i zgodnie z przekonaniem widowni. Dopelniając całości programu mile, bez pretensjonalne piosenki w wykonaniu Terne, Ignatowicz i Astona. Trudno tylko tą pochwałą objąć teksty lwowiaka Bielskiego, które stanowczo powinny przechodzić przez ostrzejszą cenzurę kierownika literackiego zespołu.

* * *

O „Domie otwartym“ Bałuckiego wypadnie napisać osobno, o ile publiczność cywilna będzie miała przyjemność oglądania i tej premiery Teatru Dramatycznego.

zb.

Jest właściwie niesprawiedliwość wobec Żywa zestawienie go z Topolskim — tak jak byłoby to zresztą krzywdzące i dla wielu innych, dobrych malarzy.

Bo Żyw jest dobrym malarzem i dobrym rysownikiem. Ma pewną rękę i przyjemną linię ołówka. Umie zbudować postać ludzką czy głowę tak, że wyczuwa się opanowanie anatomii i zdolność chwytania podobieństwa. Ma zdolność obserwacyjną, umie sobie dać



FELIKS TOPOLSKI:
Żołnierze z N. Zelandii i Australii

radę z nowymi zapewne dla niego tematami, jak okręty, samoloty czy sprzęt wojenny. Najlepsze ze wszystkich jego szkiców są rysunki drzew, wprowadzonych bądź jako akcent, bądź jako tło, czasem znnowu będące głównym motywem kompozycji. I właśnie te pejzaże z drzewami, sposób ich traktowania — wyjaśniają nam postawę artystyczną Żywa.

Żyw jest przede wszystkim malarzem. Rysunek jest właściwie dla niego środkiem pomocniczym, notatką, robioną dla utrwalenia w pamięci tematu, który mu może posłużyć później do kompozycji malarzkiej. Poza tym szkice rysunkowe jest dla niego tym, czym dla muzyka jest gama czy etuda: ćwiczenia ręki i oka, aby utrzymać się w formie, kiedy z tych czy innych względów nie może wypowiadać się w pełni jako malarz. Rysunek jest dla niego, jak i dla wielu innych malarzy — środkiem, służącym dla celu, a nie celem samym w sobie. Album Żywa jest tylko i wyłącznie szkicownikiem malarza i z tego punktu widzenia należy nań patrzeć.

Ma on przede wszystkim wartość dokumentarną. Żyw, żołnierz Armii Polskiej w Szkocji, zaobserwował i utrwalił na papierze setki scen z życia żołnierzy, lotników i marynarzy polskich, z szarego życia codziennych ich prac i trudów. Widzimy sceny z ćwiczeń polowych, żołnierzy pracujących na polach



FELIKS TOPOLSKI:
Znużony strażnik OPL (Warden)

Szkoci przy żniwach, zajęcia w kuchniach, warsztatach i hangarach. Przesuwa nam się przed oczyma życie marynarzy na polskim okręcie wojennym „Piorn”, słynnym ze swego udziału w bitwie z „Bismarckiem”. Podróż na tym okręcie, w której uczestniczył Żyw,

żyć i wypadków, ale sceny z ćwiczeń i prób odbyła się co prawda bez dramatycznych przebiegów alarmów przypominają o ciągłym pogotowiu bojowym i napięciu życia marynarzy. Album Żywa stanowi propagandę w najlepszym tego słowa znaczeniu, ilustrując w sposób dostępny i sugestywny wkład Polski do wysiłku wojennego. Poza tym jako dokument historyczny wzbogaci polską skarbnicę wspomnień z bojów o niepodległość. Rozdział historii „Polska armia w Wielkiej Brytanii” — znalazł doskonałego ilustratora.

Natomiast wartość artystyczną albumu Żywa jest dużo mniejsza. Podkreśliłmy już zasadniczą cechę rysunek Żywa: są to tylko szkice malarza. Żyw nie myśli linią, ani nawet światłocieniem: nie przeciwstawia plam czarnych — białym nie gra świadomie gamą tonów czarnych i szarych. Światłocienie jego pejzaży, nie sugerując bynajmniej nam kolo-



ALEKSANDER ŻYW:
Saperzy polscy w Szkocji przygotowują obronę wybrzeża

ru — są dla niego właśnie notatkami o kolorze.

Poza tym jeszcze większa wada jego rysunków — to brak dynamiki, tego nieodwzajemnionego elementu rysunku w ogóle, a tym bardziej rysunku, związanego z tematyką wojenną. U Żywa wszystko jest statyczne. Jego szkice typów żołnierzy są właściwie upozowanymi portretami. Goniec na motocyklu siedzi spokojnie, nie w tym rysunku nie sugeruje nam pośpiechu. Żołnierze w warsztatach, niby uchwyceni w „migawkowych” pozach pracy — nie nasuwają nam wizji ruchu. Stoją zamarli w różnych pozycjach, jakby im właśnie krzyknęło: „Chwilka spokoju, tak jak teraz! Przesz się nie ruszać!” Samochody stoją przegwożdżone do ziemi, a konie zasypiają przed nieruchomymi wozami.

Ale dynamika rysunku — to już wielkie wymaganie, które niewielu tylko artystów spełnić potrafi. Gdy oglądamy cykl albumów *War Pictures by British Artists* (gdzie uwzględniony jest również Topolski), — prawie wszystkim rysownikom, tam reprezentowanym, możemy postawić ten sam zarzut, co Żywowi. Wyższy poziom osiągnęli nieliczni, może nawet tylko jedyny *Artizone*, oficjalny i bodaj że najlepszy rysownik Brytyjskiej Armii. Ale nawet i on nie osiągnął tego mistrzostwa rysunku, co Feliks Topolski.

* * *

Pliniusz, pisząc o rysunkach Parrhasiosa, mówi: „... był on mistrzem konturu... Malowanie środka i głównej masy przedmiotu jest już wielkim osiągnięciem, w którym jednak liczni malarze sławę zdobyli. Natomiast celne rysowanie konturów ciał wyrażenie linia zanikania planów rzadkie jest w dziełach malarstwa. Bo kontur powinien tak być narysowany, aby obiecywał więcej niż pozornie wyraża, i pokazywał to właśnie, co kryje”.

Pliniusz nie jest historykiem sztuki i nie potrafił tu jasno wyrazić swych poглядów. Inaczej Roger Fry (w zbiorze „Vision and Design”): „Niekiedy wiele malarzy, jak to widzieliśmy już u Rembrandta, mają szczególną niechęć do właściwego konturu. Czują, że linia, przez swój walor, położenie lub przez przerywanie czy powtarzanie — powinna unikać zatrzymywania wyobraźni zbyt pozytywnym stwierdzeniem... Ta sztuka zależy od szczególnej, syntetycznej wizji, bez której linia zbyt definitywnie zatrzymuje ruch”.

I w tym właśnie, w tej wizji syntetycznej, w umiejętności operowania linią przez przerywanie i powtarzanie, w wyczuciu, jak i gdzie ją położyć — leży tajemnica wielkości Topolskiego.

Mówiąc o „ruchu” w rysunkach Topolskiego, używamy tego słowa w jego najszerszym znaczeniu: jest to ruch dynamiczny ja-

IRENA KEJLIN

dącego roweru (mistrzowskiego motywu, powtarzającego się w albumie parokrotnie). jest to drżenie nosa i węszenie psa, drzewa poruszanego wiatrem, lub też przebieg uśmiechu na ludzkiej twarzy.

Mało tego. Topolski umie wyrazić rysunkiem nie tylko wieczną zmienność otaczającej nas wizualnej rzeczywistości. Oglądając rysunek *River Plate Victors* in *Trafalgar Place* — słyszymy wprost hałas i okrzyki rozentuzjowanego tłumu. W *Bożym Narodzeniu* w



Schronie słyszymy poważny, niekiedy narzeczony iza mi śpiew. W *Nocturny* *Locie* *Polskich Bombowców* — odczuwamy fizycznie przemijający chłód nocy, wilgotny wiatr i niewyspanie lotników. Czujemy swąd dymu pożarów w *Chiswick* i żar płomienia w *Ludgate Hill*. Słowem, Topolski umie mistrzowsko oddziaływać na wszystkie nasze zmysły.

Wyobrażenie ruchu przychodzi mu z taką

Zimno było jak diabli. Dął wicher z North-Eastu i gonił obłoki na białym niebie, a słońce świeciło tylko tak, na pokaz. Przedmuchało mnie na wylot, bo szedłem piechotą od dworca kolejowego. Lotnisko miało być bliźniętami, tymczasem domki i żywopłoty, żywopłoty i domki — nie chcą się skończyć. Wszystkie są do siebie podobne: stoi taki, szczyby sittingroomów wybituszy na tego z drugiej strony ulicy, ziewa otwartymi drzwiami, wietrzyk półopuszczony okienkami żaluzji, uszy kominów wystawia nad ścianami szczytami po bokach i minę ma godną, jak nie wiem co. Jakby tylko sam jeden miał pod brodą ogród, nie wiele większy od czterech chustek do nosa, czerwona czy też brunatna dachówka i zielony kominierz nieodwzajemnionego żywopłotu. A właśnie jego sąsiad, i sąsiad sąsiada, i wszystkie domki po obu stronach ulicy, i wszystkie szeregi ulic aż do nieskończoności są akurat takie same. I — licho wie, gdzie się wreszcie to lotnisko zaczyna.

Jak na złość nie ma się kogo zapytać, bo jest niedziela: ulice puste, jak wymioty. Anglicy siedzą w domu, patrzą w kominie i czytają biblie, a żadnego lotnika nie widać.

Ważę tedy na nasyt kolejowy, moczując się z wicheru, i rozglądam się z wysoka.

A no — jeszcze parę szeregów domków strzyże uszami przede mną, a dalej — jakieś krzaczki, rzeczka i łąki, zdaje się bardzo bagniste. Lotniska ani śladu. A przecież miało tu być!

Już, zrezygnowany, chciałem zawrócić, gdy z drugiej strony nasypu zobaczyłem wreszcie żywego ducha. „Duch” był w lotniczym mundurze i w dodatku mówił po polsku — Warszawa kapitanem.

— Pan kapitan szuka lotnika? — zagadnął z uśmiechem.

— Daleko to? — spytał.

— A o tu — wskazał na bagna. — Zareta pierwsza brama.

Pokręciłem głową ze zdziwieniem, a on wyszczerzył zęby w uśmiech.

Zamaskował nas, że piloci do lądowania trafić nie mogą, to i pana kapitana zmanio.

— Wicie te bagna...

Faktycznie tylko krzaki, co w nich opeleli siedzą, są prawdziwe, a reszta — można powiedzieć — pic i fotomontaż.

Podziękowałem warszawiakowi, doszedłem szczerzącą zębami do owej bramy i po zbadaaniu moich dokumentów przez wartę i oficera służbowego, dostałem się wreszcie do kasyna, gdzie już bez żadnych trudności zostałem zidentyfikowany przez kolegów i przyjaciół.

Oto po nocy, przepasanej kamiennym snem w gościnnym pokoju nad kasynem (pod nieobecność jednego z dwóch lokatorów — na jego łóżku), prowadzi mnie Długi Joe na śniadanie i potem wiezie swoim samochodem do małego baru na lotnisku — „na służbę”.

— Flight A jest w redinessie i będziemy w dispersalu aż do obiadu — powiada.

łatwością, dynamika jest tak niedzielnym rytmem jego wizji, że kryje się ona nawet w rysunkach pozornie statycznych. Dwa adwokaci *W Sądzie* na chwilę tylko zamarli w bezruchu (jeden z nich zatrzymał rękę z cygarem w półdrodzie do ust), aby tym uważnie słuchać, aby za chwilę móc odpowiedzieć, wybuchnąć dynamiką słowa i myśli. *Churchill* Topolskiego, to najbardziej znany wizerunek tego męża stanu. Zdale się on rzeczywiście wypowiadać słowa z najtragiczniejszych dni wojny: „We shall fight! We shall never surrender...” *Churchill* nie opiera się na lasce, którą trzyma w rękę; stoi mocno na obydwu nogach, wryty w ziemię, której chce bronić, i wydaje się, jakby gniewnym uderzeniem łaski akcentował swe słowa, pełne stanowczości.

Jest w tym albumie jeden rysunek niedynamiczny: *The exhausted Warden*, który jest antytezą ruchu. Ileż jest wymowy w tym całkowicie świadomie odwrotnym bezruchu, uzasadnionym straszliwym i ostatecznym wyczerpaniem cywilnego obrońcy bombardowanego Londynu. Papierose, wyprzedający z ręki, hełm, zasuwający się z czoła, opadająca w półśnie warg, głowa, z trudem utrzymująca się



FELIKS TOPOLSKI:
Winston Churchill

PORUCZNIK HERBERT

MYŚLIWCY

Uśmiecham się na to słownictwo, w którym angielskie rzeczowniki odmiennie są przez polskie przypadki; uśmiecham się, bo przecież w roku 1919 mechanik lotniczy nazywał się aparatuszof, maska silnika — ver-schallung, śmigło — propeler, chłodnica — kiler, zaś karabin maszynowy zgola — maszyngever, a jednak w dwa lata później polska terminologia zastąpiła te dziwolgi. To też myślę, że gdy wrócimy do kraju, żadnego pilota nie „zabłakauci” w skrecie, „flight” stanie się plutonem, czy eskadry, „redness” zniknie w pogotowiu, „dispersal” zaś — w rozproszeniu, a inne podobne naleciałości też przejdą na katolizym i zesławiańszczyznę. Dziś ułatwiają porozumienie z Anglikami; jutro będą się polonizować.

Tymczasem redness (gotowość) i dispersal (rozproszenie) dotyczą maszyn i ludzi. Pierwsze drzemają, z zagranicznymi silnikami, opite benzyną i obżarte amunicją do karabinów maszynowych i działek, każda w towarzystwie nieodstępnej mechaniki. Drugi bądź grają w bridge’a, bądź rozmawiają, czytają, drzemają, rozciągnięci na łóżkach w baraku, ubrani do lotu. I te i tamci czekają na rozkaz.

Rozkaz przychodzi przez telefon (a czasem — w nagłych wypadkach alarmu — przez głośnik). Może poderwać w powietrze cały dywizjon do walki z wyprawą lotniczą wroga. Może rzucić jeden flight na jakieś zadanie bojowe. Może wezwać sekcję (2 samoloty) do patrolowania konwoju albo do wypadu nad nieprzyjacielski teren. W każdym razie telefon odzywa się nie raz i nie dwa razy w ciągu rednessu i rzadko który rober zostaje dograny w tym składzie, w jakim się zaczyna, a „wychodzący” często jest raczej wylatującym. Czasem zresztą nie wraca...

Długi Joe, mój Schlafkamerad (może lepiej: sleeping-fellow?), nie mógł na przykład dograć robra z tej przyczyny, że mu Niemiec odstrzelił z działka pół siedzenia... Wcale to nie zabawa była przyczyna, ani dla Joe, który ciężko ranny poszedł do szpitala, ani dla Niemców, jeśli się zważy wyniki owego lotu po obu stronach.

Dla lepszego zobrazowania tej sprawy, odnoszącej się jeszcze do czasu Bitwy o Wielką Brytanię, przytaczam suchy raport z kroniki dyonu:

„Mp. Dnia..... Start 12 samolotów, godzina... Odbiegła ilość samolotów bombowych, które bombardują... (nazwa miasta), osłanianie przez własnych myśliwców. Piloci nasi w składzie...

„Z szczytu odlatyły się Me-110. Podskoczyłem do niego, zaatakowałem 3/4 z tyłu, z góry. Mój cel w prawy silnik. Zapalił się po drugiej serii. Zalała nie skąkała. Widziałem, jak szedł do siebie, piono. W tej chwili zobaczyłem pod sobą smugi pocisków i stwierdziłem, że jestem atakowany przez dwa Me-109. Zobłem wywrót, zaatakowałem lewego z przodu. Chybiłem. Po moim zawrocie obaj wyrwali w chmurę”.

W takich słowach i ludzi zamykają historię swoich walk w Bitwie o W. Brytanię.

na podpierającej ją prawej ręce — wszystko ko to otwiera ten krytyczny moment, gdy tylko jeszcze straszliwie napięcie woli, reszka czujności, wyrażona w bolesnie zmarszczonych brwiach, potrafi utrzymać przed zupełnym załamaniem się. Czuję się, że obolałe nogi w zdeformowanych, spracowanych butach stoją w pogotowiu, aby móc w każdej chwili, w razie nowego alarmu, biec dalej i spełniać swój nadludzki obowiązek.

Rysunek ten, jak i wiele innych — to znacznie więcej niż dokument. Są one wier-nym odbiciem cierpienia i determinacji narodu angielskiego w chwili jego wielkiej próby, są symbolem szarego człowieka, który cicho a bez patosu stał się bohaterem.

Nad tym, czy Topolski umie rysować wprost się nie zastanawiamy, tak jak nie wpadnie nam do głowy zastanawiać się, czy wielki wirtuoz, którego gra jesteśmy oczarowani, zna nuty i zasady harmonii. Bo Topolski jest właśnie wielkim wirtuozem rysunku. Rysunek jego jest doskonały i pewny, widać w nim poważne i głębokie studia. Ale gruntu znajomości anatomii ciała ludzkiego czy zwierzęcego (wspaniałe konie!), mebla czy ar-

chitektury — jest u Topolskiego zaledwie podstawą, fundamentem, na którym buduje głębsze wartości artystyczne. W portretach



FELIKS TOPOLSKI:
Downing street, September 3

jego jest oczywiście więcej niż podobieństwo rysów, oddany jest nie tylko charakter człowieka, ale i odcienie jego myśli i uczuć, w rysunkach ulic miejskich — więcej niż poprawna perspektywa — jest życie i nastroj.

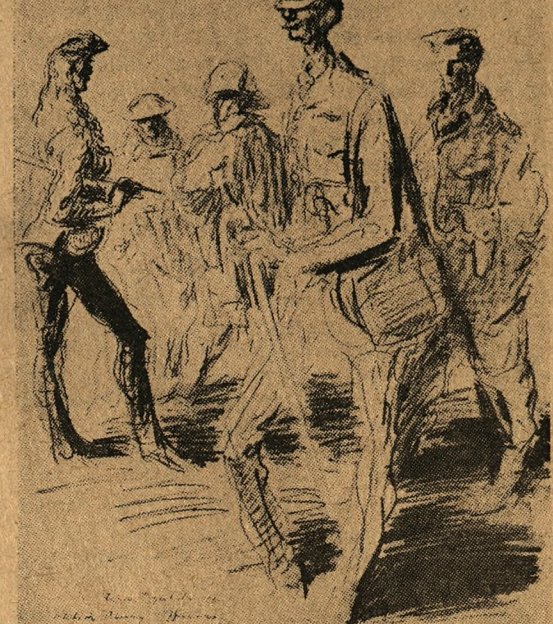
James Laver w przedmowie do albumu porównuje Topolskiego do wielkich mistrzów rysunku, znajduje w jego twórczości akcenty, jakie spotykamy u Dorego, Daumiera, Goya

i Piranesiego. Nie jest on odosobniony w tej entuzjastycznej ocenie Topolskiego. W recenzjach innych angielskich krytyków z jego wy-staw czy ilustracji porównania te powtarzają się, czasem wzbogacone o nazwisko Goyi, lub też, co jest może największą pochwałą z ust Anglika, nawet Hogartha. Porównania te są może narażone zbyt śmiało i zbyt daleko idące, ale świadczą one o płaszczyźnie, na jakiej rozpatrują poważni krytycy twórczość Topolskiego.

Dorobek artystyczny wielkich rysowników Zachodu był niewątpliwie podniętą i wzorem

rodu hiszpańskiego, krwawącego w nierównej, bohaterkiej walce z Napoleonem. Daumier przeszywał żłdem swojej satyry syła burzującą Francuską z obozu Napoleona III i był szermierzem sprawy biednych i uciskanych. Główna władza Grotgera, doświadczył słabego pod względem artystycznym, jest wielkie umiowanie zgłębionej ojczyzny.

Wszystkich tych artystów ożywił duch bojowy, we wszystkich ich dziełach kryje



FELIKS TOPOLSKI:
Oficerowie brytyjscy

się wielką namiętność, umiowanie idei ogólnoludzkich, społecznych czy narodowych. A to są rzeczy wieczne.

U Topolskiego brak całkowicie tego elementu. Stoi on jak gdyby z daleka od wszystkich namiętności, wstrząsających ludźmi i światem, patrzy na otoczenie z lekką wytworną ironią intelektualistą, jest obserwatorem, a nie szermierzem. Można to wytłumaczyć faktem, że Topolski od osmiu lat, a więc przez cały okres swego dojrzewania artystycznego, mieszka stale w Anglii i wie w gruncie rzeczy obce mu pozostało społeczeństwo, w którym przebywa.

James Laver pisze: „Zdolność charakteryzowania epoki i społeczeństwa nie jest sprawą prostą... Jest to rzadki dar, który wymaga obok innych właściwości — także pewnego „oderwania się” („detachment”). I dlatego obcy, cudzoziemiec osiąga czasem więcej niż artysta, urodzony i wychowany w otoczeniu, które maluje”.

Jest to trafne ujęcie. Pamiętamy przecież wszyscy rysunki Czernaśkiewicza z Parży i francuskie recenzje, które mówiły, że to właśnie on — Polak „odkrył na nowo Parżę”.

I dlatego Topolski jest niedościgniony w scenach rodzajowych, w ujęciu egzotyki angielskiego życia, w scenach, wyznaczających dickensowskie nastroje. (np. *Woznica Lorda*



FELIKS TOPOLSKI:
Typy żołnierzy

polskiego. Tradycji, która ciągnie się od Orłowskiego i Michałowskiego, malarzy walk o niepodległość z czasów Napoleona. Operowanie scenami zbiorowymi, a nade wszystko zamalowanie i niedościgniona maestria w rysowaniu naki, wszystko to zostało zaszczerpięte przez Michałowskiego malarstwa polskiemu, przewija się poprzecz Grotgera, Brandta i Juliusza Kossaka, aż staje się nieodłączną częścią twórczości Topolskiego.

Matelkowskie jest zróżnicowanie psychologiczne postaci w scenach zbiorowych Topolskiego. W grupach, związanych w kompozycyjną całość rysunkowo i myślowo, możemy wyodrębnić charakter i nastroj każdej nieledwie postaci, tak jak to zwykliśmy czynić, oglądając „Kazania Skargi”, lub „Wieszań dżwonu Zygmuntowski”.

Największy bodaj wpływ bezpośredni wywarł na Topolskiego profesor jego, Noakowski, od którego przejął, tak rzadkie dziś u malarzy, zrozumienie architektury i w dużej mierze technikę. Topolski umie się wypowiadać każdą nieledwie techniką, jest równie pewny w ołówku, kredce, piórze czy pędzlu. Ale najbardziej mu właściwa i coraz częściej powtarzająca się w jego rysunkach jest ulubiona technika Noakowskiego: lekkie, szkieletowe rysunki piórem lub pędzlem i impresjonistyczne operowanie chiascuro — przy rzadkim wprowadzeniu paru kolorów.

Ale to wszystko, co zaczerpnął Topolski z głębi polskiej sztuki, jak również ewentualne wpływy i podobieństwa z wielkimi mistrzami Zachodu — są to wyłącznie elementy formalne: materiał rysunkowy, technika, kompozycja. Wszyscy ci wspaniali wirtuoziści, ale przede wszystkim bohaterkami o jakiejś ide. Bodźcem ich twórczości była nie tylko namiętność artystyczna, ale jakaś wielka idea, o którą walczili. Hogarth walczył z pustką i beznamiętnością życia arystokracji angielskiej. Goya w swych rysunkach był obrońcą cierpiącego na-



FELIKS TOPOLSKI:
Kobiety w armii

Mayora). I dlatego z tą samą ironią patrzy na arystokratę czy na skromnego mieszczucha, (w rysunku *Dwa meloniki*), na mówcę obozu konserwatywnego czy na przedstawiciela Partii Pracy w dwu rysunkach z akcji wyborczej, na profesora z Oxfordu czy na starego lorda w fotelu klubowym West-Endu.

Topolski, obdarzony wrażliwością rasowego artysty, nie jest obojętny na wielką tragedię dziejową, której jest świadkiem. Daje w swych rysunkach wyraz nastrojom i uczuciom otaczającego go świata.

Ale i to nawet jest notowane z pewnym „detachment”.

Topolski jest młody, — wiek lat 36 jest zaledwie początkiem dojrzałości dla artysty. a już tak wiele osiągnął. Rysunki z albumu „Britain in Peace and War” obejmują okres od Koronacji — do lata 1941 roku. Może dalsze lata wojny, podróż do Rosji, kontakt z Armią Polską, pogłębiły stosunek Topolskiego do życia, może nastąpi to w miarę dalszego krystalizowania się jego osobowości. A wtedy będzie my mogli rzeczywiście postawić jego twórczość w jednym rzędzie z ogólnoludzkim dorobkiem artystycznym Daumiera czy Goyi.

*) „Britain in Peace and War” by Feliks Topolski, Londyn, 1941, Methuen and Co. Str. 128. „Poles in Uniform” by Aleksander Żyw, Londyn, 1943, Thomas Nelson and Sons. Str. 128.

TADEUSZ SOWICKI

ZMIĘTY SZAPOKLAK

Wyrastaliśmy już, ja i brat, z krótkich majtek i wysoko sznurowanych butów, gdy przenieśliśmy się na Zwierzyniec. Który to był rok, dziś trudno przypomnieć. Zachowały się jeszcze w pamięci postacie, błędniejące coraz bardziej, zachowało się wspomnienie dzieciństwa, wolnego od trosk. W Miejskim Teatrze im. Juliusza Słowackiego wystawiano tradycyjnie „Betleem Polskie” Rydla. Miarczyński grał, jak od lat, Jędrka-Mędrka i szliśmy po raz trzeci z sercem równie nabożnym, co na Rezurekcję wawelską, — zobaczyć dokładniej śmierć, która wychodziła z lewej kulisy po głowę Heroda.

Trzy były wówczas dla nas miejsca w Krakowie, w których najżywiej biło serce: Zwierzyniec, Teatr i Wawel.

Zwierzyniec oparł się o wzgórze salwatorskie, zdobne ogromnymi kasztanami, wpłynął zielenią Sikornika do stóp górującego Kopca Kościuszki i otworzył sobie szerokie spojrzenie przez wały Rudawy, rzeki modrej, wprost na krakowskie Błonia aż do panoramy Krakowa, której każdy dom, drzewo, wieża — były bliskie, znajome i kochane miłością wyjątkową.

Zwierzyniec był nakryty niebem wysokim i pod wysokim niebem uczyliśmy się żyć w nowym otoczeniu, uczyliśmy się zmian, zwyczajów i tajników nowej dzielnicy.

Maszerowaliśmy teraz codziennie na ulicę w Słoneczną, pić z krynicy wiedzy, do Szkoły Powszechnej, — i gubiliśmy ołówki już nie na ulicy Lelewela czy Kraszewskiego, lecz na Błoniach w krótkiej trawie w dni pogodne i praktykowaliśmy nawigację po grząskiej zieleni i wielkich bajorach, gdy jesienią siąpiły krakowskie „kapuśniaczki” i spore ulewę.

Jest ranek. Oto po zwierzynieckim niebie śmigają białe chmury gołębi. To siwki gołębiarzy z nad Rudawy rozpoczęły poranne loty.

Nie przysiadają na dachach, straszone zaczepioną chustą na wysokiej żerdzi. Pierwsze loty są najdłuższe i najpiękniejsze. Każda chmura w języku gołębiarskim zowie się „paka”, a tworzą ją siwki, koroniate, papuciate, — ach, pamiętne: „oko, jak korol i szyja, jak łabędź”, jak zwykli mawiać zwierzyniecscy murarze, gdy idąc rano na budowę, zadzierali głowy do góry.

...te od Owcy, te od Barana, te od Staroego Sowy, Gil dziś od rana goni...

Z nazwisk wyprowadza się bowiem nazwa tej dzielnicy od najdawniejszych czasów. Już potem było ich coraz mniej. Dzielnica przybliżała się do miasta, wchłaniała coraz to nowe nazwiska, zanikały rdzowe, zniekształcały się coraz szybciej, — żenili się — i błogosławili proboszcz z klasztoru Norbertanek w parafialnym kościele wiankom na głowach, najbielszym welonem (Królowe Przedmieścia zawsze okazałe występowały w takich chwilach), czarnym angielem i im właśnie stary organista Bala grał fenomenalne Veni Creator, wychylając łysą głowę wysoko nad ołtarzem, głowę, której nigdy nie mogło zbraknąć nad pyzatymi buziami aniołów, obojętnie, czy w Adwencie cieniutko zawodziły panny z Bractwa św. Anny „Gorzkie żale”, czy najcięższe basy zwierzynieckie grzmiały „Wesoły nam dziś dzień nastał”.

Zwierzynieczanin poznawał rychło, czyje gołębie zerwały się z dachu, czyje krąży najwyżej i czyje łatwo rozbiec w „pace” tak, żeby wpadały w inną, — wówczas pogwizdywał wesoło prawdziwie tylko tej dzielnicy znaną i niezapomnianą melodię kupletu Konstantego Krumłowskiego, z wodewilu sprzed lat trzydziestu:

„— Przeklinął ktoś Zwierzyniec,
Nie wiedząc, skąd i jak,
Ze miał pod okiem siniec
i zmięty szapoklak”. —

Krumłowski był bardem wszystkich przedmieść Krakowa w epoce czarnych tużurków, szapoklaków, kapeluszy z rajerami. Zamknął w swych postaciach Krowoderskie Zuchy i zwierzyniecką „Królową Przedmieścia”, i rybaków w „Ślubach dębnickich”, i republikę przekupek z placu Marjackiego, — wszystkich jego lutni zawdzięczał stary Kraków. Postacie były autentyczne. Pamiętały je nasze matki, gdy wracając do czasów młodości, wylizwały szerokie pokrewieństwa bohaterów, wspominały Manię, Helę i Majcherka, wiosnę w parku Jordana, karnawały w Sokole, bale z pochodniami, gdzie tańczono kadryla, wspomniano austriackich feldfelbi z monoklami w oku, splatającą się, huczną, wesołą i sentymentalną piosenkę z wydarzeniami historii, z tragicznymi wypadkami, gdy w alei przy parku Jordana na ławce zęgał się kulą samobójczą ze światem znużony życiem Michał Bałucki.

Wówczas znaliśmy historię tych żywych postaci, gdy w długie wieczory snuła się przy lampie opowieść starszych, lecz trudno ją dziś otworzyć, tak była zawiślana, tak krucha dla młodej pamięci, że zatarła się razem z obrazem tych dni, ustępując miejsca żywym, bliższym zdarzeniom tego wieku — szkole i poznawaniu świata.

W roku 1930 ulice: Królowej Jadwigi, Emaus, Piastowska, Przegoń, Drożyna i prowadzące pod Kopiec i na Salwator otrzymały światło elektryczne, w związku z tym zmniejszała się wydatnie liczba sińców pod oczyma, zmigle były już nie szapoklaci, lecz cyklistówki i kapelusze zwierzynieckich dandyś. Tylko jak dawniej pod Klubem Sportowym gromadzili się piłkarze, — stateczni i obijboki, zaci-

i „kindry”, i jak dawniej dawali sobie znać o sobie gwizdaną melodią, melodią, która narodziła się w czasach, gdy Lajkonik był prawdą.

Lajkonik wywodził się ze Zwierzynicy. Tam, gdzie Rudawa łączy się z nurtem Wisły, otoczony wysokim murem usadowił się klasztor PP. Norbertanek. Pewnie, że kamienie, dziś go otaczające, nie wszystkie pamiętają, jak to tam było dokładnie, choć dziś odnalazły się ognia, łączące odległe lata Zwierzynicy i mury obronne Krakowa aż z Samarkandą. Lecz na Zwierzynicu wiadano, dlaczego Lajkonik rozpoczyna pochód z dziedzica norbertańskiego klasztoru, dlaczego tam pierwszy raz chorągiew proroka, ogromna i zielona, zatacza koło. by uczynić miejsce dla tańca drewnianego konia.

Wiadomo jeszcze, że Tatarzy, a w każdym bądź razie wojownicy w czapach spiczastych z półksiężcem, podkradli się pod mury miasta i napadli pięcią żałogą na blankach i w wykuszach. Włóczkowie (jest i ulica ich imieniem nazwana) i flisacy wiślan, właściciele niewielkich łódeczek, larum ogromne uczynili i odparli rychło atak, ratując miasto przed zagładą.

Jak się ów chan tatarski zwał, nie znajdzie nikt w kronikach, lecz wiadomo, że tradycyjnym Lajkonikiem krakowskim był Nalepa. Stary Nalepa. Od ojca dziedzictwie przejął przywilej przetapiać wania w oktawę Bożego Ciała z klasztoru Norbertanek na Rynek krakowski i syna do tańca sposobił. Na ten dzień Nalepa przyklejał czarną tatarską broń i, brwi czarne wicherząc, straszniejszymi oczami ciskające błyskawice czynił. Dosiadał wspaniałego konia drewnianego, zdobnego perłami i drogimi kamieniami, otoczony pacholcami z tatarską odzianymi, pierwszy pokłon oddawał proboszczowi parafii zwierzynieckiej, poczem ruszał w pochód, tańcząc nieustannie pod melodię jan-czarskiej kapeli, pod Pałac Biskupi i na Rynek.

A było prawo, od lat wielu respektowane, że Lajkonik przyjmowany był we wszystkich knajpach, gęsto na tej trasie rozsianych, i gdy przed biskupim oknem pokłon trzykrotny oddawał, dobrze mu się z czupryny kurzyło, przecie mocy i fantazji nie tracił, gęściej gumową pałąk razy rozdzawał, choć z mniejszą celnością.

Ktoregoś roku stałem w tłoku na Rynku Krakowskim, na linii A—B. Lajkonik właśnie płynął w mrowiu ludzkim pod pomnik wieszcz Adama, gęsto tłumem oblepionego, ktoś za mną zawołał najczystszy zwierzynieckim akcentem: „Te uwożaj, uwożaj, bo drzewko złomiesz!”

Obejrzałem się. Był to mój kuzyn,ownik z U. J., struflający w ten sposób pewnego szacownego doktora medycyny, usiłującego wdrapać się na małe drzewko. Kuzyn ów mówił zawsze w dni wielkiej wagi gwarą, z niedbującą pięknym językiem Jagiellonów.

Wspomnienia o Zwierzynicu idą za mną, jak cień szczęśliwego słońca, rzucony na drogę. Przemijają kataklizmy, brzemienne w ofiarę, a cień kasztanów Alei Pod Kopcem rzuca chłodną plamę, pełną zapachu, andrusowską piosenką odzywa się nagle, błędzi na ustach, kwiaty spotkane na Wschodzie czasem jednym płatkami przypominają jaskry i niezapominajki z nad brzegów Rudawy.

Ta droga, która pnie się do góry, bije po twarzy zwisającymi gałązkami, miękkimi liśćmi, gęstsze znaną piśczętą podmiejsko-pólnych kwiatów, pozostawiona sama sobie, zamiera jesienią, odradza się wiosną, dyszy letnim dosyetem przyrody — teraz jest opuszczone.

Sięga jej stromizną, kamienią, staroświeczczyzny i ukochań pamięć zmęczona i odświeżona jeszcze nie zupełnie starte ślady, niki, róż-

we i białe, jasno-zielone, — ślady zaczerwienione później wojną.

Na rogu jest knajpa. Knajpa, gdzie wieczorem pachnie piwem, mydłem, cukierkami, szkła do lamp leżą obok czekolady, to knajpa Sternlichta, — mówiło się od lat: „Szerlich-ta”. Dwa kulawe stoliki tulą się pod przygarść zieleni, przy nich siadają nad piwem, przy „zechycku”, prości, surowi, sakramency, mocni w rękach, wszyscy, choć nie wiedzą o tym, że są w cieniu legendy, zwierzyniecscy ludzie. Harmonia rozdziela ciszę wieczoru na wąskie pasemka, poszczekują zrzadka kundle, żarzą się papierosy i fajki, ludzie gwarzą o przeszłości. Cóż, jak nie przeszłość była ogniem, łączącym nowe zdarzenia ze starą tradycją.

Stary „Szerlicht” był jakby stróżem tej stromej uliczki, w której idąc, ginie się w zieleni. W zieleni z lewej strony stoi willa z ogromnym szklanym oknem. Wysoko za ogrodzeniem biegają wspaniałe psy. Dom i pracownia Vlastimila Hoffmana. Zrósł się ten dom z podnóżem Kopca, a obrazy, w nim tworzone, z ludźmi Zwierzynicy. Pamiętam modele, które Hoffman utrwał na swych płótnach, swym może najbardziej słowiańskim pędzlem, najbliższym tematycznie Malczewskiemu, odbarwionym z głębokiej i ponurej symboliki Jacka. Dzieciaki o płowych czuprynkach, chudych rączkach, dłońach małych i bezradnych, trzymające w dłońach ptaszki o smutnych dziecięcych oczach, małe Mroźki, które w płótnach zwierzynieckiego mistrza ukazywały oczy smutne i ptaszkom podobne. Madonny, które potem wystawiano w Pałacu Sztuk Pięknych, może nie wszystkie wiedziały, że piękność ich jaśniała dla zwiedzających, zapomniana w codzienności zajęć gospodarskich.

Piękny był ten dom i pogoda, wokół panująca. Przechodząc drogę wyżej, otwierała się szeroka panorama na krzaki Sikornika, wprasała się pod nogi jakaś wąska ścieżynka, przybliżały się tegie kasztany z świecznikami kwiatów jak w kościele, rozpoczynał się trud wchodzenia na Kopiec.

Koszary, przez które trzeba było przejść, były otarciem się o czerwoną brutalność murów, smutek stajen, zgrzyt komendy musztrującego kaprala, lecz już po przekroczeniu drzwi do okragłej sionki wchodziło się w krąg uroku i wonną ciszę małej kaplicy św. Bronisławy.

Na posadzce migotały kolorowe plamy, sączone z witraży, ołtarz zdobiły kwiaty i kosy racławickie. Bronisława była biała, święta i melancholijna.

Raz w roku odprawiana Msza święta wczesnym rankiem, gdy jeszcze rosa skrzyła się na liściach, ściagała starych zwierzynicz na Kopiec. Chodziliśmy tam tradycyjnie, całą rodziną. W rannej ciszy płynęły tony Ave Maria. To grała na skrzypcach panna Wołowicz, mając ten jedyny przywilej staropanieński od kilku lat. Przywilej strzeżenia wejścia na kościuszkowski kurhan miała rodzina Wołowiczów.

Stary Wołowicz siedział na górze, tuż przy wyjściu ze stromych schodków, przy stoliku, nad grubą księgą. Siedział w czamarcie i powstającej czapce. Stary był bardzo. Słuch mu już nie dopisywał, dawne wspomnienia z traciły swoją kolejność, gwarzył o czasach najdawniejszych, miesząc powoli nazwiska, daty, wypadki, i pokazywał w księdze nazwiska wielkich i małych, którzy patrzyli na Kraków ze szczytów mogiły.

Córki Maria i Wanda, w salopkach rzeźnogo koloru, sprzedawały cykle fotografii zabytków Krakowa i trwały mężnie w staropanieństwie. Pani Wołowiczowa siedziała obok

swego grotgerowskiego męża, wszyscy wznieśli wysoko ponad miasto, pozwalali przepływać zdarzeniom bezpiecznie, sami nie dotrzymujący krok, bezpieczni i chylący się w przeszłość.

W dole żył Zwierzyniec. Rozmaicie bywało. Wielkie gale i święta i wielkie pogrzeby. Garsć wspomnień poświęcił krakowski pogrzebom Zygmunt Nowakowski, nie zrażony żartem, że w Krakowie pogrzeby są „ef-ef”: Flut grzebał, a Flach mówił. Flut miał monopol na wystawne grzebanie, a Flach, prezes Syndykatu Dziennikarzy, na mowy. Ostatnią mowę, a jedyną żywemu, poświęcił Ludwikowi Solskiemu w wigilię jego krakowskiego jubileuszu.

Ze Zwierzynicy wywieziono z pochodniami na Skałę, na czerwonym rydwanie Jacka Malczewskiego, który dopełnił życia wśród swych chimier i aniołów w willi przy ulicy Gontyna na Salwatorze, i zawieziono chłopką furmanką ciału Karola Huberta Rostworowskiego na cmentarz zwierzyniecki pod drzewa szumiące, pod jesienne kasztany.

A żywi, Stryj mój, wielki jak się mówiło, „socjał”, ogromnie wysoki, używany był w rodzinie do informowania podczas świąt narodowych i masowych obchodów pod pomnikiem Mickiewicza i Barbakanem, bo wszystko widział lepiej i dalej ponad głowami ludzi, inny był od mojego Ojca. Ten był polityczną chorągiewką — kolejno: austriacki, potem legionowy, potem B. B., wreszcie onozowy; w końcu zagubił się w orientacjach i był już tylko przeciwnikiem brata.

Stryj wieszał podobizny Marxa i Daszyńskiego obok błogosławieństwa Ojca świętego, godząc w ten sposób swój ideał z pobożnością matki.

„Stryj Jaś ma taką długą szyję, bo mu się do tych czerwonych sztandarów tak wyciągnęła”, powiedziała kiedyś siedmioletnia moja siostra cioteczna. Stryj chodził z czerwonym goździkiem 1-go maja, deklamował nam wieczorami „Grób Agamemnona” i „Piramidy”, zajmował się potrosze wiedzą ścisłą i malował zwierzynieckie umysły na czerwono, ponosząc wielkie ofiary, do poturbowania w czasie majowych rozruchów włącznie.

Polityczne dyskusje mego Ojca z bratem były dla nas zawsze „austriackim gadaniem” — i wówczas wspomniano, jak żółto-czarny dom panujący nie znalazł uznania w oczach dziadka Mikołaja, skoro wielką podobiznę „cysarza” Franc Jozefa przykleił na latawcę, oddając go wnuczkom do zabawy. Potem już mówiło się: „nieboszcza Austria”.

Dziadek ten był twórcą pierwszych żydków emausowych — drewnianych, z długimi brodami i lisimi czapkami. Z gazetką hebrajską w rękach, przemysłnie na sprężynkach ustawionych, by się kiwać mogły.

Stały te pierwsze żydki w Muzeum Etnograficznym na Wawelu, a może i dziś tam jeszcze stoją.

Rok rocznie Zwierzyniec bez względu na wiek, przekonania i stan musiał przejść wzdłuż kramów, pisku oblewanych wodą dziewcząt i dzieciaków, czyli przeżyć Emaus.

*

W sierpniu 39 roku te dni zbliżyły się do finału. 3 września odchodziłem, bojąc się obejrzeć w tył, jakbym nie chciał zatrzymać pod powieką pejzażu młodości, który tkwił głęboko, bolał powielekroć, odzywając się przez malarskie odczuwanie Budapesztów, Belgradów, Istambulów, Bagdadów, Jerozolim — tych niekochanych miast. Ostatni raz szumiała Rudawa wodą daleką i nad radiostacją przy salwatorskich kasztanach krążyły samoloty.

Został tam na trawie czerwony strzęp człowieka, leje, wydarte w ziemi mściwie i bezlitośnie. Zostały różowe nagietki, chwiejące się bojaźliwie u stóp słoneczników. Zostali ludzie. Listy donosiły co pewien czas wiadomości: Lajkonik tego roku nie tańczył, albo: — biedny był Emaus, trochę piteczek na gumce, różańców i ani jednego żydka na sprężynkach, i jeszcze: — stary Wołowicz umarł, na Kopcu stoi jakiś niemiecki garnizon i tabliczki tam gęsto wiszą: „Eintritt streng verboten”.

Dziewiąty, czy trzynasty, czy czternasty września 39-go roku — nie wiadomo. Wiadomo tylko, że to siedemnasty nalot z rządu.

Tarnów. Zabici, na chodniku kleksy czerwonej krwi, celtą nakryty na jezdni policjant — nieżywy, szkło rozsypane na miazę, kolumny wojska jadą, pikują cztery samoloty — wtedy spotykam stojącego na zropaczonyj ulicy Vlastimila Hoffmana. Nie ma czasu na słowa, na rozmowę, na pytania. Odjeżdżam konno pod następny nalot i wiem, że łuna tarnowskich pożarów bije teraz w okna pracowni na Zwierzynicu.

*

Wspomnienia są przywilejem starości. Lata wojny liczą się podwójnie. Pomiedzy kołyską i grobem jest życie. Zwierzyniec, świat serdeczny i nienawistny. Wspominać, to znaczy powracać, starzeć się, pozwałać płynąć czasowi, odwracać się od rzeczywistości, gubić na wielkiej drodze pamiętki, fotografie i wołać cicho — najciszej: nagietki zatrzęszone, słoneczniki dojrzałe, kasztany, czuwające nad grobami, i kogoś, kto przechodzi w zmiętym szapoklaku z minionej epoki, mija most na Rudawie, przyspieszając kroku, bo Lajkonik już tańczy w Rynku.

A spóźnienie się o cztery lata jest karygodne.

JERZY BAZAREWSKI

KONIEC DROGI

Pamięci Światopółka Karpińskiego

Szukam twojego śladu w zmierzchach obcego nieba,
Wśluchuję się w szum morza i w rozełkany wiatr,
Lecz nic nie mogę odnaleźć, ni ścieżkę przeżytych, ni lat,
Przez które ty potrafiłeś melodią strofy przebrnąć.

Cienie, złożone na skroniach twojej przeklętej młodości,
Idą za mną uparcie, włoką się długim trenem,
Błądzą wśród życia i śmierci preludiami Chopina,
Bola jak rany wymową — słów, pojmovanych najprościej.

Droga wrześnieowych wspomnień kończy się w spaźmie uniesień:
Trudno pokorą modlitwy sięgnąć cmentarnych gwiazd,
Widzę błękitne twe oczy wśród gruzów pobitych miast,
Patrzę na liście czerwone i wiem, że znowu jest jesień.

Płynie ostatnia piosenka, o tem, że za sto lat —
Nic po nas nie zostanie. Tak to już musi być.
Poprzez daleki horyzont, o który poszedłeś się bić,
Widzę twoją krzyż Militari, wzięty na tamten świat.

Droga z rozbiej Warszawy powiodła przez Lwów do Wilna.
Zabrałeś serce i wiersze, spisane na błędnych dłońach.
Wiem, że już nic ci nie trzeba prócz garści ziemi mogilnej,
Prócz zgrzebných szepców pacierza. I to już chyba koniec.

ANATOL KRAKOWIECKI

BOCZNE ŚWIATŁA KRAKOWA

Przednia rampa oświetla scenę. Na niej postacie, figury, marionetki, żywi ludzie. Jak bardzo żywi, prawdziwi, czujący — wesele! Z bocznych kulis padają boczne światła. W bocznej kulisie stoję właśnie ja, zachwycony widzę, zasłuchany słuchacz. I patrzę i dziwuję się i cuduję i uśmiecham i rozrzewnam.

Kraków! O czym myśleć w bagdadzkim szpitalu? Czy może znów o tajdze? O nocy polarnej? O zgrozie, o nędzy człowieka na dnie nieszczęścia? O jeszcze większej nędzy drugiego człowieka, który go tam zepchnął? Nie, zastąpić to kurtyną ponurej wzdargi, ucieść się życiem, wybronić jeszcze raz, uśmiechnąć marzeniom! O Krakowie marzeniom — się uśmiechnąć. Pomarzyć w przeszłość!

Kraków, między dwoma światowymi wojnami, był bardzo inny i bardzo różny od tego, jaki namalował Boy w swej świetnej książce: „Znasz-li ten kraj?” Różny, inny, a jednak jakby ten sam.

Trąkły się po cukierni Michalika, już tylko dalekie wspomnienia Zielonego Balonika, zamglone, nierealne, mające zapach dowiecipnej legendy, trochę nieprawdopodobnej. Wysiadł tylko zawsze jeszcze przy tym samym stoliku w prawym rogu ostatni krakowski „człowiek w pelerynie” Zenon Pruszyński, autor „przewodnika” po Jamie Michalikowej, ostatni trubadur chwały Zielonego Balonika.

Odkąd Stanisław Stwora, poeta i reporter, brodaty sobowtór Przybyszewskiego i Orkana równocześnie, zdjął pelerynę, jeszcze tylko pan Zenon w niej chadzał, oraz z rzadka postać przedziwna: wysoki jegomość w cylindrze z zupełnie białymi, długimi włosami, spływającymi aż na ramiona — pan Rogalski, autor, redaktor i wydawca „pisma”, które, Bóg wie kiedy, się ukazywało i którego nikt nie rozumiał, a zarazem tegoż pisma jedyny kolporter. Pismo nazywało się „Rogaty”. Była to postać jakoby nie rzeczywista, jakiś zabłąkany w teraźniejszość wajdelota, który z kaprysu przyozdobił głowę... cylindrem. Z bardzo rzeczywistej rzeczywistości był zato syn Rogalskiego, Gustaw, malarz-karykaturzysta, nauczyciel rysunków, autor obrazków niejednokrotnie bardzo dowiecipnych, a zawsze pięknie złośliwych. Tragiczna była rzeczywistość Gustawa Rogalskiego. Niemcy zagarnęli go w Krakowie. Rysował złośliwe antyniemieckie karykatury i wpadł. Nie żyje!

„Michalik” nie cieszył się jednak specjalnym powodzeniem wśród młodszych pokoleń literacko-malarskiego. Kilka razy zanosił się dość poważnie na renesans tej knajpy, jednakże wszelkie usiłowania spełzały na niczym. Aż wreszcie — zebrano prawdziwe eksponaty (te, które zabrać się dało) i wywieszono w lokalu cukierni kopie. Sam Sichulski własnoręcznie namalował kopię własnego obrazu, — gorszą od oryginału. Lokal odnowiono i wyczyszczono. A wtedy „drzwiami i oknami” runęła tam publiczność inna — „filistry” i „mildlarze”, jakby to powiedziano za czasów Młodej Polski.

Pierwszą na „wielką skalę” okazją do odnowienia tradycji Michalika był tak zwany „bunt dzikich i niezadowolonych malarzy”. Wielka to była awantura. Obrazili się mianowicie malarze na Pałac Sztuki na placu Szczepańskim, pozrywali swe obrazy i wynieśli w uroczystym pochodzie przez miasto. Nastąpiły czasy wścieklej agitacji i kontragitacji. W przynajmniej jednym lokalu przy ulicy Sławkowskiej otwarto wystawę „współczesnego malarstwa francuskiego”. Po Krakowa tam poszło. Ogłądało i zachwycało się. A wystawa była kamuffażem, mistyfikacją, błagą. „Francuskie” obrazy malowali bowiem krakowscy malarze na miejscu w Krakowie.

Zbuntowani artyści urządzili właśnie u Michalika „bal dzikich i niezadowolonych malarzy”. Co się tam działo! Ta jedna noc dorównywała chyba najbardziej rozpętany nocom „balonikowym”.

Ludzie siedzieli „warstwami”. Odzianych normalnie gości wylewano na pysk. Panie były porozbierane do ostatecznych granic, a nawet poniżej nich. Był pan, który nosił frak gorsm do tyłu, a połam do przodu, ale zato wcale nie miał spodni, tylko krótkie inekspimable.

W kilka lat później inne grono wesołych artystów obśiało Michalika. Była cała seria zabaw. Przytoczę tylko nazwy: „Rrręka noga!”, „Muw mi wóju (!)”, „Grra Fuarrra” i zabawa angielska: „Mbwana Kumbwa Mbwu”.

Tymczasem z „dzikich” malarzy zrobił się Związek Artystów Plastyków, rozpoczął działalność Dom Artystów na placu Św. Ducha, aż wreszcie całe towarzystwo, znakomicie ustatkowane, przeniosło się do Domu Plastyków na ulicę Łobzowską.

Całą tę burzliwą historię mógłby opowiedzieć dokładnie i z należytyim odczuciem artysta malarz, Józef Jarema.

Na poważniejsze już wskrzeszenie zanosilo się, kiedy przyjechał z Ameryki do Krakowa rzeźbiarz Stanisław Szukalski. Istną rewolucję wywołał w Krakowie swymi azteckimi rzeźbami, przemówieniami, wystąpieniami, wydanymi, „manifestami” i plejadą swoich wyznawców. Chadzał do Michalika w „kostiumie” stylizowanym, w osobliwej rogatywce na głowie i z psem-olbrzymem, nowofunlandzkim.

Psa tego sfotografowano, oczywiście, wraz z właścicielem w „IKC”. Aż potem przyszedł

„prima aprilis” i pies się „przydał”. Mianowicie w redakcji „Światowida” zrobiono fotomontaż. Wymazano postać Szukalskiego, a na jego miejsce wlepiono Stanisława Stworę. Tak spreparowaną fotografię wydrukowano w „Światowidzie” z podpisem:

„Krakowski poeta, Stanisław Stwora, nasz kolega redakcyjny, otrzymał z Ameryki spadek w wysokości pół miliona dolarów. Na zdjęciu naszym p. Stwora na tle zakratowanego skarbca, z psem, specjalnie tresowanym, który pilnuje jego skarbu”.

I, pomyślcie! Stwora otrzymał — kilkaset listów z prośbami o zapomogę (o pożyczkę również). Jeden z listów zaczynał się z miejsca tak:

„Ty się mnie teraz napewno wyprzesz, łajdaku, ale przypomnij sobie, jakieś w 1912 również”. Jeden z listów zaczynał się z miejsca do wtrileju.

A prima-aprilisowy „milioner” obracał list w rękę tam i nazad, myślał z nateżeniem i mówił, zacinając się, jak zwykle:

— A to sz—sz—szelma baaaba sz—sz—szantażyстка! Jak Bogga kkkkochoam, nnic takiego nie było!

Rozłożył ręce.

— Ch—ch—chyybyba pppo pppijanemu...

Pojechał Szukalski i jeszcze raz wrócił, i znowu pojechał. Tymczasem odwiedził i Warszawę, i Wilno, i inne miasta, wszędzie niosąc z sobą szlachetny metlik artystyczny. Wydawał w Krakowie pismo p. t. „Krak” i założył całą szkołę.

Dawno minęły już, bezpowrotnie przeszły lata beśpośrednio prawie po tamtej wojnie, kiedy to ukazywały się w Krakowie „Nuż w bżuhu” i „But w butonierce”, kiedy szalał futurizm, formizm i t. d. Wielu wybitnych pisarzy przeniosło się do Warszawy. W 1926-27 r. powstała i wychodziła w Krakowie „Gazeta Literacka” (Jerzy Braun, Adam Polewka, Witold Zechenter i inni), a potem padła. Na uniwersytecie, klub literacki „Helion” przerodził się w „Litart”. Tadeusz Peiper wydawał „Zwrotnicę”, Jalu Kurek — „Linie”, ale w gruncie rzeczy „ruch” literacki nie był zbyt wielki — mówię tutaj o „ruchu”, czyli o wrzawie, o skandalikach i t. d. Naprzykład: „Gazeta Literacka” sprowadza Buster Keatona, ma być przyjęcie w kinie „Uciecha”. Tumy, szturm na kino. Na podium pod ekranem wychodzi we własnej osobie Bustor Keaton w autentycznych okularach. Oklaski. Ale artysta zaczyna przemówienie po polsku. Awantura! Wrzask! Witold Zechenter, który odstawił Keatona, musiał wiać tylnym wyjściem.

Z tym wszystkim jednakże poważna, rzetelna praca literacka nie opuściła nigdy Krakowa.

A gdyby tak rozglądać się i policzyć, doszlibyśmy do przekonania, że olbrzymia większość młodszych pokoleń literackiego w Krakowie przeszła przez redakcję „Głosu Narodu”. Przez redakcję tego chadeckiego pisma przešla cała plejada literatów o przekonaniach wcale nie chadeckich. To taka typowa krakowska osobliwość, która była możliwa tylko dlatego, że naczelny redaktor tego pisma miał prawdziwe ambicje literackie. Gościem wprawdzie jakoby, ale jednak pracował w tym piśmie krótko Jan Wiktor, stałymi współpracownikami przez dłuższy nawet czas byli: Janusz Stępowski, Witold Zechenter, Jerzy Braun, Marian Czuchnowski.

Zajeżdża latający dywan na ulicę Św. Krzyża, tam gdzie dawniej mieszcila się redakcja „Głosu Narodu”. Tam to stawałem pierwsze kroki dziennikarskie, — zresztą dla całej gromady dziennikarzy polskich była to „wyższa szkoła dziennikarska”. Widzę Stefana Nowińskiego, autora „Grubej Berty” (jeszcze z czasów tamtej wojny), jak wchodząc skłania głowę i mówi:

— Niech będzie pochwalony! Co w tej kručinie słycał?

Stefan Nowiński jest autorem pysznych kalamburów: „Śledź ma trzy końce — głowa, ogon i gdy się go zje”.

I doprawdy pokoje redakcji pachną kručiną i zakrystią. Są arcyważne. Ale tutaj się po nich uśmiechy, wspomnienia i — nazwiska, nazwiska. Redaktor naczelny Jan Matyasik (całego Słowackiego umie na pamięć i nie tylko Słowackiego) opowiada. Anegdota sieje sędziwy Józef Nekanda Trepka.

Włodzimierz Perzyński i Józef Chołojewski byli jeszcze współpracownikami „Głosu Narodu” za redakcji Jakuba Rogosza. Perzyński prowadził nawet (anonimowo oczywiście) w dzienniku dział rozrywek. Zagadki, szarady, rebusy. Co tydzień nowe zagadki, co tydzień rozwiązanie starych zagadek sprzed tygodnia. I oczywiście nieodzowny wykaz: „zagadki z nru poprzedniego rozwiązały...”

Ba, ale Perzyński wprowadził całkiem nieoczekiwaną rubrykę, a mianowicie: „zagadek nie rozwiązał”. Ażby dodać splendoru działowi rozrywek, „Perz” drukował pod tytułem: „Zagadki rozwiązały” kilkanaście nazwisk autentycznych szaradzystów, ale „dla okras” dodawał zawsze nazwiska nie bylejakie. Oto figurowali tam: Wyspiański, Stanisław Tarnowski, jakiś Radziwiłł i t. d. — choć im się nawet nie śniło zajmować się zagadkami. Zato oryginalna rubryka nieodmiennie brzmiała w sposób następujący:

„Zagadki z nru poprzedniego nie rozwiązały”.

Lucjan Rydel”.

Doprowadziło to do „krótkiego śpięcia” między Rydlem a Perzyńskim, ale ostatecznie jakoś tę sprawę zapito.

Pojechał raz Rogosz na urlop do Truskawki i pił spokojnie „naftusie”. A tu w Krakowie istna bryndza — kanikuła na całego, nudy. Szczyt nudów. Nagle nieznaczna wiadomość: incydent graniczny na granicy Austrii i Szwajcarii. Opuuszczona i zanudzona na śmierć redakcja postanowiła „sprawę rozrobić po dziennikarsku”.

Wobec tego na następny dzień — „incydent się zaostrzył”. Zaczęły być „ofiary śmiertelne”.

Trzeci dzień: — ofiar przybywa.
4-ty dzień: — na granicę jadą komisje.
5-ty dzień: — noty dyplomatyczne!
6-ty: — jeszcze noty.
7-my: — Szwajcaria mobilizuje.
8-my: — Austria posyła pułki „Kaiserjaegerów”.
9-ty: — hymn cesarski nad samą granicą i, naturalnie, sztabery.
10-ty: — wojna! Tak jest! Wybuchła wojna! Autentyczne! Wojna!
13-ty — wojna trwa, bardzo dobrze i „prawdziwie” zrobiona: naturalistycznie. Dobra robota dziennikarska.

Dostał Jakub Rogosz w Truskawce gazetę. Wyobraźmy sobie, co się z nim działo! Do redakcji przyszedł telegram:

„Zawrzeć pokój, bo rozpędzę — Jakub Rogosz”.

Pokój został zawarty...

Nawiasem mówiąc, „Głos Narodu” miał — w czasach, kiedy tam pracowałem — zdumiewający, jak na jego wiek temperament opozycyjny. Niezależnie zaś od opozycji wobec rządów pomajowych w dzienniku szła zacięta kampania przeciw Żeromskiemu, prowadzona w znacznej mierze przez Karola Huberta Rostworowskiego.

Jeśli jednak jesteśmy na ulicy Św. Krzyża, zostaniemy już przy niej. Niech mi będzie wolno być pierwszym trubadurem, głosiłem chwałę i odkrywcą instytucji, o której głucho w „literaturze pięknej”. Nie umyła się ta instytucja do Jany Michalikowej, ale też ma swoją osobliwość co najmniej, a może nawet piękną kartę.

Janczyk! Czy słyszał kto o takiej firmie? A jednak właśnie przy ulicy Św. Krzyża w mizernym, niepozornym lokalu (przeważnie tak bywa) nagle zaczęło się zbierać starsze literackie (i pokrewne) towarzystwo. Restauracja, nie restauracja, szynk, nie szynk — raczej szynk.

A wysiadali tam Franciszek Nowicki, autor niezapomnianych „Sonetów Tatrzaskich”, poeta unius libri, odkrywca dla poezji piękna polskich gór, po którym dopiero Tetmajer wyczerarował „Legendę Tatr”, Franciszek Pik Mirandola, poeta, zasłużony tłumacz, Aleksander Błazejowski, autor „Czerwonego błazna” i najlepszych polskich powieści sensacyjnych, Konstanty Krumiowski, sam też autor „Królowej Przedmieścia”, Stanisław Stwora, wspomniany już tutaj, Wiktor Kuźniar, geolog, docent Akademii Górniczej, rzadka Kazimierz Czachowski, znakomity krytyk literacki, i inni.

Restauracja skończyła się w sposób charakterystyczny. Mianowicie rozpił się właściciel i obaj jego synowie.

U Janczyka królowała Franciszek Nowicki, przez wszystkich „starszym panem” nazywany. Stary, przeszło osiemdziesięcioletni, wysoki, postawny, na wpół ślepy, o tubalnym głosie, wspaniałych wyrażeniach i świetnym, rubasznym, polskim humorem.

— Służba, dworzenie! — mawiał, stojąc przy bufecie — należcie no kielich gorzały, a szybko, bez zwłoki, bo śmierć się do mnie zbliża, żebym zdążył jeszcze wypić. Dajże, asan, wódkę!

Opowieści jego o tym, jak to przy współudziale jego własnego ojca, który był profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, wyłano go z krakowskiej wszechnicy „za socjalizm”, były kapitalne. Albo o tym, jak wozół bibułę do Kongresówki.

— W Krzeszowicach dawali mi futro, bilet do pierwszej klasy i walizy. W gębę wsadzano mi cygaro. Wolno mi je było zapalić dopiero w Szczakowej. Potem była stacja Granica, rewizja celna i paszportowa. Siedziałem na kanapie i kurzyłem cygaro, a na pytania odpowiadałem półgębkiem, jakby jakiś książę. Ale w Zawierciu, to mi odbierali nie tylko walizki i futro, ale i cygaro. Gasili je, bo miało wystarczyć na drugi raz!

Albo taka opowieść:

— Wiesz, waćpan Anatol, że w każdej rodzinie musi być jedna świnią. I ja miałem kuzyna, który służył w policji austriackiej. Przychodził ta kanalia pewnego razu do moich sióstr i mówi: „Ostrzeżcie Franka, bo u niego będzie rewizja”. A moje siostry, świec Panie nad ich duszami, bęc na kolana i dalej je w modły! No i przyszła policja i nakryła wszystko, co tylko można było nakryć. „Czemużście mnie nie powiedziały?” — pytam się potem. „A bośmy się bały Franeczka zmartwić”...

Najlepiej jednakże, najsmaczniej i najradośniejsze słuchało się opowieści Aleksandra Błazejowskiego. Znam ostatecznie ośobiście kilka tysięcy ludzi i zdarzyło mi się usłyszeć ośobiście kilka tysięcy opowieści. Lepszych i gorzych, a były też niektóre kapitalne. Ale nikt

nie umiał tak mówić, jak Leszek, jak tenże Błazej. To był najwyższej klasy talent narracyjny. Plastyka opowiadania, zdolność rysowania w kilku kreskach wyrazistych konturów, ozdoby krasomówcze, jedyny styl i złoty humor. Można było po kilkanaście razy słuchać tej samej opowieści, chociaż — a może właśnie dlatego — za każdym razem zmieniała się sceneria, czas, miejsce, osoby i tym podobne, drobniaki. Coś tak, jak z owym okiem Zagłoby, wypalonym raz w Galacie, to znów na Mołdawii.

Z protestów nic sobie Błazej nie robił.

— Ależ ostatnim razem to było z Henrykiem Zbierzchowskim, a nie z Kazimierzem Grussem i we Lwowie, a nie w Trzemesznie...

— Szkoda opowiadać kawały — mówił Błazej — durniom bez fantazji — i ciągnął opowieść.

Nie wiem dlaczego Konstantego Krumińskiego uważałem za przeszłość. Chyba dlatego, że od najmłodszych lat obijały się o moje uszy słowa: „Królów Przedmieścia”. Widywałem ten wodewil już w dzieciństwie na scenach amatorskich, a potem w „prawdziwych” teatrach. Aż tu nagle poznaję Kostka i w pół godziny jestem z nim „na ty”. Z tymi sprawami u Janczyka nie było ceregieli. Należy jednak pamiętać, że Krumiowski wystawił swój „sławny” wodewil, mając 23 lata — opisać tę historię Boy w swojej książce: „Znasz-li ten kraj”.

Krumińskiego poznałem, jak już urządził tylko „jubileusz”, wykazując pod tym względem pomysłowość zadziwiająca. Krążyła u nas opowieść o tym, jak to Kostek uczcił 25-lecie „Królowej”. Zalał się tak, jak to on potrafił, w czasie drugiego aktu wlaź na scenę i „wyzłonił” kilka słów przemówienia, jakiego chyba nigdy nie słyszał mury żadnego teatru. Na szczęście zrobił krok nieostrożny i spadł do orkiestry.

Kostek mieszkiał w Podgórzu na placu Przystanek. Nieraz byłem tam u niego i nieraz zapytywałem, czy to prawda, co pisał Boy, że sprzedał on „Królowę” za 20 koron i dwa szyncele po wiedeńsku. Był to wypróbowany, niezawodny sposób na zdenerwowanie autora. Kostek rzucał się i kłął Boya w żywy kamień. A trzeba wiedzieć, że słownik jego był niezrównany.

Ale tam, wśród tych wizyt, rozgryżłem wreszcie tajemnicę Kostka. Uważał on mianowicie, że się minął z powołaniem. Miał on bowiem ambicje naukowe. Dość osobliwe one były, ale były. W każdym razie zupełnie dobrze przystawały do postaci Krumińskiego, najbardziej rasowego członka krakowskiej bohemy, którego życie było jednym spletem najnieprawdopodobniejszych kawałów, psich figlów i pijaństwa.

On to przecież pewnego razu przy pomocy dyskretnych liścików zgromadził w samo południe w cukierni Maurizia wszystkich najbardziej znanych garbusów krakowskich, on pewnemu solenizantowi przysłał w imieniny skrzynię nocnych naczyń.

Nie podejmuję się spisywać kawałów Krumińskiego. Prawie że w stu procentach są one nie do powtórzenia. Tutaj chcę tylko ogłosić rewelację o jego ambicjach naukowych.

— Te kołtuny mnie nie dopuściły — mawiał na początek, a potem zaczynał zwierzenia.

Oto starał się on o lektorat na Uniwersytecie Jagiellońskim i nie otrzymał go! Trzeba jednak przyznać, że lektorat ten miał być dość niezwykły. Oto chciał on wykladać... język cygański.

Jak wynikało z jego słów, miał on bowiem w swoim życiu niecodzienny bądź co bądź epizod. Po maturze uciekł do obozu cygańskiego, zawarł cygańskie małżeństwo i podróżował po Słowacji, Mołdawii, Siedmiogrodzie i t. d. A potem „nawrócił się”, uciekł z kolei od cyganów do Krakowa, zakochał się w robotnicy z fabryki cygar, pięknej Mani, i napisał o niej „Królowę przedmieścia”. Piękna Mania pogardziła jednak jego zalotami i wyszła za mąż za urzędnika magistrackiego. Chodząca kronika Krakowa, Stwora, pokazywał mi pewnego pana i mówił:

—Tito jest mmmąż kkkrólowej przedmieścia.

* * *

Jakoś niespodziewanie trudno pisać te rzeczy jednym tchem. Odrzućmy szczegóły w pamięci, a one same chwilami nalatują na mnie w takiej masie, że obronić się przed nimi nie mogę. Rozgarniam je obiema rękami — ja, pływak na fali wspomnień. Widzę tych ludzi koło siebie, tak bardzo pełnych krwi życia, rumieńców i temperamentu, tak bardzo mi bliskich, że czasem jednak nie mogę obronić się przed wzruszeniem.

A przecież nie piszę tego, aby się wzruszać. Otwarcie przynaję się, że piszę, aby się śmiać. Piszę bowiem o ludziach, których znałem dobrze lub jeszcze lepiej, jak dobrze, a w każdym razie na tyle, aby wiedzieć, że nigdy nie gardził śmiechem i w śmiechu widzieli nawet specjalny fason życiowy, specjalny styl życia.

Szkoda mi tych historii, tych anegdot. Rozwijają się, znikają, zamrą, przepadną. Opowiedziane, choćby tak bez pretensji, jak ja to czynię, zostaną, nie zginą...

VERZY SKOLIMOWSKI

KOLACJA NOWOROCZNA

Zaczął się rok 1942. Sylwester nie należał do tych najmiłszych. Adam leży przy telefonie pod Morrisem i moknie. Leje deszcz i jest zimno. Płaszcz zostawiliśmy na poprzednim punkcie obserwacyjnym, w małym rowku. Z brzaskiem wschodzącego dnia noworocznego wybiegliśmy zaraz za natarciem, zaraz za Tadeuszem i Stasiem. Oni byli „wysuniętymi”, szli razem z Kaframi z dalekiej South Africa zdobywać Bardię. Jak mówiliśmy, wybiegliśmy z Adamem na perymetr, ale ani bieg, ani przymusowe i przykre „padnij” nie rozgrzało nas. Leżeliśmy przecież pół nocy bez ruchu. Wolno, systematycznie wypróżniłymi podry włośki koniak, ale to widać było za mało. Tak samo jak nie wystarczały do rozgrzania rwące się pociski naszego barage'u, i ich ogień zaparowy. Byliśmy zmarznięci beczynnym leżeniem. A ogień był duży. Ostatnio waliłami przeszło 1000 pocisków na godzinę, a do tego oni też jeszcze mieli coś do wystrzelenia. Do tej pory mam w uszach pneumatyczny huk odkorkowanej butelki szampana z dział okrętowych.

Ostatni skok wbił nas w piach na dnie rowu przeciwzołgowego. Było dosyć zaciszenie, ale zarazem i niepokojąco, bo hukowi nie towarzyszył żaden widok. Oczy nie widzące, wbiły w szary przed wschodem słońca pas nieba, nasuwały wizje urojonych zdarzeń. Z lewej strony oleista chmura palącej się benzyny kirem zasnuwała i tak ubogi widok. Nudę napiętego oczekiwania przerwał tupot nóg. Z wysoka zeskokczyli do rowu Nowozelandczycy, najezdni, jak grube pająki, nogami i rękami, przedłużonymi w karabiny.

„Halo — how are you?” — „Well — odpowiada Adam — and you, are you all right?” Rozmowa potoczyła się sympatyczną towarzyską nutą, nałożona na piekło akustyczne huków. Gdzie uczylimy się angielskiego? Adam, w domu, w Polsce. O! O! Słychać zdziwione uznanie. A ja byłem sternikiem w Los Angeles na Olimpiadzie i tam trochę...

Tym razem ponuro słysząc: „O bloody cox!”

Oni są wioślarzami i starym zwyczajem muszą wymyślać na sternika. Boli ich wiecie, wkładany na sternika za to, że oni ciągnęli cały tor.

Rozmowę przerysza zgrzyt naszych czołgów, przechodzą poniżej nas wyjąkami z wysiłku motorami po obsuwających się stromiznach zle, na przedce zasypanego rowu przeciwzołgowego. Dla nas to sygnał do warjacji. Fachowo nazywają to „skok do przodu”, a naprawdę jest to piekło bieganiny, rwącego się ciągle kabla i urywanych świadomości obserwacji. Bo widok skacze, jak na zle puszczonej filmie i za dużo się dzieje od razu, jak na oczy, przywykłe tylko do miłych, uśmiechniętych gęb współtowarzyszy w rowie. Tam ktoś się grupuje, to pewnie nasze natarcie — Nie! To ich jency. Linia działa doskonale, a w następnej sekundzie już jest: — Halo? Halo? Już przerwana? Cisza na linii. Boże! Patrol na linię. I tak w koło. Dermatograf nie pisze, bo celfan na mapie mokry — tego brakowało. Nareszcie znowu jest łączność i pytają, dlaczego nie odpowiadamy: „Bo kabel rozerwało, co u diabła myślicie, że to Cedergren w Warszawie, czy co?”

Dogania nas Morris. Wiktor zwałisty jedzie na punkt obserwacyjny, a w rezultacie widzę jedynie zdobyczne parabellum z nocy sylwestrowej i okulary zawstydzonego Jerzunia. O! — jest Staś i Tadzio. Tadzio jest przestrelony na wylot przez obojczyk, Staś założył mu opatrunek w natarciu. Stoi teraz dumny z tego, umorusany i jak zwykle bez wszystkich guzików. Jak on to robi, z tymi guzikami? Ale lubię go za ten opatrunek. Wyraźnie jest mi miły, a może w ogóle go lubię?

Na zasiękach leży czarny; w rękach zastępych, jak szpony, trzyma karabin z bagnetem. Ciemna twarz z różowymi od betelu zębami zalana krwią. Twarz wiecznego niewolnika, który poległ za wolność.

Tadzio stoi pochylony, blady i za wysoki, jest bez hełmu, rękę ma zatknęty za battle-dress. Zakurzone włosy wiszą nad czołem, niebieskie oczy gasną zmęczeniem i jakimś chłopcym zawstydzieniem. Oczywiście wstydi się poży, zatkniętej bezwładnie ręki i tego, że o nim mówimy, że major winszuje. A jest przecież czego winszować. Na wylot przestrelony wytrzymał do końca, skończył robotę. Wykonczyli ten bunkier, z którego go ranili. Ale Tadzio jest zawstydzony i wygląda jak chłopiec, który zwyciężył tych z klasy 3b, odebrał latawiec, ale nie chce, żeby go chwaliłi. „Stasiu, dlaczego go nie odesłałeś do tyłu?” przychodzi mi na język złośliwy. „Dlaczego on tazi do tej pory nieopatrzone?”

„Dlaczego” jest zaczepliwe. Nie mogę w tej chwili patrzeć na Stasia. On temu winien, tak rozumiem, choć wiem, że Tadzio jest uparty, że nie wróciłby. Wiem, że nie mam racji. No i od tego się zaczęło, bo Adaś za chwilę poprosił Stasia, żeby przyniósł nam płaszcz z naszego rowka, jak będzie odwoził Tadzia. No, i Staś wrócił nad wieczorem, ale bez płaszcza. Powiedział, że „pewnie jakaś świnka buchnęła”. Stare, znane powiedzenie. A ja wiem swoje, że nie był tam, nie przez złość, ale zapomnieli. W ogóle nie pamięta o niczym, jed-

nie wie, że to „świnka jakaś buchnęła”. I teraz Adam leży i moknie i nie ma się czym okryć. Mówi, że przykre są pierwsze chwile tylko, i nawet nie chce, żeby go zmienić. Będzie odbywał ten sitzbad przy telefonie. Widać, że naprawdę go nie to nie obchodzi i mówi tak sympatycznie, patrząc nad okularami. Myśli pewnie o Sylwestrze na Kalatówkach, gdzie spotykał nowy „szczęśliwy” w toastach rok 39. Opowiadał mi o tym wczoraj podczas strzelaniny. O kuligu z dzwoneczkami, o frakach, o sukni swej żony. Znam ją z fotografii. Jest podobna do Anabelli. Odchodzimy, może chce być sam. Wchodzimy na chwilę w Wiesławem do opuszczonego bunkra w jarze. Jest fantastycznie wprost brudny. Kupy jakichś gratów, pośpiesznie rzuconych, rozbitych walizek i skrzynek. Śmierdzi stęchlizną i brudnymi, mokrymi łachami. Siadamy bezwładnie i patrzymy na siebie. Coś się nie klei. Głupio jest siedzieć pod dachem, gdy tamten moknie.

Wiesław próbuje robić humor. Śpiewa coś, ale zawsze byliśmy ziej opinii o jego jazzowej interpretacji każdej melodii. Walce angielskie grzmiały jak taniec wojenny Siuksów. Później opowiada coś mętnie o Sylwestrze w A.S.P. na Powiślu, że Eliasz przebrał się za wariata. Był we fraku. Bardzo wytworny, nawet miał włosy uczesane, tylko, tylko jedną stopę miał bosą i wycierał o wycieraczkę, którą ciągnął za sobą na sznurku. Zabawne — śmiech nieszczerze odbił się o kamienne sklepienie i ugrzązł w kupie śmieci, między nami. Ciekawym, kto większy wariat? Jeszcze jedna próba czegoś, co by się „działo”, to kolacja. Wiesław rzuca się do roboty, ale ja jestem w niechętniej opozycji.

„Przed wszystkim ich psim obowiązkiem jest przysłać nam żarcie. Co sobie myślą dranie, siedzą kilkanaście kilometrów z tyłu i ani pisać”. Takie jest moje zdanie i oczywiście nie pomaga jemu do gotowania. Teraz znowu w śmieciach znalazł z okrzykiem Kolumba puszkę z kawą. Przecież makaroniarze mogli nasypać zwyczajem Borgiów trutki na szczury. Patrząc na Wiesława, on przecież jest nawet podobny do szczura, a i mnie tak nazywają. „I w ogóle, daj spokój”, bo widzę go jak leży otruty, macha łapkami i ogonkiem.

„Wiesz, Wiesław, będziemy przypasowywali do znajomych różne ogony. Wiktor miałby taki od setera, brązowy, Staś, taki terriera, merdający”. No i usłyszałem, że idiotą to ja jestem. Ale on się nie zna na dowcipie, a ogonek otrutego szczura przemówił mu do rozsądku, bo zgodziliśmy się wreszcie, że warto po żarcie pojechać do dywizjonu. Orzeł i reszka rozstrzygnęła sprawę, kto.

Za chwilę Chevroleta zastawia za sobą czerwoną kurtynę kurzu w zachodzącym słońcu. Jedziemy wyschniętym potoczkiem przed lufami ósmiej. Strzelają. Huk zachwiał budą, jak drewnianym łabędziem na karuzeli, później drugi, trzeci, no i jeszcze raz — bum! Bateria od prawego. „Jedź dalej trochę, bo nam tby pourywa”. Ściemnia się. Pytam Czeremeta, czy zna drogę, bo ja nie. Na punkt jechałem nocą i spałem. Mówi, że zna, ale „tak trochę”. Jedziemy pustynią, pokrajana śladami w przedziwną siatkę, z góry musi to wyglądać jak kanały na Marsie. Te delikatne linie, — to ślad zbłądzonych kół, te wyraźne, szerokie — to

tory konwojów. Równoległe pary wyrwanej, wilgotnej ziemi, to krechy czołgów, co szły do natarcia szykiem rozwinęty. Messerschmidt, wbity motorem w kielich wygiętego śmigła, znaczny skraj lotniska. Krzaki małe po prawej stronie wyrwali i wiatr wywiał ładowisko, jak beton. Później jest JU 52. Ten dostał porządnie. Blachy powiewają makabrycznym pożegnanem. W jego cieniu przedwczoraj urzędował P. D. sąsiedniego dywizjonu. Teraz robimy delikatny skręt brzegiem lotniska i jesteśmy na miejscu. Wozy mającą pod siatkami, jak kupy nadebranych stogów siana. Obstępują znajomi, pytają i dyplomatycznie rozpyłują się w gratulacjach. Muszą złagodzić sprawę nieprzywiezionego żarcia. Józio kapitana rozwodzi się w pochwałach, nie daje nam dojść do słowa, łagodzi humory opowiadaniem o Tadzio: widział go w przejeździe do Capuzzo, doskonale się czuł... Sprytny, miły Józio, dopiero pod Gazalą bomba ze sztukasa skończyła tę głowę, tęgą, filozofa z Czerniakowskiej. Mówi jeszcze, a już ładuje Chevroleta beefami i biszkoptami, i gulaszem, i koniakiem z eterem. „Co za zwierzęta, żeby tak trunek marnować” brzmi w uszach pogardliwa o Włochach opinia Adama. Jeszcze dodaje kilka kompotów i mruga okiem, pewnie kasynowe.

„Cześć — przyslijcie jutro coś do żarcia. Po południu będzie pewnie już po wszystkim. Do widzenia”. Patrzę na nas serdecznie. Jedzenia przecież nie przysłali, bo nie mieli kim. Nie są tacy źli, wprost przeciwnie (kompot!). Przesadzałem stanowczo, mówiąc, że są dranie.

Jest ciemno zupełnie. Junkers wydał się olbrzymią górą, spostrzeżony z odległości kilku metrów zaledwie. Pamiętam, że zrobiliśmy kilka zakrętów, zanim zamajaczył wbit w niebo ogon Messerschmidta, a normalnie skręt był łagodny, jak ciągnięta Christiania w wielkanocnym śniegu. „Teraz powinny być takie śmieszne krzaczki, jak perliczka — mówi Czeremet — a później linia telefoniczna”.

„Linia telefoniczna” powtarzam ze zwątpieniem, ale tak sobie, dla siebie, bo on nie słyszy. Piłuje jedynek, zrezygnowany. Ciemno, choć w pysk daj — chodzi mi po głowie — i dlatego tak mówię? Że niby po ciemku można kogoś walnąć i nie będzie wiedział, kto. Głupie. Z prawej leży coś białego. Stajemy. Bańka na kranie rurociągu i deska z napisem — Water point — i druga niemiecka. Wody nie ma. Gorzej, że w ogóle nie pamiętam bańki, ni rurociągu.

Ruszamy, — po chwili z lewej kreska pionowa słupa telegraficznego może nawet jest jaśniejsza od nieba. Mamy szczęście, teraz czterysta metrów i w lewo szosą bardyjską można jechać z dwa kilometry, a później będzie rozbity grób szeika i nasz rowek z piaskami, a najważniejsze, to nasza gapa w polu minowym.

Ile miało być do szosy? Czterysta metrów. Jedziemy już milę albo więcej. Zbłądziliśmy na pewno. Spokojnie myśl wraca po wszystkich zakrętach, koryguje z mapą. Wczoraj za ledwie wszystko rysowałem. Tu musi być szosa! No i jest. Leży przed nami biała smuga wyjeżdżonego pyłu.

Wtaczamy się ostrożnie. Z nonszalancką pewnością skręca Czeremet w lewo. „Nie, Ki-tuś, to nie szosa”. Koła miękko idą po piasku.

Szlak, jakich wiele w pustyni. Zbłądzony. Jedziemy w lewo. Napewno trzeba w lewo. Czy aby napewno? Na zegarku 9.15. Ciemno, choć w pysk daj, wraca do głowy. Czuję, jakbym już dostał. Zbłądziliśmy. Zwiadowcy! Daleko za nami strzeliła w niebo rakietą i spada kaszką zielonych gwiazd. Wolno księżycową poświatę kładzie na pagórki. Bezsilna złość ustępuje. Widać ruiny na pierwszym planie. To grób szeika pewnie, oświetlony kolorem nadziei. Wracamy i znajdujemy ruiny, ale inną, i rowka z piaskami też nie było, ale w dole długim cieniem leży rów przeciwzołgowy, spokojne wspomnienie porannych wrażeń. Ziemia ospowata lejami, okopconą wybuchami trotylu, zarzucona białymi płamami rozstrzaskanymi kamieniami. Tu właśnie całą noc Sylwestrowa rwały się nasze 25-cio funtowe granaty. I te dudnienia z krądowników. Na drugiej stronie zasięki, zmasakrowane w płataninę drutów, i gapa, oznaczona białymi taśmami, zaprasza w pole minowe. Wysiadam, to warto zbadać. Gapa, jak normalna, gotów nawet jestem pomyśleć, że nasza. Kabel na zasiękach z prawej biegnie w pole minowe. Pamiętam, jak go łączyłem. Był szary z fioletowym, ale czy to jest fioleto. Ciemny i już. Idę przed wozem i dla kurażu mówię: „Uważaj na miny”, ale to przecież ja po to idę. Naprzeciw jest bunkier. Wygląda, jak ten, z którego ranili Tadzia. Strzelają z prawej. Wyje nad głową i rwie się gdzieś o milę z lewej. Napewno 25 funtów. Dla pewności pytam: „Stary, co to strzela?” — „Ja wiem? Może dwudziestka piątka”. Coś mi kierunek nie pasuje i no, i odległość też, no, ale może, przecież nie jestem generałem. Skąd mam wiedzieć, gdzie to porostawiali. Błysk znowu, drugi, trzeci, wiele. Gapa była chyba ta „nasza”. Jedziemy znowu, ale wolno. Można iść koło wozu. Coś leży? Zabit. Karabin, bagnetem wbity w ziemię. Ostatnia koleżeńka przysługa, żeby łatwiej znaleźli, żeby przynajmniej pogrzebali, a może jakąś pamiętkę z Alex, czy Kairu odesłał do domu, że pamiętał. Obok leży drugi i trzeci. Oni i nasi. Motor charczy pod górę. Ilu ich tu leży?

W głowie kiełkuje straszne przypuszczenie, że na swoim polu chyba kolegów by pogrzebali, że to chyba jest „no mans land”. Za schyłkiem pagórka widać mdłe, czerwone światło, może z milę od nas. „To Angliki — mówię — muszą psia kreć robić swoje tea. Ogień sciągają”. Czeremet jest odmiennego zdania. „I tak mamy szczęście, bo żeby nie palili, nie byłoby kogo o drogę zapytać. Za chwilę już podjeżdżamy. Stoją dwa czołgi. Rozdarta wieżyczka sterzy ostatnią skargą. Drugi rozpruty wzdłuż. Masywy na kołach palą się czerwono — pełgają ognikiem lampek grobowych. Śwąd kauczuku i inny straszny! Zapach owadnój ciemności, pcha się do gardła i ścisła. Skóra na czaszce marszczy się i chce się krzyknąć: „Uciekajmy, — to no mans land!”

Trzasnęły drzwiczki, wóz wyskoczył do przodu. Upiór myśli goni o kolegach, wziętych tu do niewoli. Bo tamci z czołgów nie są upiarami — popiół i guziki. Widziałem nieraz. Pędzimy jak wariaty po ciemku do blysków na horyzoncie. Teraz na tle tych blysków zrywają się postacie, czarne postacie z karabinami naokoło. Bagnety blyskiem znaczą przestrzeń domysłonych rąk i twarzy, których nie widać. Hurra! To czarni, Mazurysana. Siadają i wiozą do jakiegoś H. Q. gdzie na mapie pokazują to. od czego trzeba zacząć: miejsce postoju.

Małym, krętym jarkiem wśród porozwalanych wozów, jak kaczka chwiejąc się, Chevroleta przychodzi ostatkiem resorów do swoich. Bunkier jest wysprzątany przez Wiesława — stoi skrzynka stołu kolacji noworocznej. Wnoszone bańki z koniakiem zapowiadają toasty „szczęśliwego Nowego Roku”. Tylko mnie apetyt opuścił, entuzjazm minął. Słyszę, jak mówią: „Siadaj, Szczurek — wyglądasz jak trup, ty nie jesz”. Dziękuję i odchodzę do Adama, który na górze stoi przy wodzie z Majorem. Rozmawiają o koniach, że Farsa była doskonała, tylko że ją wykończył mokry tor (może zresztą suchy, nie pamiętam), a Picador, 19 latek i szedł na „potęgę skoku” i t. d., a później pytali, dlaczego tak długo mnie nie było? Ciemno, przecież nie można jechać prędko. Nie mogę przecież powiedzieć że błądziłem. Pamiętam, jak współczuli kolegom, których wczoraj zabrali, i jak dziwili się, że zwiadowcy, a wleźli sami Niemcom w łapy.

„Dobranoc! Pierwsza noc szczęśliwego roku. Czy będę jadł? Nie, dziękuję, jadłem w dyjonie. Idę spać. Dobrej nocy!” Nie lubię zapachu palonej gumy i lampki grobowe przypominały pierwsze zaduszki pełgającymi światłkami na ulicach i ogródkach Warszawy. Będę śnił o Nowym Szczęśliwym Roku w Warszawie.

Objaśnienia

Bunkier — schron także z kamieni, w zasadzie betonowy;
Gapa — przejście w polu minowym, oznaczone taśmami;
Perymetr — linia zasięków, przeszkód przeciwzołgowych, ostatnia linia swoja lub pierwsza nieprzyjaciela;
No mans land — pole między liniami;
Mazurysana — bardzo dobrze — w języku murzynów wschodniego pobraża Afryki;
P. D. — posterunek dowodzenia;
H. Q. — kwatera główna.

TADEUSZ SOWICKI

EMIGRANTKA

Zobaczyłem cię w piątek, w samym środku maja
Niewiarygodnie piękną, gdy sklep zegarmistrza
Upał budapeszteński tykaniem podwajał,
A wiatr po stu obłokach wiał rapsodią Liszta.

Emigrantko! — szalona, nieznana dziewczyno!
Gdy cię tłum obcych twarzy, obcych miast ogarnie,
Bez dokumentów idąc obok karabinów,
Błękitem ocz stumanisz chytrego żandarma.

Sam na sam pośród nocy z zieloną granicą
Ułóżysz plan ucieczki. W podartej sukience
Migniesz gęstym patrolom, które cię nie schwyca.
Rankiem zdziwisz się, widząc podrapane ręce.

Nikt tego nie spostrzeże i nie zdradzi światu
Dnia, w którym runiesz w miasto szaleństwem dziewczyny,
Straszną pięścią uderzysz we drzwi konsulatów —
Ja jeden będę wiedział, dlaczego to czynisz.

CZAS

Młodszej siostrze

Jeden nam czas jest wojny wzniosły
I razem teraz go liczymy.
Tyle, że jeszcze Ty na wiosny,
Ja na jesień już i zimy.

JAN JANUSZ

„Szczęść Boże” w Chandoline

Górnicy polscy w największej szwajcarskiej kopalni węgla

Gwar miejski wczesnego poranka wraz z promieniami słońca wdziera się do pokoju „Hotel du Cerf” w Sion. Sion jest stolicą Kantonu Valais. Do miasta widzie od Sierre szeroka droga, wysadzana pięknymi, wysokimi topolami. Te strzeliste topole, których pęto jest w całej dolinie Rodanu, są szczególnie typowe dla krajobrazu okolic Sionu. Między nimi otwiera się widok na panujące nad Sionem dwa malownicze wzgórza; na jednym z nich rozsiadły się mury obronne i ruiny starożytnego zamku. Tourbillon z końca XIII w.; tuż obok, na drugim wzgórzu, wznoszą się wysokie mury kościoła Valeria, ongiś również fortecy.

Schodząc w dół, do mostu nad Rodanem, zapytuję o kopalnię węgla Chandoline, cel mego przyjazdu do Sion.

Idę wzdłuż kanału i myślę, że przecież nie trudno będzie rozpoznać taki obiekt przemysłowy jak kopalnia, tym bardziej że po drugiej stronie rzeki nie widać żadnych zabudowań. Przypominają mi się kopalnie węgla kamiennego w naszych zagłębiach. Z daleka już widziało się wieżę szybową z charakterystycznymi kołami linowymi, z których biegnie lina do budynku, mieszczącego maszynę wyciągową.

Nic podobnego nie dostrzegam, zbliżając się do kopalni szwajcarskiego antarcytu w Chandoline. Szwajcarskie kopalnie węgla, uruchomione w czasie wojny, nie posiadają szybów, ale sztolnie, biegnące poziomo od podnóża góry, kryjącej w sobie czarny skarb. Można by je porównać z naszą sztolnią „Czartoryskich” w Olkuszu. Sztolnia — to poprostu tunel, przebita w głąb góry, od którego rozchodzą się chodniki w kierunkach, gdzie zalegają pokłady węgla.

Pokłady węgla w Szwajcarii są w ogóle ubogie i w normalnych czasach eksploatacja ich nie opłaca się. Wojna zamknęła jednak dowóz węgla zagranicznego, który Szwajcaria pozyskiwać może tylko w skąpych ilościach z Niemiec, w zamian za drogą rekompensatę w postaci wywozu swych naturalnych produktów. Jak dla samowystarczalności żywnościowej musiano chwycić się trudnych i kosztownych prac zdobywanie nowych terenów pod uprawę, podobnie sięgnięto też do eksploatacji wszystkich odkrytych złóż węglowych, mimo że przed wojną eksploatacja ta nie opłacała się. Największą użyteczność wśród tych złóż posiadają pokłady węgla brunatnego, ale te są w Szwajcarii nieliczne i niemal na wy-czerpaniu.

Pośród tych kopalń największą i najważniejszą jest kopalnia w Chandoline, gdyż ona jedna dostarcza ponad 50% ogólno-go wydobycia.

Szukam więc, idąc wzdłuż kanału, największej szwajcarskiej kopalni węgla i dziwię się, że nie widzę szybu, kominów i hałd. Wreszcie jednak wytłama się jakieś drewniane rusztowanie; kilkanaście skrzyżowanych belek i desek. Obok przy drodze, podchodzącej tu nieomal do podstawy zbocza górskiego, czerni się niewielki wał, może na metr wysoki. Węgiel? Nie. Czarny, lśniący łupek, który wprawdzie oko musi odróżnić od węgla i odrzucić przy sortowaniu. Jest więc hałda, musi być i kopalnia. Zbliżyłem się do zaproszonego czarnym pyłem placu z ustawionym na nim drewnianym rusztowaniem i widzę już czarny otwór tunelu, z którego właśnie wysuwa się mały wózek, naładowany węglem. Paru ludzi pracuje na placu. Głosem pełnym rozczerzania pytałem nieśmiało jakiegoś robotnika, który wydawał się najstarszym na placu:

— Czy tu kopalnia Chandoline?

— C'est ça. Ale to jest „chantier” boczny. Główna sztolnia znajduje się tam.

Spojrzałem we wskazanym kierunku i o jakieś 200 m. dojrzałem nieco więcej pokrzyżowanych słupów i desek i zarysy jakichś daszków. Za chwilę jestem na miejscu przy głównej sztolni. Trzecia sztolnia buduje się nieco dalej. To, co wydawało mi się rusztowaniem, — niemal kupą pozbitych i pokrzyżowanych desek i pali — jest sortownią.

Z lewej strony sztolni znajduje się mały budynek, zawierający pewnie nie więcej jak cztery metry kwadratowe powierzchni i wyglądający na budkę strażniczą. Jest to „biuro” ppor. Wacława R., komendanta internowanych żołnierzy polskich, pracujących w Chandoline, i zarazem kierownika technicznego kopalni. Spotykam go na placu w niebieskim usmolonym ubraniu roboczym i ledwie poznaję pod grubą warstwą rozmazanego na twarzy pyłu, który ucharakteryzował go na murzyną.

Żołnierze polscy stanowią w kopalni Chandoline podstawowy element robotniczy, dzięki któremu mogła ona rozwinąć swoją produkcję, zajmując wspomniane pierwsze miejsce wśród szwajcarskich kopalń węglowych. Pierwsza ich partia, w liczbie 26, przybyła do Chandoline we wrześniu 1940 r.

Kopalnia w Chandoline została uruchomiona w r. 1830. Intensywniej eksploatowano ją w latach 1915—1921, a więc w czasie przedwojny wojny światowej. Gdy po wojnie otworzyły się możliwości nieograniczonego importu węgla zagranicznego, kopalnia została zamknięta i prace nad jej ponownym uruchomieniem wznowiono w maju 1940 r.

Polacy zabrali się energicznie do pracy w uruchomieniu i eksploatacji kopalni. Objęto wszystkie obozy, werbując do pracy górników, pracujących w kopalniach francuskich, belgijskich i polskich. Gdy zwiedzałem kopalnię, pracowało w niej 300 robotników, w tym 80 Polaków, stanowiących najbardziej fachowy element w całej załodze. Od nich uczyła się rzemiosła górniczego większość robotników szwajcarskich. Gdy w całym okresie wojny światowej w latach 1915—1921 wydobyto w Chandoline 25 tysięcy tonn, w ciągu roku 1941, a więc w pierwszym roku eksploatacji po ponownym uruchomieniu sztolni, wyprodukowano 23,700 tonn, a okresie od stycznia do końca maja 1942 wydobyto 20.000 tonn.

„Odbudowa” kopalni odbywa się w Chandoline w bardzo trudnych warunkach. Węgiel wydobywa się przy pomocy wiertarek i młotków odbudowy, poruszanych sprężonym powietrzem, i ręcznie, kilofem. Po wywierceniu otworu i wystrzeleniu górniczym podstępniują i wybierają filary. Po wybraniu węgla filary zasypuje się „ramlonkiem”, czyli poprostu kamieniem, który jest do dyspozycji, gdyż około 50% robót przy odbudowie trzeba wykonywać w kamieniu.

Do miejsc pracy idzie się około 700 do 800 m. tunelem i upadowymi chodnikami, które biegną w prawo i w lewo i „najeżdżają” węgiel. Chodnik taki wysoki jest na około 1,8 m. i 2 m. szeroki. Bokiem tunelu i chodników płynie woda, która w kopalni gromadzi się obficie z górotworu i wpływa niekorzystnie na pracę, srodkiem biegną szyny do spychania wózków. Powietrze w kopalni jest przesycone wilgocią, wentylacja naturalna, nie wszędzie jednakowa i wystarczająca.

Praca odbywa się na trzy zmiany. Zmiana, która schodzi z „szychy”, myje się w niewielkiej ubikacji, zaopatrzonej w natryski. Wygląda to nędznie i prymitywnie. Później idą coś zjeść do kantyny i odespać ciężką pracę na dole.

Ppor. R., który w zorganizowanie pracy Polaków w kopalni i w jej uruchomienie włożył dużo pracy, oprowadza mnie po jej zabudowaniach, udziela wyjaśnień i z góry zastrzega się, że na warunki pracy i mieszkania należy patrzeć z dużą dozą wyrozumiałości. Są one ciężkie, ale niestety, nic nie można poradzić. — Dbam o to — mówi mi — abyśmy mogli wytrwać i pozostawić po sobie dobre imię.

Wchodzimy do murowanego piętrowego domu, gdzie w kilku salach zakwaterowanych jest około 60, i do drewnianego baraku, gdzie mieszka 20 robotników — żołnierzy polskich. Kobiety, opłacane przez żołnierzy, sprzątają brudną i czarną od pyłu węglowego podłogę, wygarniając śmiecie z pod pryz. Przeczą się piętrowe, prymitywne, zaśnane siennikami i kocami. Wszystko zda się lepić od pyłu węglowego, którym przepojone są sienniki, koce i wiszące mundury. Nic dziwnego, skoro baraki znajdują się tak blisko kopalni. Na niektórych pryzach śpią ludzie; to ci, co zeszli rano z nocnej zmiany. Niektórzy ostonili swoje łóżka szczelnymi kocami, broniąc zaimprowizowane sypialnie przed dostępem hałasu, kurzu i much. Człowiek może wytrzymać, jeśli musi.

Na pierwszym piętrze murowanego budynku napis na przywieszzonej na drzwiach tabliczce głosi: „Infirmerie”. Włada tu sanitariusz, kpr. K. Czym włada? Małym pokoiem, czarnym, jak wszystkie inne ubikacje, jakimiś flaszkami i słoikami, paczkami waty i gazy, namiastkami chirurgicznych narzędzi. Wszystko, co tu się dzieje, jest napewno niezgodne z zasadami aseptyki i higieny, które sanitariuszom wbiła się do głowy na kursach. Ale kpr. K. nie jest temu winien. Takie to już są warunki pracy i robotnika i sanitariusza. Opatruje on nie tylko Polaków, w razie wypadku przy pracy, lecz również i robotników szwajcarskich. Ciężiej okaleczonych i chorych przejmuje w swą opiekę lekarz szwajcarski w Sion.

— Czy już dużo jest wypadków przy pracy?

— Codziennie parę, ale przeważnie drobniejsze okaleczenia. Dziś w nocy zgłosiło się trzech Szwajcarów.

Kpr. K. oprócz zamiłowania do pracy sanitariusza nosi też w sobie kawałek duszy artystycznej. Z dumą pokazuje mi obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, misternie inkrustowany na kartonie drobnymi kawałeczkami kolorowego szkła, oraz wykonane własnoręcznie rysunki. Tego rodzaju zajęcia są dość powszechne we wszystkich obozach. Kto tylko ma jakiegokolwiek zdolności do rysunków, czy też jakąś umiejętność wyrobów artystycznych, dłużej w wolnych chwilach w papierze, w drzewie czy metalu. Daje to zadowolenie, skraca wlokący się czas internowania, a czasem przynosi nawet parę franków na własne wydatki, czy na pomoc dla rodziny.

Jestem już dostatecznie zorientowany w charakterze pracy robotników-żołnierzy w Chandoline, muszę jednak jeszcze zbadać ich wynagrodzenie za tę pracę i podpatrzeć nieco codzienne życie poza robotą.

Pokazałem ppor. R. artykuł, wydrukowany w jednym z dzienników szwajcarskich w następstwie wycieczki prasowej do kopalni w końcu maja 1942, w którym dosłownie napi-

sano: „Załoga składa się z około 300 ludzi. Wśród nich znajduje się około 200 Szwajcarów, niewykwalifikowanych górników, którzy muszą się dopiero nauczyć pracy. Obok nich zatrudnionych jest około 100 internowanych Polaków, którzy znają już rzemiosło górnicze, jako zawodowcy robotnicy kopalni, i reprezentują siły pełnowartościowe. Pracują oni ze zwykłym żołdem 2 fr., są jednak całkowicie zadowoleni i czują się szczęśliwymi, że w ten sposób czekać mogą na koniec wojny. Niemiecki znają bardzo słabo; trochę lepiej mówią po francusku. Żyją razem, we własnych barakach mieszkalnych i jadalnych, i tworzą ściśle trzymającą się małą kolonię. Nowoupięcenie szwajcarscy górnicy żyli się już całkowicie ze swoją pracą. Pracują oni za wynagrodzeniem fr. 1.30 do 1.80 za godzinę i sprawiają również wrażenie zadowolonych”.

Jadąc do Chandoline, zabrałem ze sobą wycinek z tym artykułem, uderzyła mnie bowiem zaznaczona rozpiętość płacy internowanych Polaków i robotników szwajcarskich, zwłaszcza przy podkreśleniu, że pierwsi stanowią element wyszkolony i pełnowartościowy, drudzy zaś dopiero uczą się nowego rzemiosła. Tę ogromną rozpiętość dziennikarz, piszący artykuł, uznał za rzecz niejako normalną, dodając, że Polacy przy zwykłym żołdzie 2 fr., „czują się szczęśliwymi, że w ten sposób czekać mogą na koniec wojny”. Tego rodzaju stwierdzenie jest niestety charakterystyczne i uchodzić może za typowy objaw stosunku przeciętnego Szwajcara do pracy internowanego żołnierza.

W poglądach przeciętnego Szwajcara internowanie żołnierzy polskich nie było aktem obowiązku, wynikającego z przepisów prawa międzynarodowego, którego finansowe konsekwencje uregulowane zostaną między zainteresowanymi państwami po wojnie, lecz aktem niejako o znaczeniu humanitarnym i charytatywnym. Uważano, że Szwajcaria umożliwi pewnej liczbie Polaków internowanych przetrwanie ciężkiego okresu wojennego, dając im wyżywienie, aczkolwiek sama znajduje się w ciężkiej sytuacji aprowizacyjnej. Przy przedłużającym się internowaniu ten humanitarny światopogląd począł podlegać modyfikacji. Opinia publiczna poczęła domagać się celowego i wydatnego zatrudnienia internowanych, a więc odpłacenia pracą za udzielone im schronienie i wyżywienie. To żądanie było oczywiście słuszne, uzasadnione. Praca i możliwość jej wykonywania leżała również w interesie internowanych. Polacy stanęli ochotczo do każdej, wyznaczonej im roboty, nie spierając się o jej wynagrodzenie. Ponieważ władze szwajcarskie oparły się żądaniom strony polskiej zawarcia umowy między państwowej, regulującej warunki pracy internowanych, wytorzyła się sytuacja jednostronnej ustalenia tych warunków przez stronę szwajcarską, przy czym wynagrodzenie (liczone nawet z kosztami wyżywienia i zakwaterowania internowanych) stało znacznie poniżej wynagrodzenia robotnika szwajcarskiego za tę samą pracę. Zacytowany ustęp artykułu wspomnianego dziennikarza szwajcarskiego o warunkach pracy polskich żołnierzy-robotników w Chandoline świadczy wymownie, jak dalece ten stan rzeczy uważano za „normalny”.

Niemniej jednak stwierdziłem, że rozpiętość wynagrodzenia górnika szwajcarskiego jest w Chandoline znacznie mniejsza od rozpiętości przy innych pracach, wykonywanych przez żołnierzy polskich. Jest ona mniejsza dlatego, że oprócz 2 fr. dziennego wynagrodzenia, przyznawanego górnikom polskim przez komisariat dla spraw internowania, kopalnia wypłaca jeszcze od siebie dodatkowe premie za przepracowane dniówki i wydajność. Kopalnia prowadzi też we własnym zakresie wyżywienie dla wszystkich swoich robotników, które jest lepsze od wyżywienia internowanych, wykonywujących „Mehranbau”. Koszt tego wyżywienia kalkuluje się na poziomie około 4 fr. dziennie, gdy wyżywienie koszarowe żołnierza, wykonywującego „Mehranbau”, nie przynosi 2 fr. Nie świadczy to oczywiście, że jedzenie jest lepsze o 100 procent, gdyż przedsięwzięcie prywatny kalkuluje według cen „cywilnych”, co go kosztuje drożej.

W kantynie polskiej ustawiono po obu stronach podłóżne stoły i ławy. Na jednej ścianie przybita jest półka, na niej aparat radiowy. Nie ma tu nic więcej i trudno zresztą byłoby wymagać większego komfortu. Brud lepi się, jak wszędzie. Gdy chcę usiąść na ławie, powstrzymują mnie i podkładają papier, aby nie zasmolili ubrania. Jest ich kilku w tej chwili nie pracujących i nie śpiących. Po chwili zjawia się jeszcze paru. Ubrani przeważnie w spodnie wojskowe i koszule z narzuconym swetrem. Koszule są czyste, twarze wymyte. W ogóle obijają jaskrawo od niepracujących w tym samym czasie Szwajcarów, których widziałem na placu i w baraku. Polskie baraki mieszkalne są też czystsze od szwajcarskich. Siedzą przy szkłankach wina, dwóch pisze listy, jeden skrobie coś na kawałku poszarpanego papieru.

— Cóż pan tak pisze? — Zapuszczam z boku zórawia i czytam: „La plume n'a rien à écrire, car les coeurs se comprennent” — O, — mówię, — widzę, że jest pan tu nastroszony romantycznie.

— Byłem, ale teraz wycofuję się z życia

familijnego w Szwajcarii. Nie chcę jeszcze raz siedzieć za kobiety.

Gromadzą się wokoło, żartują z niefortunnego amanta, interesują się — kto przyjechał, poco?

— Zobaczcie waszą pracę i wasze życie.

Zjawia się karafka wina. Rozmawiają ochotnie. Odpowiadają na zadawane pytania o pracę i o kopalnię, rzeczowo, ze znajomością rzeczy. Niemal wszyscy zmienili już kilkakrotnie obozy i miejsca pracy w Szwajcarii. Niektórzy mają już za sobą bogatą karierę tego cygańskiego życia. Kapral M.N. z trzeciego batalionu pułku pracował w Oberwinterthur u ogrodnika. Zwerbowano go do Chandoline, ale po trzech miesiącach odesłany został do obozu w Büren; stamtąd dostał się do pracy u gospodarza w Stead w kantonie Solurn, później do gospodarza w Betlach, wrócił do Büren, znów do Stead, w końcu 1941 r. przeniesiono go do Dattwil w kantonie Aargau, stąd wysłano go na kurs dla instruktorów świetlicowych w Niedersdorf.

— I nie zostałem pan działaczem świetlicowym? — przerwam.

— Broń Boże! Z wykształceniem kursem rozbieżnym w Dattwil druty kolczaste; wrócono mnie do Büren i po 3 dniach odesłano z powrotem do Chandoline. Między jednym a drugim — dodaje — były różne historie miłosne i nieporozumienia z żandarmerią, ale o tym niech pan nie pisze.

— I jest pan teraz zadowolony z pracy?

— Tak! Jestem górnikiem, pracowałem we Francji w kopalni w departamencie „Nord”. Można się przyzwyczaić i do tych warunków.

Inni zgromadzeni w kantynie też na ogół nie skarżą się. Zjawia się usmarowany węglem na dybła dryblas — Jerzy M., starszy strzelec z cenzusem, absolwent Szkoły Nauk Politycznych w Warszawie, b. urzędnik Ministerstwa Spraw Wojskowych.

— A coż pana tutaj przyniosło?

— Niech się pan zapyta, gdzie mnie nie nosiło. Byłem w OR, 13. V 1940 przeniesiony do 4 pułku II bat. 4 kom., 1 plut. 1 drużyna... w Szwajcarii w Churwalden trafiłem do artylerii. Byłem starszym strzelcem, teraz jestem bombardierem i jestem zadowolony.

— Co pan porabiał dotychczas w Szwajcarii?

— Byłem w Sachtachau, czekałem na robotę, dostałem ją w Churwalden przy budowie drogi, stamtąd przeniesiony do Zillis na uprawę roli, później dwa miesiące w St. Moritz, jako starszy oberkelner...

— Jako starszy?

— A no tak, bo ja byłem najstarszym oberkelnerem, karmiełem nie tylko konie, ale i gości... Z St. Moritz trafiłem do Martigny, do kopalni rudy żelaznej, stąd na 6 dni do obozu w Büren, z Büren odkomenderowano mnie do Aigle na kelnera, ale nie chciałem być więcej kelnerem i 12 marca zgłosiłem się do pracy w kopalni Chandoline, gdzie pan porucznik dał mi zajęcie na placu kopalnianym.

Widzę, że mam przed sobą jeszcze jeden okaz deklansującego się inteligenta.

— A czemuż nie starał się pan o przemieszenie do jakiegoś obozu uniwersyteckiego?

— Nie, nie — niech pan już, broń Boże, nie zabiega, aby mnie przenosić. Dobrze mi tu i chcę zostać.

Przechodzimy do innych tematów. Wypytuję o wojnę, o przyszłość. Muszę zaimprovizować mały referat, którego słuchają z ciekawością. Zjawiają się nowe karafki z winem i zbliża się godzina dwunasta.

— Chłopcy, tylko nie zaśnieć tego dziennika — odywa się jeden.

Rozmowa przerywa się, wszyscy gromadzą się pod radiem. W ramach audycji podawany jest właśnie reportaż z przybycia do Anglii żołnierzy polskich z Rosji. Audycja zaczyna się odegraniem marsza.

— Szkoda, że nie nasz marsz czwartego pułku, — odywa się jeden z żołnierzy.

Uderza mnie to mило, widzę bowiem, że mimo tego tułaczego życia po różnych obozach pracy w Szwajcarii, nie wygaśło w tych ludziach poczucie związku z oddziałem. W czasie internowania powstały w Szwajcarii dwa marsze i trochę wierszy wojskowych, które przyjęły się wśród żołnierzy. Piosenka i wiersz, poświęcone wspólnym przeżyciom wojennym — są zawsze mocnym kleiwem, którego nie należy lekceważyć.

Reportaż z Londynu przechodzi w wywiad ze świeżo przybyłym z Rosji kapralem... — Niech tylko nas puszczą, niech nam tylko pozwolą... — Mam nadzieję, mam nadzieję, panie kapralu — mówi z przekonaniem głos prowadzącego reportaż.

Żołnierze w Chandoline słuchają pilnie, pochyleni nad głośnikami.

— Coś się robi, coś się robi — byle prędeż!

Narazie jednak w Chandoline „robi się” obiad. Na stołach zjawiają się nakrycia, a przed nimi wyrasta las półlitrowych butelek z winem. Naocznie mogę stwierdzić, że pod względem nadania górnikom naszym powodzi się nie najgorzej.

Polskim górnikiem „Szczęść Boże” zeganą w Chandoline ten nowy przemysł szwajcarski i zatrudnionych w nim Polaków.

OPINIE ANGIELSKIE

U. N. R. R. A.

9 listopada 1943 r. przedstawiciele 44 krajów podpisali w Waszyngtonie swe przystąpienie do U. N. R. R. A. (United Nations Relief & Rehabilitation Administration).

„Relief and Rehabilitation“ — pomoc i odbudowa... Wydaje się, że to określenie pokrywa wszystko. Dlaczego więc aż tak wiele zastrzeżeń, wątpliwości, oporów, niedowierzania? Powodów było sporo. Przede wszystkim polityczne. Wewnętrzno-polityczne, — głównie w Ameryce, gdzie rozgrywały się przeciwko administracji Roosevelta toczono również i na tej płaszczyźnie — i zewnętrzno-polityczne. Na arenie zewnętrzno-politycznej grały, po pierwsze, konflikty sprzecznych interesów między państwami, które mają być odbiorcami „relief and rehabilitation“; po drugie, ten groźniejszy, bo bardziej subtelny i wymagający poważniejszych gwarancji sprawiedliwego załatwienia konflikt między tymi, którzy kontrolują rozdział, a tymi, którzy tej kontroli muszą się poddać.

Dla wyjaśnienia: pierwotna umowa U.N.R.R.A. została zawarta między przedstawicielami czterech mocarstw: Wielką Brytanią, U.S.A., Rosją, Chinami. Te mocarstwa przejęły na siebie obowiązek (— albo przywilej, jak wolicie! —) kontroli. Nie trzeba stawiać kropek nad „i“, aby czytelnik czuł, że to jest właśnie ten problem, który przyczynił się do wybuchu wojny, — tak czuły, że aż przeczułony na wszelkie implikacje polityczne, zrozumiał niebezpieczeństwo takiego układu.

Co przyniosła obecne obrady U.N.R.R.A., które zgromadziły w Waszyngtonie najważniejszych przedstawicieli państw sprzymierzonych (Polskę reprezentuje tam wice-premier i minister przemysłu, handlu i żeglugi, Kwapiński), wyjaśni najbliższa przyszłość.

Jak z nazwy samej wynika, U.N.R.R.A. zajmować się ma zarówno pomocą, jak i odbudową. Obawiam się jednak, że oba te problemy są dość mglisto postawione. Oficjalny przedstawiciel Ministerstwa Przemysłu, Handlu i Żeglugi nie umiał na konferencji, zwołanej specjalnie dla wyjaśnienia spraw związanych z U.N.R.R.A., sprawy tej przekonywująco wyjaśnić.

Rozumując, wydawałoby się, że „relief“ (pomoc) — to chyba akcja natychmiastowa, a „rehabilitation“ (odbudowa) — to akcja długofalowa. Jednak już samo zakreślenie granicy 18-to miesięcznej stawia długofalowość odbudowy pod znakiem zapytania. Kwestia zaś „reliefu“ będzie musiała przezwyciężyć pokusę analogii z akcją Hoovera. Charytatywna akcja dzisiaj nie wystarczy. Dewastacja sil żywotnych ludzi kontynentu europejskiego jest tak wielka, że doprowadzenie do równowagi samych tylko potrzeb żywnościowych wymaga na olbrzymią miarę zakrojonego i przemysłowego planu. Czy taki plan istnieje? A jeśli tak, to na czym się opiera? Czy na podstawie wskazań naukowych, które na ekran wyobraźni ludzkiej rzuciła potężnym snopem światła konferencja w Hot Springs? I na to pytanie nie otrzymałem odpowiedzi.

„T. V. A., Adventure in Planing“

Kontrowersja pomiędzy polskimi planistami a antyplanistami polega, jak większość sporów naszej londyńskiej emigracji, na nieporozumieniu. Nie ma przeciwników planowania. Są tylko przeciwnicy takiej a takiej skali planowania. Planowanie jest podstawą wszelkiej organizacji. Planować powinna gospodarka, przygotowująca konfektury na zimę, przemysłowiec, zakładający fabrykę, i architekt, budujący dom. To są rzeczy niesporne. Spór rozpoczyna się dopiero, gdy planowanie dotyczy pewnej zbiorowości, czy będzie nią gmina, miasto czy państwo. Konflikt rozbieżnych interesów wygrywa wówczas przeciw planowaniu najmniejsi rzeczowe, bo polityczne argumenty.

„Zapamiętały indywidualista, a w większej jeszcze mierze zapamiętały zwolennik monopolistycznego kapitalizmu, widząc swe interesy zagrożone przez planowanie dla dobra ogółu, napewno będą robili trudności. Tego samego można się spodziewać po przesadnie entuzjastycznych planistach“. „Planista, widząc wielkość i piękno swego planu, myśli o szczęściu, które będzie mógł rozdzielać. Naprawdę kuszą go jednak powaby władzy. On stworzył plan i dlatego pragnie go narzucić swym poddanym wraz ze szczęściem, które ten plan ze sobą niesie. Zapomina jednak o dwu rzeczach: o tym, że szczęście nie można narzucić, i o tym, że władza — nawet tak duchowiona i dobroczynna jak jego — deprawuje“. „Planista powinien odpowiedzieć pokusie, że swoboda pojedynczego człowieka jest podstawą demokracji i że musi stać nawet ponad pokusą sprawności czy natychmiastowego dobrobytu. Innymi słowy, powinien myśleć o ludziach swego okręgu nie jako o przedmiotach planowania, ale jako o współtwórcach planu“.

Powyższe cytaty z książki Juliana Huxleya p. t. „T. V. A. Adventure in Planing“ (Londyn 1943) najlepiej charakteryzują podejście Anglosasów do tego najbardziej ciernistego problemu, jakim jest stworzenie ustroju nowego, powojennego świata. Sprawność (efficiency) czy dobrobyt nie usprawiedliwiają planowania, jeśli godzi ono w wolność i swobodę jednostki. Do niedawna wydało się, że planowanie implikuje dyktaturę, że osiągnięcia „piatlektki“ czy „Vierjahresplanu“ wymagają rygorów bezwzględnej dyktatorskiej władzy. Historia T. V. A. (Tennessee Valley Authority) wykazała przez swą demokratyczność najczystszej próby, że można pogodzić indywidualizm z planowaniem. W ramach rooseveltofskiego „New Dealu“ zaprojektowano i wykonano regulację doliny rzeki Tennessee i jej elektryfikację przez stworzenie całego szeregu zapór wodnych. W ten sposób umożliwiono odrodzenie gospodarce jednej z najbardziej nędznych i zaniedbanych części Ameryki. Tennessee Valley rozciąga się na obszarze 42.000 mil kwadratowych (4/5 Anglii i Walii) i obejmuje prawie cały stan Tennessee oraz spore części sześciu innych, graniczących z Tennessee stanów, nie można więc zbyć wyników tego doświadczenia zarzutem, że jest ono na małą skalę. Mimo zastrzeżeń niepięgowanych odrębności autonomicznych poszczególnych stanów, mimo indywidualizmu gospodarczego, którego Ameryka jest rajem, dokonano po raz pierwszy na tak wielką skalę planowania, opartego nie o motyw zysku, ale o motyw ogólnej korzyści społecznej. I ku zdziwieniu wszystkich t. zw. realistów okazało się, że to „alt-ruiistyczne“ doświadczenie stało się bardzo opłacalną imprezą gospodarczą.

Planowanie T. V. A. nie ograniczyło się do regulacji rzeki Tennessee, ale objęło także te wszystkie sprawy, które pośrednio z tą regulacją się wiązały. Użyźnienie wyniszczonych erozją obszarów, doświadczenia rolnicze i naukowe, tworzenie warsztatów przemysłowych, dostosowanych do zmienionych warunków gospodarczych, wychowanie i rozrywki ludności i t. d., i t. d.

Książka Huxleya, pięknie wydana i zaopatrzona obficie w bardzo inteligentnie i pomysłowo dobrane fotografie, uzmysławia te osiągnięcia w sposób plastyczny, i przekonujący. Fakty, które zawiera, nie są nowością dla ekspertów, jednak przeciętny Anglik (a tym bardziej przeciętny Polak) miał dość metne o nich wyobrażenie. Niezbyt rzetelna propaganda polityczna reakcji — tak silnie tutaj i w Ameryce okopanej — spacyła obraz doświadczeń T. V. A., w krzywym zwierciadle plotki, ironizującej krytyki i nieuczciwej insynuacji.

Sprawa T. V. A. zyskała ostatnio nowe znaczenie. Pisząc o federacji nadnaujskiej, o której tak pełno obecnie w prasie w związku z ustępem austriackim deklaracji moskiewskiej, nazywają ją niektórzy D. V. A. (Danube Valley Authority). W związku z tym fakt, że przedmowa do książki Huxleya napisał ambasador amerykański Winant, ma specjalny posmak polityczny.

Dla Polaków pouczający jest fakt zainteresowania się oficjalnej propagandy sprawą tak niepolityczną jak T. V. A. Polska propaganda, szerząca niemal wyłącznie orężem polityki, — w której to sztuce mamy równie mało zdolności, jak doświadczenia, — powinna uważnie śledzić sposoby propagandy angielskiej w Ameryce, a amerykańskiej w Anglii. Ich najbardziej znamienne cechą jest to, że biegnąc niepolitycznymi torami, trafia mimo to prosto do tego głównego celu propagandy, jakim jest efekt polityczny. Nasza metoda propagandy, polityczna i bezpośrednia, zbyt często wylewa dziecko razem z kąpielą.

Gdy Niemcy zostaną pobite...

Jasnowidzowie są w modzie. Popularne gazety angielskie rezerwują — mimo zredukowanego formatu — poczesne miejsce dla rozmaitych przepowiedni i wróżbiarstw w rodzaju „What the stars fortell“, „Lyndee tells you...“ itd. Jest to charakterystyczne dla każdego okresu niepewności politycznej.

Opublikowana tymi dniami książka Vernona Bartletta p. t. „Tomorrow always comes“, jest także pewnego rodzaju wróżbiarstwem, choć w najlepszym stylu. Jest to fikcyjny pamiętnik autora z okresu niedalekiej (miejmy nadzieję) przyszłości, pomiędzy chwilą załamania się militarnej Niemiec a konferencją pokojową. „Jest to próba napisania historii, zanim się ona rozegra“ pisze Bartlett.

Vernon Bartlett jest niezależnym postem do parlamentu i korespondentem politycznym „News Chronicle“. Z zapatrywał — lewy liberal, z zainteresowań — pisarz polityczny. Temat jego książki nie jest łatwy. Niebezpieczeństwo przeszarżowania jest poważne, a pokusa sensacyjności nie łatwa do ominięcia. Bartlett zrezygnował z obu trudności. Książka jest pisana z temperamentem i interesującą, ale bez przesady. Chyba, że przesadą ktoś nazwie bezgraniczny pesymizm.

Pamiętnik rozpoczyna się 30 czerwca niesprecyzowanego roku, a zamyka się 15 listopada. W ciągu tych 4 i pół miesięcy jesteśmy świadkami załamania się frontu niemieckiego w południowej Austrii, zajęcia całych Niemiec i rozpoczęcia konferencji pokojowej. Czystej akcji jest stosunkowo niewiele. W sam raz, aby uzasadnić konsekwencje wydarzeń. Po nieudanej ucieczce i zabiciu Hitlera cała machina rządowa Niemiec załamuje się. Wprawdzie Ribbentrop wraz z paru generałami próbują stworzyć gdzieś w górach Harzu nowy rząd i wysuwają pod adresem aliantów propozycję oficjalnej kapitulacji, jednak Surzymierzeni je ignorują i w końcu Ribbentrop, Goebbels, i cała reszta zbrodniarzy niemieckich znajdują się za kratkami. Jedyny Himmler ucieka do Argentyny, która odmawia wydania go Anglii i Amerykanie zajmują Europę na zachód od Odry, wojska rosyjskie podchodzą również aż po Odrę. Polska znajduje się zatem już nie tylko w sferze wpływów, ale pod okupacją wojskową Rosji. O Polsce zresztą bardzo mało w książce. Autor wyraźnie nie miał tu wiele do powiedzenia, lub też bał się zaangażować w kontrowersję. Przypisał się zresztą w artykule, zamieszczonym w „News Chronicle“, że musiał wykreślić całą dużą część, dotyczącą Polski, bo oparta była ona na opisie wjazdu generała Sikorskiego do Warszawy. Gdy kończył ten rozdział, nadeszła wiadomość o tragicznym zgonie Sikorskiego. Zmieniła przez to sytuacja polityczna wymagałaby nowego opracowania tematu, na które brak mu było czasu lub przygotowania. Przykre jest również skojarzenie imienia Polski z epidemią „nfluency polskiej“, która wybuchła w Europie.

Pesymizm książki wyraża się w zupełnym braku zgody i zgodnego planu odbudowy. Już takie sprawy, jak redukcja Niemców, pomoc („relief“) i t. d. wywołują rozdziewki i spory. Konferencja pokojowa odbywająca się w atmosferze wzajemnej podejrzliwości Anglików, Amerykanów, Rosjan i Francuzów, wykazuje tak ludzkie podobieństwo z atmosferą targów wersalskich, że nie wroży nic dobrego na przyszłość. Ta nuta pesymistyczna zamyka się książką Bartletta.

Znaczenie jej nie leży jednak ani w prognozie, ani w pesymizmie. Jako motto książki wybrał autor zdanie Philipa Gribble: „Today is yesterday's future and tomorrow's history“. Jest to ostrzeżenie. Naszą dzisiejszą polityką urabiamy rzeczywistość powojenną. W interesie jutra nie stać nas dzisiaj na lekkomyślną krótkowzroczność.

Sprawa muzyczna w Londynie

Learie Constantine, zawodowy angielski gracz cricke-owy, pochodzi z Indii Wschodnich i jest murrinem. Parę tygodni temu przyjechał na mecz do Londynu i zajął do Imperial Hotelu przy Russell Square, gdzie miał zamówione pokoje. Natychmiast po przybyciu został wezwany do dyrektora hotelu, który oświadczył mu, że ze względu na przesady rasowe gości prosi go o poszukanie innego mieszkania.

Fala oburzenia przeszła przez całą Anglię.

Osiem interpelacji złożyło w parlamencie posłowie konserwatywni, liberalni i labouryści. Cała prasa, od brukowego „Daily Mirror“ aż po arystokratycznego „Timesa“ poświęciła jej notatki, komentarze i artykuły. B. B. C. zaprosiło Constantine'a do wygłoszenia pogadanki p. t.: „The Story of my People“.

Epizod ten ma większe znaczenie i głębszą naukę, niżby jego waga na to zezwalała. Anglii — tak jak murzyni — bywają, zarówno źli jak i dobrzy. Fakt, że są Anglikami „nie daje im monopolu na wszystkie cnoty“. Ale jedno nierozsądne wystąpienie dyrektora hotelu spotka się z dziesiątkami odważnych i zdecydowanych głosów protestu; krzywdą, którą pochwały jakimś odłam opinii, zostanie potępiona przez innych. Wolność słowa i wolność myśli nie są skrepowane żadnym tabu, żadną presją rządu, ani — tą groźniejszą, bo działającą zza ploty — presją t. zw. opinii publicznej.

Na marginesie sprawy Constantine'a warto zarejestrować list J. F. Horrabin'a, który ukazał się w „The Listener“, piśmie, wydawanym przez B. B. C. Cytuje on anegdotę, jaką usłyszał od Szmula Zygielboima na parę dni przed jego tragiczną śmiercią. Zygielboim podczas swego pobytu w Ameryce zapytał raz pewnego inteligentnego murzyna w Harlem, co właściwie murzyni sądzą o białych. Murzyn odpowiedział: „Z początku wszyscy ludzie byli jednego koloru. I przyszedł dzień, gdy Bóg rzekł do Kaina: „Co zrobiłeś z twoim bratem?“ I Kain zbiegł ze strachu“.

Lord Beaverbrook

Powrót Lorda Beaverbrooka do rządu na stanowisko Lorda Tajnej Pieczęci zbiegł się w czasie mniej więcej z ukazaniem się książki Davida Farrera p. t. „The Sky's the Limit“. Podtytuł książki brzmi: „Lord Beaverbrook w Ministerstwie Produkcji Samolotów“. Oba tytuły wiernie oddają treść książki.

Gdy 14 maja 1940 r. Lord Beaverbrook przyjął ofiarowane sobie stanowisko w rządzie Churchilla, zdawał sobie sprawę z tego, że podejmuje się najtrudniejszego i najbardziej odpowiedzialnego zadania swego życia. Sytuacja była nad wyraz krytyczna. Anglia, która weszła do wojny niemal ze nieuzbrojona, traciła w Belgii i we Francji resztę swych samolotów. Ale, co gorsza, potężny przemysł Anglii tkwił wciąż jeszcze głęboko w korzeniach i opory stanowiły, zdawało się, szkopy nie do przebycia. „Job“ był niezwykły, ale Beaverbrook był także niezwykłym człowiekiem. Syn ubożego pastora z Kanady, a obecnie właściciel „Daily Expressu“, „Sunday Expressu“ i „Evening Standard“, był przez dwadzieścia lat groźną i niebezpieczną postacią w świecie dziennikarskim, a „wolnym strzelcem“ w polityce, gdzie udzielał paręla tylko według własnego „widzimisie“. Nie stwarzało mu to — rzecz jasna — przykrości. Ale Beaverbrook nie bał się wrógów, a stanowisko Ministra Produkcji Samolotów wymagało człowieka, nie liczącego się nikim i z niczym, idącego „po trupach“ i „głową przez mur“ do jednego celu, k'órym było zaopatrzenie R. A. F. w samoloty.

Współczesna karykatura Lowa przedstawiają Beaverbrooka jako herolda zbrojów, zaczynającego węgłem wraź ze swymi kamratami z Mo.A.P. (Ministry of Aircraft Production), aby napisać i obrabować godnych i dostojnych urzędników innych ministerstw zaopatrzenia wojennego. Ale też czcigodny lord poczynił sobie dość bezceremonialnie. Reklamował surowce, maszyny i budynki fabryczne, przeznaczone dla innych — w danej chwili mniej ważnych — celów. Zwolennik wolnej przedsiębiorczości prywatnej, bez pardonu i bez skrupułów wyzyskiwał ustawę wojenną, dającą mu daleko idące prawa ingerencji w wewnętrzne sprawy fabryk, i posuwał się znacznie dalej, niż czyni to dzisiejszy minister of Aircraft Production — socjalista Sir Safford Cripps. Usuwaj niedo-żętnych dyrektorów, przejmować na rzecz państwa źle prowadzone firmy czy fabryki.

Nawet w swych stosunkach ze sztabem lotniczym był niekonwencjonalny aż do brutalności. Gdy chodziło o samoloty lub ich uzbrojenie, nie liczył się z ludźmi nawet najwyżej postawionymi. Nasępująca historia najlepiej scharakteryzuje zarówno Beaverbrooka, jak jego metody. Zajął raz opinię pewnego wysokiego oficera R. A. F. — łącznika w M. o. A. P. — w sprawie zaopatrzenia myśliwców w działą 20 mm. Działą to nie było nowością, ale zachodziło pytanie, czy nie powinno ono zastąpić dotychczas używanych karabinów maszynowych 0.303. Oficer był zdania, że nie, i napisał odpowiedni raport. Beaverbrook był przekonany, że tak, i ponad głową owego oficera zwrócił się do podwładnego mu urzędnika o opinie. Urzędnik zaraportował osobiście Beaverbrookowi. W dwa dni później otrzymał ostre upomnienie od swego przełożonego, gdyż — jak pisał — sztab powietrzny, a nie minister decyduje o uzbrojeniu samolotów. Na to Beaverbrook oświadczył, że rezygnuje z usług owego oficera M. o. R. P. Sztab oraz marszałkowie powietrzni pośpieszyli oficerowi z pomocą. Jeden z marszałków powiedział wprost Beaverbrookowi, że postąpił niewłaściwie, opierając się w sprawach wojskowych na zdaniu urzędnika cywilnego. Mimo to Beaverbrook nie ustąpił, a praktyka wykazała, że miał rację.

Zarzucono później Beaverbrookowi, że jego nieustępliwość i niepomysłowość temperamentu uniemożliwiała wszelką współpracę, ów „team-work“, który dla Anglii jest wyrazem idealnej organizacji. Nie należy jednak zapomnieć, że zadaniem Beaverbrooka było dostarczenie doraznie największej ilości samolotów, a nie organizacja racjonalnej wytwórczości. Bez samolotów, a ściślej biorąc, bez myśliwców Anglia nie byłaby przetrwała 1940-go roku. I w tym leży niezapomniana zasługa Lorda Beaverbrooka.

Tomasz Mann dziś i przed trzydziestu laty

Tomasz Mann wydał niedawno nową książkę p. t. „Order of the Day“. Jest to zbiór artykułów, przemówień i odczytów, w których występuje przeciw hitleryzmowi. Tomasz Mann jest niewątpliwie szczerym demokratą. Uchodzi za głowę duchową — jeśli wolno mi użyć tej śmiałej metafory — t. zw. „dobrych Niemców“. Wprawdzie jego ciężki styl nie podoba się zbyt Anglikom, ale dla ludzi z kontynentu jest on jedną z najwspanialszych postaci literatury niemieckiej, która tak bujnie rozkwitła po wojnie ubiegłej i która wydawała się nam zwiastunem nowego, prawdziwie europejskiego prądu w umysłowości Niemiec. W egzaltacji powojennej, gdy upałam się się angielizmem pacyfizmem z nieprawdziwego zdarzenia i gdy wierzyliśmy święcie w nową erę „dobrego człowieka“ i „wiecznego pokoju“, zbyt chętnie wybaczałyśmy minione grzechy i zapominałyśmy o „poślizgnięciach moralnych“.

Recenzent „Times Literary Supplement“ tak pisze o najnowszej książce Manna: „Nawet w 1918 r., jak nam to Herr Mann wciąż przypomina, kulturą była dla niego muzyka, metafizyka, psychologia, pesymistyczna etyka i indywidualistyczny idealizm, ale nie były kulturą sprawy polityczne“. To zdanie spowiadało wybitnego polityka i dyplomata oraz pisarza hiszpańskiego Luis Araquistaina do napisania do redakcji „Timesa“ listu, w którym przypomina inną książkę Manna, wydaną w 1916 r. w Berlinie, a zawierającą 3 studia: „Friedrich und die grosse Koalition“, „Gedanken im Kriege“ i „An die Redaktion des Svenska Dagbladet, Stockholm“. Studia powyższe włączył Mann po wojnie do dużego tomu pism p. t. „Betrachtungen eines Unpolitischen“.

Cytując Tomasza Manna za p. Araquistaina. „Serca poetów stoją w plomieniach, gdyż teraz jest wojna!... nie lepszego, piękniejszego, szczęśliwszego nie mogło się światu przydarzyć“. „Niemcy wyzwoliły się pod wojskową dyktaturą“. „Wojna! Oczyszczająca i wyzwalająca wielkie nadzieje“. „Zwycięstwo Niemiec będzie, paradoksem, nie! cudem. Zwycięstwem duszy nad liczbami. Rzeczą bez precedensu!“. „Demokracja nie jest sprzeczna z militarystką. Niemiecki militarysta jest jedynym i przykładowym, gdyż ma najlepszą armię i — jak to obserwujemy — najlepszą flotę“. „Dusza niemiecka patrzy zbyt głęboko, aby mogła widzieć w cywilizacji jakąś wielką ideę... sprzeciwia się pacyfistycznym ideałom cywilizacji, bo pokój jest tylko środkiem przekształtu społecznego. Jest wojownicza, gdyż jest moralna, nie zaś dla tego, że jest próżna, że pożąda sławy czy jest imperialistyczna...“. „Czyż nie widzimy, że wojna degradowa i upadła lud, które uchodzą za cywilizowane? Gdzie jest cnota Anglii? Anglia kłamie, a my — a nie ona — musimy się za nią rumienić“. Pisząc o zniszczeniu katedry w Reims, mówi: „Cywilizacja! Ale przede wszystkim, Messieurs, katedra w Reims nie ma nic wspólnego z cywilizacją. Jest pomnikiem kultury chrześcijańskiej, wykutym fanatyzmu i przesądów...“. „Chcą nas uszczęśliwić. Chcą nas obdarować błogosławieństwem rozbrojenia i demokracji, a gdy się operujemy, chcą z nas zrobić ludzi — siłą. Nie wiadomo czy należy to nazywać hipokryzją, czy nieokreślaną głupotą?“. W końcu owe prorocze słowa o tych, „którzy poważnie sądzą, że Niemcy staną się rewolucyjnymi i demokratycznymi przez klęskę“. Nie widzą, że po takiej klęsce Europa nie miałaby pokoju i spokoju od militarystki niemieckiej aż do czasu, gdy Niemcy staną znowu tam, gdzie byli przed obecną wojną... Te słowa i ta myśl wydają się Mannowi tak ważne, że powtarza je w innym miejscu: „Jeśli Niemcy padną w walce, lud niemiecki nie spocznie, dopóki nie powróci do tego samego stanu, w którym jest dzisiaj, i w tym nieszczęsnym wypadku tragedia i cierpienia Europy nie będą miały końca jeszcze przez długie lata. Do piero wybicie się i zadowolenie Niemiec będzie pokojem“.

Jest rzeczą ciekawą i godną zanotowania, że pierwszym, który napisał o Mannie — wówczas jeszcze pomniejszego pisarza i publicys-ty niemieckiego — był Romfain Rolland w książce „Au dessus de la mêlée“.

Książka o Anglikach

Pragnę zwrócić uwagę czytelników „W Drodze“ na książkę D. W. Brogana p. t. „The English People“ (Hamish Hamilton, 1943). Zawiera ona takie bogactwo szczegółów i niechętnie wnikiwej analizy, że jest nieocenionym źródłem pomocy dla każdego, kto naprawdę pragnie poznać Anglików. Książka została napisana dla Amerykanów i była wydana pierwotnie w Stanach Zjednoczonych.

Złożoność charakteru angielskiego, jego dwiactwa i odrębność wyrażają się w takim mnóstwie komentarzy historycznych, politycznych i psychologicznych, że czasami trudno przebrnąć przez gąszcz faktów, adnotacji i odsyłaczy. Nie jest to książka łatwa, mimo że pełno w niej bardzo subtelnych humoru i błyskotliwych uwag. Nie jest to książka wyzerpująca temat. Nie znajdzie w niej czytelnik np. niczego o sztuce, o prasie, o życiu rodzinnym, o życiu plebejowym, o przemysle i t. p., ale autor to, o czym pisze, potraktował wyzerpująco. W szczególności omawia angielski system wychowawczy, ustrój angielskiej demokracji (z tego ustępu czerpałem wiele wiadomości, gdy pisałem na tym miejscu parę tygodni temu o parlamencie angielskim), pisze o religii w Anglii, o Imperium i o Indiach, o ustosunkowaniu się Anglików do problemu wojny (bardzo ciekawe jest wyłumaczenie różnicy w nastawieniu Anglików wobec armii i wobec floty).

Trudno tę książkę streścić, ale zachęcam tych, którzy znają język angielski i którzy potrafią odnaleźć jakoś jej egzemplarz, do jej przeczytania.

Dominik Szczerbiec

Paczki do Rosji i innych krajów alianckich, SZWAJCARSKI DOM WYSŁĄKOWY I ADRESOWY

Tel-Aviv

ul. Hess 1.

Jerozolima

ul. Ben Jehuda 2.

Rechowot

Keibel — Księgarnia nap.

Anglo-Palestynskiego Banku.

Haifa

Hechaluc 59.

„EGO“

ODDZIAŁY WE WSZYSTKICH KRAJACH ALIANKICH.

Z PRASY OBCEJ

Premiera palestyńska

VII symfonii Dymitra Szostakowicza

O rolę Francji w przyszłym świecie

Tematowi temu poświęca artykuł londyński „The Economist” w numerze z dn. 13 listopada b.r. Wszyscy mówcy algierskiego Assemblée Consultative — pisze autor artykułu — dali wyraz swemu oburzeniu, iż Francja nie została zaproszona do londyńskiej Komisji trzech mocarstw, mającej się zajmować sprawami europejskimi. Oburzenie to, pisze autor angielski, jest słuszne, a wyłączenie Francji jest ciężkim błędem:

„Francja nie jest tak potężnym mocarstwem jak Rosja, czy Ameryka, czy Brytyjska Wspólnota Narodów. Ale Francja była, będzie i pod wielką względami jest nawet dzisiaj potężniejszym czynnikiem w sprawach polityki światowej, niż jakikolwiek inny wśród Narodów Zjednoczonych z wyjątkiem tych trzech mocarstw. Klęska 1940 r. być może usunęła Francję z kategorii czołowej, ale w żadnej mierze nie pozbawiła sensu żądań Francji, aby być obecną wszędzie tam, gdzie powołany jest więcej państw niż te trzy mocarstwa. Jeszcze mniej wpłynęła ona na ten fakt, iż Francja jest dla Europy czynnikiem życiowej doniosłości. Jeżeli trójczłonowa europejska Komisja Doradcza jest planowana jako instytucja stała, z głównym organem, poprzez który będą podejmowane decyzje w sprawach europejskich, albo też jeżeli siła faktu dopuści się do tego, to wyłączenie Francji jest nie tylko upokorzeniem dla narodu francuskiego, ale także i ciężkim błędem brytyjskim. Jeżeli Wielka Brytania ma odgrywać w Europie rolę konstruktywną, potrzebuje ona francuskiej współpracy w każdym stadium. Interesy obu narodów zbiegają się... oba uciierałyby wskutek podziału Europy na przykre sfery wpływów z Niemcami, któreby wyzyskiwały wahania równowagi. Obie one, bardziej niż jakiegokolwiek inne mocarstwa potrzebują, aby położono koniec wyłączeniu Europy z umysłów ludzkich.”

„Po ostatniej wojnie Francja była głównym architektem Europy. Francuzcy między innymi byli krytykowanymi za nieustanną politykę bezpieczeństwa po r. 1919. Mówiono, że ich próby zorganizowania mniejszych państw Europy poprzez Ententy Małą i Bałkańską, albo też poprzez dwustronne traktaty z Francją, dostarczały Niemcom wymówki „otoczenia” i podminowały Ligę. Krytyka ta jest niesłuszna. Francuskie próby podparcia Ligi upadły, ponieważ ogólny system bezpieczeństwa był niedostateczny...”

„Jest rzeczą prawdopodobną, że obecnie wielkie mocarstwa podpiszą pewne ustawy ramowe bezpieczeństwa. Istnieje dziś niebezpieczeństwo, iż mniejsze państwa mogłyby powziąć obawy i dojść do przekonania, iż ich żądania, prawa i odpowiedzialności nie zostały wzięte pod uwagę. Europa nie jest jakimś rodzajem pustki czy też ziemią niczyją, terenem eksperymentów we wszystkim, cokolwiek zadecyduje trzy w zupełności lub też głównie pozaeuropejskie państwa... Zasięganie porady Francji, gdziekolwiek to tylko okaże się rzeczą możliwą, byłoby nie tylko najużyteczniejszym i sprawiedliwym uznaniem praw Francji, ale także i gestem, wzбудzającym zaufanie wszystkich narodów Europy. Francja może być oredownikiem wspólnoty europejskiej w sposób dużo bardziej bezpośredni i skuteczny niż czy to Wielka Brytania, czy Rosja. Nie jest ona tak przytłaczająco silna, aby inne narody mogły się obawiać jej potęgi wojskowej. Nie będą się też obawiały, że zostaną zrujnowane drogą nacisku jej współzawodnicwa gospodarczego, czego nie można powiedzieć ani o Rosji, ani o demokracjach Zachodu.”

Rola Francji w świecie powojennym — kontynuuje autor — w dużej mierze zależeć będzie od tego, jaki będzie jej ustrój:

„W sferze politycznej nie jest jeszcze rzeczą możliwą powiedzieć, która z dwóch tendencji — czy tendencja de Gaulle’a w kierunku autokratycznej Czwartej Republiki, czy też tendencja w kierunku reformowania, ale w zasadzie przywrócenia Trzeciej Republiki zwycięży. Po reakcjach przywódców partyjnych i grup można widzieć, jak silne jest przywiązanie Francji do tradycji wolności politycznej. Ale ton, z jakim mówi o Trzeciej Republice gen. de Gaulle, który zdaje się negować ją jako ancien régime, świadczy o tym, że poglądy jego i Komitetu na przywrócenie tradycji republikańskiej trzeba rozumieć w sensie bardzo dwuznacznym.”

„Przyszła wielkość Francji tylko w części zależy od gotowości ze strony Wielkich Mocarstw do uznania jej pozycji mocarstwowej. W dużo jeszcze większej mierze zależy ona od tego, jakiego rodzaju Francja wynurzy się z wojny. Współpraca z Francją i nacisk na to, aby głos Francji słuchano, gdy decydują się losy Europy, należy do elementarnych interesów brytyjskich, ale żadne poparcie i współpraca brytyjska nie wzmacniają stanowiska Francji, jeśli jej ustrój powojenny będzie niewczesnym odtworzeniem tych systemów politycznych, dla których zniszczenia prowadzono wojnę.”

Za kulisami polityki sowieckiej

W wydawanym przez Kenneth’a de Courcy piśmie „Review of World Affairs” z dn. 31 sierpnia b.r. znajdujemy artykuł p. t. „Behind the Scenes in Russia”, oparty na wynikach spostrzeżeń amerykańskich obserwatorów.

Autor stwierdza, że poza widocznym z zewnątrz wzrostem wpływów Czerwonej Armii można zaobserwować nową linię ogólnej polityki Sowietów. Poza tym Stalin w danej chwili nie jest wcale dyktatorem w tym znaczeniu, aby mógł narzucać swą nieograniczoną wolę rządowi sowieckiemu. Rząd ten składa się z dwóch grup, które wyznają odmienne poglądy polityczne i całkiem stanowczo z poglądami tymi występują na zewnątrz.

Podział ten zarysował się wyraźnie mniej więcej pół roku temu. W skład pierwszej silniejszej grupy wchodzi Zdanow, Beria, Stomoniakow, Wyszynski i Dekanosow. Reprezentują oni t. zw. „nową szkołę myśli” w zakresie polityki europejskiej”. Druga, znacznie słabsza grupa, ma na czele Kaganowicza i stoi na dawniejszym stanowisku, pokrywającym się mniej więcej z linią polityki Litwinowa.

Interesującym jest fakt zbliżenia między Berią i Zdanowem. Zdanow jest jednym z najdawniejszych towarzyszy Stalina, i być może, jego następcą. Podobnie, jak Dekanosow, Zdanow był zdecydowanym zwolennikiem polityki zagranicznej z r. 1939. W tym czasie jednak Beria stał z dala od tego. Beria jest od dawna jedną z najważniejszych podpór Stalina. Kieruje on całym NKWD oraz wszystkimi organizacjami afiliowanymi i po-

mocniczymi Jego poparcie daje więc Zdanowowi wielką pozycję i wpływ.

Zdanow i Dekanosow należą obecnie do najsilniejszych czynników politycznych w Moskwie. Wyszynski jest najważniejszą osobistością w Komisariacie Spraw Zagranicznych i przez to dodaje jeszcze ogromnego prestiżu tej wewnętrznej grupie rządowej.

Zdanow i jego przyjaciele mają być w znacznej mierze sprawcami odwołania Majskiego i Litwinowa. Uważają oni, że bardziej będzie służyło interesom rosyjskim wyznaczenie na te stanowiska zwykłych funkcjonariuszy. Są oni zdania, iż na przyszłość, nie jest rzeczą pożądaną posiadanie na placówkach ambasadorów w Londynie i w Waszyngtonie ludzi o tak wielkim prestiżu, jakim Majski i Litwinow cieszyli się niewątpliwie w wielu kołach.

„Grupa (Zdanowa) — pisze autor artykułu — uważa, że pozycja Rosji jest taka, iż można i należy prowadzić bardziej zdecydowaną politykę w dziedzinie strategii i polityki zagranicznej. Wierzy ona, że bez względu na to, cokolwiek się stanie, Związek Sowiecki dzierży atuty, które — jeśli będzie się nimi odpowiednio grało — dadzą korzystne wyniki. Ma ona najjaśniejszą koncepcję tego, co powinno być zrobione w zmieniających się warunkach, jakie wytworzyć może najbliższa faza wojny.”

Drugi do Tokio

Sukcesy Sprzymierzonych na Nowej Gwinei i Salomonach nasunęły autorowi artykułu wstępny londyńskiego „The Daily Telegraph” z dn. 9 listopada b. r. następujące uwagi (pisane nb. jeszcze przed lądowaniem Amerykan na Wyspach Gilberta):

„Znaczenie tych operacji na wyspach polega przede wszystkim na skutkach, jakie wywarły one na głównym czynnikiem na Dalekim Wschodzie — na japońskiej potęgze morskiej i powietrznej. Od pewnego czasu stale się ona zmniejsza na froncie Południowego Pacyfiku. Zmniejszanie to znaczne jest coraz większymi postępami Sprzymierzonych na Nowej Gwinei i poprzez Salomonów ku pozycjom kluczowym. Według szacunku kierownika Departamentu Marynarki Stanów Zjednoczonych połowa pierwotnego tonażu handlowego Japonii została już zniszczona, a siła floty w krążownikach i lotniskowcach została sprowadzona do niewielkich proporcji. Cyfry strat amerykańskich są bardzo korzystne w stosunku do ilości lotniskowców, jakie Japończycy stracili na Południowym Pacyfiku.

Żaden z narodów sprzymierzonych nie powinien zapominać, że do dziś dnia Tokio znajduje się w odległości tysięcy mil od najbardziej wysuniętej pozycji ofensywnej. Istnieje wiele frontów: rozrzucone po olbrzymiej przestrzeni pola bitew w Chinach, Południowy Pacyfik, Południowo-wschodnia Azja i centralne partie Oceanu, na których Japonia zadawała swoje pierwsze uderzenie i na których obecnie skoncentrowana jest główna siła floty Stanów Zjednoczonych. W każdej chwili z jakiegoś nowego odcinka tych olbrzymich przestrzeni może się rozpocząć ofensywa. Mimo że sprzymierzeni mają pewność, że gdy atakują w powietrzu i na morzu, przewaga liczebna jest po ich stronie, przewaga — jeśli idzie o linie komunikacyjne i pozycje defensywne — jest olbrzymia po stronie japońskiej. Dlatego wojna może być jeszcze długa i kosztowna, ale proces kruszenia musi nieuchronnie przynieść moment i miejsce, z którego siły sprzymierzone uderzą w samo serce Japonii.”

Sytuacja w Bułgarii

Londyński „The Economist” poświęca w numerze z dn. 2 października obszerniejszy artykuł, charakteryzujący sytuację w Bułgarii. Pozornie — pisze autor — sytuacja w Bułgarii wygląda na ustabilizowaną, w rzeczywistości jest ona bardzo napięta. Niemcy zwiększyli ostatnio swoje garnizony w Bułgarii, licząc się z możliwością lądowania sprzymierzonych na wybrzeżu albańskim.

Bułgaria rządzi obecnie gabinet fachowców, żadna bowiem z partii nie jest na tyle silna, aby mogła stworzyć większość rządzącą. Rząd ten oficjalnie nazywa się rządem jedności narodowej, po tym hasłem uprawia się politykę „nieopuszczania do wpływów politycznych partii”. Na wzór „Hitlerjugend” stworzono organizację młodzieżową „Brannik”. Nie ma jednak w Bułgarii monopartii: „Podobnie jak i w innych krajach kontynentu, znajdujących się pod panowaniem niemieckim, powstała paradoksalna sytuacja. Kola rządzące próbowały wprowadzić do polityki społecznej i gospodarczej zasady totalitarne, nie tworząc uprzednio totalitarnej partii politycznej. Król Borys, eksperymentując w polityce totalitarnej, opierał się na autorytecie monarchistycznej konstytucji. Regenci będą mieli jednak wielkie trudności w kontynuowaniu tej polityki, nawet wtedy, jeśli będą mogli znaleźć oparcie w gabinecie ekspertów, którzy mają się dobrze orientować w gospodarczym i społecznym napięciu w Bułgarii.”

Do r. 1943 sytuacja żywnościowa Bułgarii była trudna. Obecnie, i zwiastu z dobrymi żniwami, poprawiła się ona. Rolnictwo jest dokładnie zreglamentowane: każdy chłop może obsiać swoje pola tylko tak, jak mu to przepisuje plan rządowy, i musi dostarczyć do składów państwowych przepisane ilości zbiorów.

Przemysł bułgarski najwydajniej pracował w r. 1941. W latach następnych działalność przemysłowa opadła. Mimo to jest w Bułgarii ogromny brak rąk do pracy. Jest to rezultat w znacznej mierze mobilizacji oraz tego, iż Bułgaria zobowiązana jest dostarczać siłę roboczą Niemcom. Policia od czasu do czasu urządza po ulicach i kawiarniach obławę za „próżniakami”, których następnie posyła się na roboty publiczne, do kopalni i fabryk.

Niezadowolenie polityczne mas chłopskich i robotniczych wyraża się w bojkotowaniu reglamentacji, szeroko rozpowszechnionym sabotażu przemysłowym. Bardzo rozpowszechniony jest handel nielegalny. Okupacja rozległych terytoriów, zajętych w czasie tej wojny, nakłada na administrację bułgarską dalsze wielkie trudności. Przeciężny jest transport bułgarski. Dług narodowy ogromnie wzrósł. Pożyczek państwowych ludność nie chce podpisywać. „Jak długo wojna trwa, przymus gospodarczy i polityczny będzie musiał wzrastać na tle spadku produkcji. Stosownie do tego napięcie między różnymi siłami społecznymi będzie wzrastało. Jedność narodowa jest zatem iluzją.”

W niespełna rok po swej prapremierze VII-ma symfonia słynnego kompozytora sowieckiego, Dymitra Szostakowicza, dotarła do Palestyny. Wykonała ją Palestyńska Orkiestra Symfoniczna na koncertach w Jeruzolimie, w Tel-Awivie (dwukrotnie), podczas specjalnych audycji w siedzibach tutejszych związków robotniczych, była ona także transmitowana przez radio, wreszcie znalazła się w programach kin palestyńskich jako film muzyczny, nagrany przez Filadelfijską Orkiestrę Symfoniczną pod batutą Leopolda Stokowskiego.

Interpretacja „Symfonii Leningradzkiej” przez dyrygenta tej miary i o takim rozgłosie, jak Stokowski, daje już pierwsze pojęcie o sukcesie nowego utworu Szostakowicza. Niewątpliwie, jest to w znacznym stopniu sukces, zawdzięczany aktualności tematu, tym niemniej wojna obecna ani w poezji, ani w dramacie, ani w powieści nie zyskała jeszcze tak silnego wyrazu, jak we współczesnej muzyce sowieckiej. Ten właśnie związek z dniem dzisiejszym, prosta, ale monumentalna programowość symfonii, zamknięcie bitewnego zgiełku nowoczesnej walki w ramy muzycznej harmonii, śmiały wprowadzenie naśladownictwa dźwięków takich, jak wycie syreny, gwizd i huk bomb, terkot karabinu maszynowego, salwy dział, ryk nurkującego samolotu, łoskot pochodu czołgów — wszystko to przemówiło łatwo do szerokiej publiczności całego świata. Patos sprężył się z dreszczem sensacji, uproszczenie tematów muzycznych trafiło nawet i do niewyrobionego ucha — Szostakowicz osiągnął, może za cenę innych wartości, to, o czym mówił kiedyś w wywiadzie prasowym: — „Staram się zawsze uczynić siebie tak zrozumiałym, jak tylko to jest możliwe, i jeśli tego nie osiągam, jest to mój własny błąd.”

To wyznaczenie kompozytora opery „Lady Macbeth”, po początkowym rozgłosie wycofanej z repertuaru sowieckiego, brzmi nieco jak usprawiedliwienie się, winę niezrozumienia i nieodczucia ze strony arbitralnej krytyki przesuwające na samego autora. Twórca „I-szej symfonii” o śmiałej formie muzycznej — przyjętej jako praca dyplomowa przy ukończeniu klasy kompozycji konserwatorium, twórca oper o bogatej inwencji muzycznej, ale o melodyjnych wręcz prowokacyjnej i ironicznej w stosunku do tradycyjnego dramatu operowego — nie był w laskach oficjalnej krytyki sowieckiej od czasu, gdy muzykę, przesyconą formalizmem, nowatorską, wykazującą związki z najnowszymi (przedhitlerowskimi) kompozytorami niemieckimi — uznano za „prawy ułkon”.

Dla przeciwnego melomana nazwisko Szostakowicza wiązało się przede wszystkim z operą „Lady Macbeth”, mającą popularność światową. Kiedy czasy się zmieniły i światoburcza rewolucyjność otrzymała na gieldzie walorów ideowych niższy kurs od nawiązań historycznych i podkreślenia narodowego charakteru sztuki rosyjskiej, światowe imię muzyczne zapewniło Szostakowiczowi możliwość dalszej pracy, idącej dwutorowo: narastały kolejne symfonie, kontynuujące drogę jego rozwoju twórczego, obok tego zaś popularność sowiecka zapewniała mu liczne opracowywane ilustracje muzyczne do filmów, sztuk teatralnych, marsze, kantaty i pieśni, pisane na zamówienia rządowe. Dopiero VII-ma symfonia, pierwotnie poświęcona Leninowi, w końcu zatytułowana jako „Leningradzka”, pobrzmiewająca echem muzyki Mussorgskiego, przywróciła Szostakowiczowi dawne stanowisko (6-cio pokojowe mieszkanie w przepięknym Kujbyszewie) w ojczyźnie i zyskała szeroką popularność poza ojczyznę, wraz z raczej powściągliwymi ocenami wybitnych krytyków muzycznych.

Premiera „Symfonii Leningradzkiej” odbyła się 1 marca 1941 r. w Kujbyszewie, w wykonaniu ewakuowanej z Moskwy orkiestry Teatru Wielkiego pod dyrykcją Samuela Samosuda. W 3 miesiące później (29 czerwca) nadaje symfonię rozgłośnia londyńska, 19 lipca prowadzi ją Toscanini w radio amerykańskim, a wkrótce potem jest ona po raz pierwszy wykonana publicznie w Ameryce na koncercie Sergiusza Kussewiczkiego. Na koniec Stokowski nagrywa ją na płytę i dla filmu. Te kolejne etapy powodzenia sprawiają, iż dzieło Szostakowicza staje się w muzyce reprezentacyjne dla wojny współczesnej, co z kolei usprawiedliwia poświęcenie mu tutaj specjalnego zainteresowania.

Nawiązując bowiem do raczej zarzuconej we współczesnej muzyce programowości, kładąc nacisk bardziej na pomysłowość instrumentacyjną, niż tematyczną, VII-a symfonia wysuwa pod dyskusję problem muzyki, usługującej trafić do mas i służyć przede wszystkim najważniejszym w danej chwili potrzebom społecznym, w tym wypadku — potrzebie walki. Jest to więc muzyka tendencyjna, jeśli nie powiedziéć — utylitarna. I stąd z kolei pytanie: czy na tej drodze może powstać wielkie dzieło sztuki, czy natchnienie muzyka nie odczuło ograniczeń, wskazanych przez deklarację: „Staram się być zrozumiałym, jeśli mi się to nie udaje, jest to tylko mój własny błąd...”

Już krótki i łatwy temat czołowy części pierwszej (Allegretto) ma programowość nieledwie polityczną w wyborze najprostszego tonacji C-major. Temat ten, rozwijając się w dość szary motyw marszowy, ma malować wypełnione pracą, nasycone wysiłkiem, ale szczęśliwe życie obywatela sowieckiego, obywatela leningradzkiego, który wkrótce stanie się bohaterem oblężenia. Nutę liryczną reprezentuje następująca po marszu pieśń w Es-dur, przy której stopniowo narasta w dalekim tle perkusji nadchodząca wojna.

Jej wejście zarówno w życie sowieckie, jak i w kompozycję Szostakowicza obrazuje niedwuznacznie huk bębna i brzęk talerzy, ale autor rytmu porzuca ten tradycyjny w muzyce sygnał wojny. Zmechanizowanie wojny, napór maszyny na człowieka, rozwijanie się mechanizmu wojennego poza wolą ludzką, wydobywają przytłumione, monotonne, mimo to jednak przenikliwe w ekspresji werble. Wtedy też zarysowuje się jeden z najszybszych pomyślnych — w swej programowości — tematów symfonii, „temat wojny”. Jest on jakby niedokończony, jakby urwany na swej górnej nucie; gdyby dalej przymierzając określenia literackie do wrażeń muzycznych, dałoby się o nim powiedzieć, że jest naprzemian podstępny i bezmyślny. W narastającej monotonii, w mechaniczności, wybija on coraz silniej swój otumaniający rytm chochołowej pieśni w skrzypcowym unisono, prowadzoną na tle wspaniale zinstrumetowanego naśladownictwa zgiełku wojny. Nadlatywanie samolotów do zbudzenia przypomina rzeczywistość, równocześnie zaś w pełni, jako ton muzyczny, łączy się z całością. Na koniec, po ogólnym forte, po skrzypcowej kadencji, zgiełk milnie, gaśnie warkot werbla, nastaje spokój jakby nocy i przerwy walki. Skrzypce powracają w pogodnej pieśni o pierwszym temacie, „tematu obywatela”, ale jęki głos solo fagotowego zaznacza bliską obecną wojnę i nieszczeście.

Części pierwszej zarzucają nadmierne powtarzanie głównego motywu w Es-dur w jego monotonnej postaci i wynikające stąd przecięnienie jednym efektem, pozostanie ona jednak majstersztykiem instrumentacyjnym i na szeroka publiczność długo będzie wywierać silne wrażenie. Część druga, mająca charakter scherza w tempie moderato poco allegretto robi wrażenie pogodnej refleksji, wśród której klarinet wprowadza — według objaśnień samego Szostakowicza — motywy „pełnych chwały epizodów przeszłości”.

Część trzecia (Adagio), połączona z finałem, oddaje — według intencji kompozytora — radość życia i podziw dla jego cudów. Główną ideę swego dzieła określa Szostakowicz jako wyraz optymizmu, wierzącego zawsze w zwycięstwo świata nad ciemnością. Partie taneczne części trzeciej, w których nowoczesność formy łączy się z pogłosami rosyjskiej muzyki romantycznej, przygotowują nadejście pełnego mocy finału, symbolizującego zwycięstwo.

Pierwszą część VII-ej symfonii pisał Szostakowicz w oblężonym Leningradzie, pełniąc tam za razem swe funkcje w obronie przeciwpożarowej. Wydaje się, iż ten bezpośredni kontakt z obrazem wojny wyrażały zaciążyły na charakterze początkowego „Allegretto”. Jest ono najbardziej programowe, najbrutalniejsze w efektach; część druga była pisana w Moskwie, część trzecia — najbliższa dawnemu Szostakowiczowi, w Kujbyszewie, w możliwie swobodnych warunkach, w oddaleniu od wojny. Ona też wydaje się najwartościowsza muzycznie, co potwierdzałoby raczej tezę, że nie poddanie się pierwszej emocji, ale świadoma konstruktywna praca prowadzi do osiągnięcia artystycznych.

Krytyka ponad „Symfonię Leningradzką” przekłada symfonię piątą lub i szóstą, niekiedy nawet pierwszą uważając za świeższą w pomysłach. Ale to wszystko nie umniejsza faktu, że Szostakowicz związał w sztuce patos obecnej wojny z imieniem Związku Sowieckiego i oddał swemu państwu wielką usługę propagandową. — Mimowoli przychodzi na myśl popularność utworu o ileś skromniejszego: „Koncertu Warszawskiego” z filmem „Dangerous Moonlight”, grywanego powszechnie w świecie anglosaskim, — i żal, że cała plejada muzyków polskich pozostała w kraju. Przygotowano ewakuację lotników, nie pomyślano o ewakuacji aparatu propagandowego, a dopiero wówczas przynoszą korzyść naszej sprawie sukcesy pierwszych, gdy zostają pomnożone przez talent i zręczność tych drugich. Ostatnio, poprzez Brazylię, przyjechał do Stanów Zjednoczonych Michał Kondracki. Może z tym wolno łączyć pewne nadzieje...

Władze sowieckie w pełni zrozumiały doniosłość propagandową dzieła Szostakowicza i nie zawahały się przed takim gestem, jak przesłanie całej partytury VII-ej Symfonii drogą fototelegrafii do Ameryki, byle przyspieszyć jak najbardziej wykonanie symfonii w Stanach Zjednoczonych

Zdzisław Broncel

Nakładem Wydawnictwa „W Drodze” ukazały się następujące tomy poezji:

ZDZISŁAW BRONCEL

ŁASKA NOCY

*

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

WYBÓR POEZJI

1925—1944

*

TADEUSZ SOWICKI

ZWROTNIK WILKOŁAKA

Przegląd polityczny KRONIKA POLSKA

Obchodzimy piąty wojenny Nowy Rok. Druga wojna światowa trwa już dłużej od pierwszej. Trwa tak długo wbrew bardzo rozpowszechnionym przewidywaniom. Wielu z nas zdawało się, że te cztery z okładem lata trwania zdawają wojny, to już maksimum wytrzymałości wojennej cywilizowanego świata. Zdawało się tak tym bardziej, że tempo operacji wojennych jest w tej wojnie szybsze niż w poprzedniej, a stopień jej „totalności”, napięcia wysiłku wojennego — niewątpliwie większy. A jednak porównania zawiodły.

Zawiodły przede wszystkim dlatego, że nie uwzględniały zasadniczo odmiennego charakteru obu wojen. Losy tamtej wojny rozgrywały się w wielkich, masowych i bardzo krwawych walkach piechoty. Teraz rzeczy ułożyły się inaczej: Niemcy w ciągu pierwszych dwóch lat wojny wygrali, bo zwycięzcy przeciwnika olbrzymią przewagą techniczną w nowych rodzajach broni: czołgach i — przede wszystkim — w samolotach. We wszystkich kampaniach przed rosyjską szli na pewne zwycięstwo. Dopiero w Rosji natrafili na przeciwnika, który — tak jak i oni — od lat na wielką skalę przygotowywał się do wojny i dysponował poza przestrzenią i olbrzymimi rezerwami ludzkimi takimi i wielkimi masami czołgów i samolotów. I dlatego tutaj, gdy szanse się mniej więcej wyrównały, działania wojenne po pierwszych wielkich zwycięstwach niemieckich przybrały charakter inny: ofensyw i kontrofensyw, z morderczymi walkami wielkich mas piechoty, poprzeczanymi długimi miesiącami wojny pozycyjnej.

Otóż państwa anglosaskie nie chcą powtarzać na frontach Europy zachodniej tego typu wojny. Chcą pobić Niemcy przy pomocy ich własnej strategii z pierwszych lat wojny: wielką przewagą techniczną. Chcą, aby ostateczna kampania, jaką rozegrają z Niemcami, odznaczała się tą samą nieuchronną pewnością zwycięstwa, co tamte, niemieckie. Aby pewność taką osiągnąć, trzeba wielkiego marginesu przewagi technicznej, i to nie nad potężnym mocarstwem, wysoce uprzemysłowionym, uzbrojonym po zęby i dysponującym bogactwami naturalnymi i przemysłowym całej bezmała Europy. Co więcej, przewagę tę postanowiły zdobyć państwa, które przystąpiły do tej wojny zupełnie nieprzygotowane. Nic dziwnego, że wykonanie takiego zamysłu wymagało nie tylko ogromnego wysiłku organizacyjnego, ale i czasu.

Strategia taka, jeśli i przewleka wojnę, odznacza się ogromną oszczędnością w stratach ludzkich. W tamtej wojnie straty brytyjskie wynosiły około miliona zabitych. Straty, jakie brytyjskie siły zbrojne poniosły w ciągu czterech lat tej wojny — po wrześniu ub. r., — wyniosły mniej niż sto tysięcy. Jeśli się uświadomi, że takim kosztem dokonano ewakuacji z Dunkierki, odparto śmiertelne niebezpieczeństwo najazdu niemieckiego, prowadzono uciążliwe walki w pustyni libijskiej i na olbrzymich przestrzeniach Pacyfiku — trudno nie podziwiać mądrości politycznej Anglików, którzy przy tak małych stratach w ludziach potrafili doprowadzić niemal że do zwycięskiego końca wielką „totalną” wojnę.

Dziś zresztą wiemy, że czas ten nie został zmarnowany. Ostatni rok był rokiem stałych zwycięstw Sprzymierzonych: na lądzie, na morzu — gdzie w znacznej mierze dzięki samolotom osiągnięto taki stopień bezpieczeństwa w walce z łodziami podwodnymi, jaki był nie do pomyślenia w wojnie 1914—1918 r. — i w powietrzu.

Ostatnie tygodnie nie przyniosły co prawda w sytuacjach frontowych żadnych większych zmian. Na froncie włoskim postępy armii sprzymierzonych były nadal bardzo skromne. Dla ich oceny trzeba jednak pamiętać, że po pierwsze front ten w strategii sprzymierzonych najwyraźniej odgrywa dziś drugorzędą rolę, po drugie zaś — podobnie jak to było w Tunisie — po długich tygodniach skutecznego oporu niemieckiego może przyjść w odpowiednim momencie nagłe i gwałtowne załamanie się niemieckiego frontu.

I na froncie rosyjskim ostatnie dwa tygodnie nie przyniosły większych zmian. Złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma: Niemcom nie udało się ofensywy na Kijów. Rosjanie zaś nie odnieśli żadnych nowych sukcesów w swych usiłowaniach wyparcia Niemców z łuku Dniepru i — jak się zdaje — zamiechali na najbliższą przyszłość prób odebrania Krymu. Trudno zaś powiedzieć w tej chwili, czy ofensywa rosyjska na północ przyniesie Rosjanom jakieś poważniejsze zwycięstwo. Jak dotychczas, postępy ich tutaj są tylko lokalnej natury.

W tej sytuacji na czoło operacji wojennych wysuwa się ofensywa powietrzna na Niemcy i kraje okupowane, której zasięg — i tak już ogromny — ciągle wzrasta. Mówiąc o jej znaczeniu, ma się na myśli przede wszystkim jej skutki materialne: osłabienie potencjału przemysłowego Rzeszy, dezorganizację transportu. Mniej się myśli o skutkach wychowawczych tych nalotów. A są one ogromne i wielostronne.

Przed wszystkim przenosząc działania wojenne w samo serce Rzeszy, której terytoria po czasy od wojen napoleońskich omiły inwazje wojsk obcych, w zupełnie innym świetle stawiają w najosobistszym doświadczeniu każdego z Niemców kwestię ryzyka wojny i odpowiedzialności za jej wywołanie.

Co najwłaściwsze jednak, naloty te stawiają Niemców noc w noc i dzień w dzień w sytuacji, w której muszą oni stwierdzać swoją bezsilność: zarówno myślicie jak i artyleria przeciwlotnicza okazały się mało skuteczną obroną, a na skuteczne naloty odwetowe lotnictwo niemieckie jest dziś za słabe. Nie można nie doceniać znaczenia tej świadomości własnej bezsilności u Niemców. Od chwili przyścia do władzy hitlerowcy systematycznie wychowywali naród niemiecki w bezwzględnej kucie siły fizycznej. Uczyli, że siła ta sama jest dla siebie legitymacją. Głosili nihilizm moralny: bezwzględnie tępił wszelkie względy moralne i tradycje kulturalne, któreby mogły przeszkadzać w swobodnym, nieskrępowanym stosowaniu siły. Okrutny terror — pojęty jako system — świadczy, jak gruntownie Niemcy nauką tą się przejęli. Dlatego ulotki, zrzucone na Niemcy w latach 1939—1940, były tak naiwną bronią. I dlatego bombardowanie Niemiec jest bronią tak skuteczną. Niemcom wala się dziś na głowy nie tylko ściany ich domów, wali się dąga Weltanschauung. Pocucie bezsilności, jeśli trwa długo i jeśli jest głębokie, zawsze wywołuje urazy, co dopiero u człowieka, wychowanego w kucie siły, Radio nie-

mieć od dawna zerwało już z metodą zbywania tych nalotów lekceważącymi wzmiankami. Przeciwnie, dużo się mówi o tym, że ofiarami ich są w znacznej mierze kobiety i dzieci, że skierowane są przede wszystkim na dzielnice mieszkalne miast, że niszczą zabytki kulturalne i gmachy użyteczności publicznej. Krótko mówiąc, Niemcy skarżą się, że naloty te są niesprawiedliwe, ergo niemoralne. Wolno kwestionować niemieckie prawo występowania z takimi argumentami, tym niemniej pozostaje faktem, że brytyjskie i amerykańskie bomby zmusiły niemieckiego Kalibana do tego, iż przemówił językiem cywilizowanego człowieczeństwa.

* * *

Dla właściwej oceny obecnej sytuacji polityczno-wojennej, trzeba mieć zawsze w pamięci to, że równocześnie z działaniami wojennymi toczą się już dzisiaj obrady konferencji pokojowej. Taki sens mają i zjazdy czołowych mężów stanu państw wojujących i obrady różnych ciał międzynarodowych. W świadomości bowiem opinii publicznej państw sprzymierzonych stale obecny jest odstraszający przykład pierwszej wojny światowej. Wtedy także naprawdę już w czasie trwania wojny wypracowany został system polityczny powojennego świata — sławne 14 punktów prezydenta Wilsona — nie wypracowano jednak techniki wprowadzenia tego systemu w życie i nie wypracowano programu gospodarczej odbudowy świata po wojnie. To ostatnie zaniedbanie było szczególnie groźne w skutkach. Ludziom wydawało się bowiem wtedy, że wojna jest tylko chwilowym zaburzeniem normalnego biegu rzeczy i że po ustaniu działań wojennych powojenne życie gospodarcze wróci automatycznie w „normalne”, t. j. przedwojenne koleiny. Nie zdawano sobie wówczas sprawy z rewolucyjnego znaczenia wojny.

Aby zapobiec powtórzeniu się tego błędu, już dzisiaj planuje się zarówno powojenny układ polityczny i gospodarczy świata, jak i technikę jego wprowadzenia. Stawka, o jaką tu gra idzie, jest bardzo wielka: idzie bowiem o uniknięcie nieopowiadającej i nieszczytelskiej erupcji tych sil rewolucyjnych, które inaczej musiałyby wybuchnąć w momencie załamania się władzy okupanta. Takie jednak planowanie już dzisiaj powojennego życia polityczno-gospodarczego świata kryje w sobie jedno wielkie niebezpieczeństwo: oto plany te mogą być odbiciem tego układu sił, jaki istniał w chwili, kiedy były one układane, t. j. tego układu, w którym okupowana Europa nie może być pełnoprawnym podmiotem woli politycznej. Zachodzi w ten sposób niebezpieczeństwo decyzji politycznych, powziętych w sprawach europejskich bez Europy i wbrew niej. Decyzji, które tworzą źródła fermentu, mogłyby ciężko zaważyć na trwałości przyszłego pokoju. Pokój ten bowiem na to, aby był trwały, musi być sprawiedliwy, a na to, aby był sprawiedliwy, musi być zawarty przy czynnym współudziale wszystkich stron zainteresowanych. W Karcie Atlantyckiej Sprzymierzonych wysunęli hasła wolnościowe o wielkiej sile dynamicznej i wielkim prestiżu moralnym. Byłoby niepowstawaną, szkoda, gdyby dla jakichś doraźnych korzyści siły te zwróciły przeciwko sobie.

W momencie najczarniejszej faszystowskiej nocy, w miesiącach bezpośredniego poprzedzających wybuch obecnej wojny, Benedetto Croce pisał swoją „Historię jako dzieje wolności”. Na zarzuty, że tytuł taki zakrawa na kpiny w czasach, które każą wątpić w przyszłość hasła wolnościowych, Croce odpowiedział, że wolność ma przed sobą znacznie więcej niż przyszłość, bo wieczność. Znakomity filozof włoski chciał w ten sposób powiedzieć, że pęd do wolności jest po wieczne czasy jednym z podstawowych motorów działania ludzkiego. Pokój, któryby o tym nie pamiętał, napewno miałby przed sobą przyszłość bardzo niepewną i nietrwałą.

* * *

Dekret, na mocy którego „Międzynarodówka” przestaje być od marca b. r. hymnem państwowym ZSRR, idzie po linii tych zmian, które wprowadziły order Kutuzowa i Suworowa czy epolety na mundurach oficerów sowieckich, tym niemniej ma swoją szczególną wymowę. Uzasadnienie dekretu mówi, że słowa tego hymnu nie odpowiadają już rzeczywistości życia sowieckiego. Ale słowa każdego z hymnów państwowych świata rzadko kiedy przystają do konkretnych, aktualnych okazji, przy których hymn ten jest śpiewany. Dlatego w zastąpieniu „Międzynarodówki” innym hymnem państwowym trzeba widzieć oficjalne odwołanie się ZSRR od tych tradycji, z którymi „Międzynarodówka” jest związana. Hymny państwowe mają normalnie długi żywot i ich zmiany znaczone są zazwyczaj rewolucjami. Ale w kraju, w którym drogą dekretu władza administracyjna może było wprowadzić kult tradycji narodowej, w którym w ciągu ostatnich dziesięcioleci niektóre miasta już dwa razy zmieniały nazwy, można było drogą prostego dekretu zmienić hymn państwowy. Ostatnia zmiana jest jeszcze jednym objawem tego swoistego stylu życia, którego tradycja jest co prawda w Rosji raczej młoda, ale zato bardzo żywotna.

WW

— Nowojorskie wydawnictwo „Rój” przedrukowało z przedmowa Jana Lechonia antologię Kazimierza Hartleba „Kultura polska” oraz zapowiada wydanie w najbliższym czasie następujących książek: Manfreda Kridla „Literatury polskiej”, Kazimierza Wierzyńskiego „Polskiej literatury współczesnej” i tomu studiów Jana Lechonia „O literaturze polskiej”.

— Kolin w Londynie wydał Mickiewicza „Konrada Wallenroda”, zapowiada wydanie tomu „Pism wybranych” Piłsudskiego, „Bagnetu na broń” Władysława Broniewskiego, pamiętnika satyrycznego p. t. „Marchewka” Mariana Hemara oraz Stefana Łączkiewicza tomu wspomnień o komendancie „Orla” p. t. „Szum młodości”. Ponadto w tym samym nakładzie ma się ukazać w dwóch wydaniach — polskim i angielskim — reportaż fotograficzny z bojów pod Narvikiem, obejmujący 277 fotografii w opracowaniu Lewitta — Hima p. t. „Żołnierz polski w Norwegii”.

— Jako tomy 8 i 12. wydawanej pod redakcją dra L. Kurdybachy „Szkołnej Biblioteczki na Wschodzie” ukazały się w Jerozolimie: Eliza Orzeszkowej „Nad Niemnem” i Melchiora Wańkowicza wybór fragm.ów z książki „Na tropach Smetki” p. t. „Bracia dalecy a bliscy”.

— W Londynie ukazały się w opracowaniu T. Sawickiego tom II „Rocznika Bibliograficznego”, obejmujący druki w języku polskim oraz polonika w językach obcych, wydane poza terytorium Polski w r. 1942.

— Ministerswo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego wydało w Londynie ostatnio następujące podręczniki: Szobera, Niewiadomskiej i Boguckiej „Naukę pisowni” dla klas V i VI szkół powszechnych, Rusieckiego i Zarzeckiego „Arytmetykę” dla klasy V szkół powszechnych oraz Auerbacha i Dąbrowskiego podręcznik łaciny dla klasy pierwszej gimnazjalnej p. t. „Disce latine”. Ponadto jako zeszyt 4. z serii „Nauka i wychowanie” wyszedł „Program nauki w publicznych szkołach powszechnych trzeciego stopnia”.

— Nakładem Wszechświatowego Komitetu Y. M. C. A. w Genewie ukazała się w r. 1943 obszerna i pięknie wydana antologia Feliksa Korniszewskiego „Książka dla wszystkich”. Antologia ta, obejmująca 428 stron, składa się z dwóch części: pierwszej p. t. „Kartki z dziejów cywilizacji” i drugiej p. t. „Życia narodu”.

— Polskie Centrum Informacji na Bliskim Wschodzie wydało w Stambule w języku angielskim opracowaną przez W. R. „History of Poland”. Książkę zaopatrzoną w trzy mapy.

— W Londynie ukazała się broszura dra J. Weyersa p. t. „Poland and Russia”. Przedmowa poprzedził ją mjr. Guy Lloyd, członek Izby Gmin. W aneksie przedrukowano tekst Traktatu ryskiego i tekst przemówień Dąbskiego i Joffego, wygłoszonych z okazji podpisania tego Traktatu, oraz teksty polsko-sowieckiego paktu o nieagresji z 25 lipca 1932 r., londyńskiej konwencji określającej napastnika z 3 lipca 1933 r., układu niemiecko-sowieckiego z 28 września 1939 r. i umowy polsko-sowieckiego z 30 lipca 1941 r.

— Nakładem wydawnictwa „Atlantis Publishing Co” ukazała się w Harrow w przekładzie Petera Jordana książka S. Leszczyca p. t. „Prisoner of War No. 619/45”.

KORESPONDENCJA

O ANTOLOGIE „NARÓD W WALCE”

Do Redaktora „W Drodze”

W związku z ukazaniem się ostatnio, na łamach jednego z pism wojskowych na Środkowym Wschodzie recenzji opracowanej przeze mnie antologii literatury wojennej „Naród w walce”, piora p. Olechowskiego przysię o umieszczenie „W Drodze” kilku słów wyjaśnienia.

Zarzuty p. Olechowskiego — pomijając jego skłonność do łatwych, a nie mówiących uogólnień — można streścić w trzech zasadniczych punktach: 1. mechaniczny układ antologii, podzielony na dziewięć cykli; 2. uwzględnienie „oryginalnej twórczości Brygady Karpackiej zaledwie przez dwa czy trzy nazwiska jej reprezentantów”; 3. przedrukowanie wiersza W. Broniewskiego „Zamieć” z opuszczeniem dwu ostatnich strof.

Ten ostatni zarzut jest istotnie konkretny i, biorąc rzecz czysto zewnętrzną, całkowicie słuszny. Istotnie „Zamieć” Broniewskiego w mojej antologii nie posiada dwu strof ostatnich. Ale nie posiada ich ona również na łamach londyńskich „Wiadomości Polskich”, z których została przepisana bez najmniejszego podejrzenia z mojej strony, żeby nie miała być kompletna. Zanim ukazał się zbiorek Broniewskiego „Bagnet na broń” druk tego arkuusza an ologii był już na ukończeniu.

P. Olechowskiemu nie podoba się podział antologii na 9 cykli, odpowiadających dziewięciu rozdziałom historii naszego wysiłku wojennego. Zamiast tego — jeżeli dobrze niezbyt jasny ustęp recenzji rozumiem — radby wprowadzić podział

— Nakładem wydawnictwa „Książnica Polska” w Glasgow ukazała się w przekładzie F. C. Anstruthera książka Stanisława Ordona „Fire over Warsaw”. W tymże samym nakładzie wyszła obficie ilustrowana przez Marka Żulawskiego broszura informacyjna Alcuina p. t. „Poland”.

— Jako zeszyt siódmy wydanej przez Polskie Centrum Informacji w Nowym Yorku serii „Documents Relating to the Administration of Occupied Countries in Eastern Europe” ukazała się broszura p. t. „German Iron and Steel Policies”. W tym samym nakładzie ukazała się broszura p. t. „The Truth About Poland”.

— Prof. William J. Rose, dyrektor School of Slavonic and East European Studies przy Uniwersytecie Londyńskim, autor książek angielskich o Konarskim, Górnym Śląsku oraz wydanej tuż przed wojną w serii Penguinów „Poland”, wydał w Londynie nakładem „Polish Publications Committee” broszurę p. t. „The Growth of Polish Democracy”.

— Fundacja Kościuszkowska w Nowym Yorku wydała po angielsku książkę Stephana F. Mizzy „Nicolas Copernicus, 1543—1943”. Książkę, obficie ilustrowaną, wydano w wydaniu popularnym, „Bibliotecznym” i specjalnie ozdobnym. Jej część centralna poświęcona jest rozważaniom na temat polskości Kopernika.

— Prof. Oskar Hålecki ogłosił ostatnio dwie rozprawy w periodykach amerykańskich. W lipcowym zeszycie „The Review of Politics” ukazało się jego studium „Polish-Russian Relations — Past and Present”, w lipcowym również zeszycie wydawanych w Filadelfii „The Annals of the American Academy of Political and Social Science” ogłosił artykuł „East Central Europe in Postwar Organisation”.

— Instytut Egipski w Kairze wydał w odcitek sprawozdanie z specjalnego posiedzenia Instytutu, jakie się odbyło dn. 24 maja ub. r. „Quatrieme Centenaire de Copernic”.

— W Londynie ukazała się George’a Harrisona i Petera Jordana broszura, propagująca w 22 pomysłowych rysunkach, objaśnionych tekstem angielskim, ideę federacji środkowo-europejskiej „Central Union”.

— Bernard Newman, autor „The Story of Poland”, wydał w Londynie nakładem „Polish Publications Committee” broszurę p. t. „The People of Poland”.

— Nakładem Książnicy Polskiej w Glasgow ukazał się Zofii Kossak-Szczuckiej „Skarb Śląski”.

— Ksawery Pruszyński ogłosił w znanym londyńskim miesięczniku literackim „Horizon” artykuł o gen. Ignacym p. t. „Soviet's Strangest General”. Artykuł przedrukowany został w listopadowym zeszycie „The English Digest”. W tymże samym numerze „Digestu” znajdujemy przedruk z „Daily Telegraph” artykułu Rose Marie Hodgson p. t. „In Warsaw Now”.

— B.B.C. w Londynie nadało dn. 10 października sztukę Mariana Hemara „Poor Man's Miracle”. Sztuka ta w oryginale polskim drukowana była w r. 1942 w londyńskiej „Nowej Polsce”, zaś w angielskim przekładzie F. B. Czarnomskiego pojawiła się nakładem „Minerwy”.

wedle miejsca zamieszkania danego pisarza w chwili pisaną a odczytanie utworu Spróbujemy przez chwilę zastanowić się, jakby taki podział wyglądał. Dla przykładu weźmy Wierzyńskiego. Pewne jego utwory musiałyby figurować w rozdziale „Kraj”, potem „Francia”, „Anglia”, a wreszcie „Ameryka”. Czy taki układ geograficzny przyczyniłby się do lepszego zrozumienia naszej literackiej twórczości wojennej, — należy poważnie wątpić. Raczej wprowadziłby chaos, z którego trudno byłoby, zwłaszcza czytelnikowi mniej wyrobionemu, wybrnąć.

Układ każdej antologii może być różny, zależnie od celu, jaki pragnie się osiągnąć. Moim zamiarem — jak to pokreśliłem we wstępie — było zebranie w jedną całość różnorodnych utworów, nie tyle ze względu na ich wartość artystyczną, ile raczej ze względu na poruszenie przez nie pewnych tematów wojennych. Tym się tłumaczy fakt, że w antologii pomieściłem pewną (niewielką zresztą) ilość utworów, których forma literacka może budzić pewne zastrzeżenia, ale zagadnienia poruszane przez nie są oryginalne i niespotykane u innych pisarzy.

Pisze wreszcie recenzent, że twórczość Brygady Karpackiej jest reprezentowana zaledwie przez „dwa czy trzy nazwiska”. Jaka szkoda, że p. Olechowski nie przejrzał przynajmniej sumiennie spisu rzeczy, jeżeli już nie miał czasu na dokładne przeczytanie książki przed napisaniem recenzji. Przekonałby się bowiem wtedy, że Brygadę Karpacką reprezentuje nie dwa czy trzy, ale 7, do słownie siedem nazwisk (Bielatowicz, Andrzejewski, Pawłowicz, Niedbal, kryptonimy: „Emes” i „Ef-de” oraz Ignacy Kleszczyński).

Siedem nazwisk, a z Hemarem, którego również można zaliczyć do Karpackich, osiem, reprezentujących twórczość Brygady, to stosunkowo dość dużo, zwłaszcza jeżeli się zważy, że przy wyborze utworów kierowałem się nie tylko ich wartością literacką, ale i oryginalnością poruszanych przez nie zagadnień. W porównaniu up. do olbrzymiego problemu poruszanego w cyklu „Sibirskim szlakiem”, jest ich może aż za dużo, ale na poświęcenie w mojej antologii tak mało stosunkowo miejsca tym sprawom wpłynęły powody, o których pisałem za wcześnie.

Przy okazji proszę Pana Redaktora o sprostowanie przykrego przeoczenia korektorskiego, nie zauważonego zresztą przez Marka Koerner, „Orle” Warszawy” podpisano omyłkowo „wiersz z kraju”, zamiast podać właściwe nazwisko autora.

Dr Łukasz Kurdybacha

Adres Redakcji: Polish Information Centre
Jerusalem, Bezalel Street, House Valera

Wydawca: Ignacy Pokryw
Redaktor: St. A. Balicki

NAKLADEM WYDAWNICTWA „W DRODZE” UKAZAŁY SIĘ

HENRYKA SIENKIEWICZA

PAN WOŁODYJOWSKI

Tom II

cena 150 milsów.

KRZYŻACŹ

Tom I

cena 150 milsów.